RAPORT „DO RZECZY”

Nowi bolszewicy – ludzie, którzy wściekle zaatakowali Kościół

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 14/267 3–8 KWIETNIA 2018
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Katastrofa smoleńska – eksperci Ziobry kontra eksperci Macierewicza

FÜHRER STALIN
JAK SOWIECKI DYKTATOR ZASTĄPIŁ W NRD HITLERA

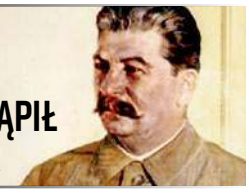

Czy kupując patrioty, robimy dobry interes

ZADYSZKA

PiS traci poparcie. Jak to zmienić?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000 14 >
Nakład: 94,5 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 7f4145e99

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WYWIAD Z WETERANEM SPOD MONTE CASSINO!

Piotr Zychowicz – **Jak Churchill wykiwał Polskę**
Douglas Smith – **Mroczne tajemnice Rasputina**
Marcin Bartnicki – **Jak polski konsul ratował Żydów**
Sławomir Cenckiewicz – **Marzec '68 i Jaruzelski**
Grzegorz Wołk – **Polski kamrat Che Guevary**
Barbara Hulanicki – **Komuniści zgładzili mojego ojca**
Arkadiusz Karbowiak – **NSZ kontra AL pod Rząbcem**
Sławomir Koper – **Romanse Bolesława Leśmiana**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7f4145e991

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Co się stało z opowieścią?

To już nie są przelewki – pomyślałem, obserwując wyniki ostatniego sondażu dla TVN. Według niego na koalicję Zjednoczonej Prawicy oddałoby głos 28 proc. respondentów. To aż 12 proc. mniej niż jeszcze w lutym. Gdyby te wyniki się potwierdziły, PiS nie mógłby już rządzić samodzielnie. O ile w ogóle pozostałby przy władzy.

Jak wiadomo, do poszczególnych sondaży należy podchodzić ostrożnie i nie ma powodu, żeby od tej reguły odstąpić obecnie. Być może spadek pokazany przez różne pracownie nie jest tak duży. Jednak nie ma wątpliwości, że coś się zepsuło, że doskonale do tej pory naoliwiona maszyna zaczęła szwankować. Przyczyn jest kilka. Trudno powiedzieć, która z nich jest najważniejsza, raczej można mówić o ich kumulacji.

Pierwszą jest fatalnie rozgrywany konflikt ze środowiskami żydowskimi. Powtórzę to, co pisałem wiele razy na tych łamach: Polska uwikłała się w walkę, nie mając do tego ani dość sił, ani wizji, jak miałoby przebiegać starcie. To, co musiał obserwować zaskoczony wyborca, robiło i robi fatalne wrażenie. Od retoryki „ani kroku w tył" dotarliśmy do sytuacji, w której sami autorzy ustawowych zmian teraz nagle otrzeźwieni wycofują się w popłochu. Ustawa, która miała w zamierzeniu bronić dobrego imienia Polski, spowodowała wizerunkową klapę. I – jak łatwo przewidzieć – nie ma w tej sprawie winnych. Łatwo przewidzieć, że takie postępowanie musi spowodować zniechęcenie i frustrację wśród tych wyborców, którzy zaufali pierwszym, mało realistycznym obietnicom władzy. Czują się porzuceni i widzą kompletną bezradność rządzącej większości w starciu z bezczelnością i radykalizmem przeciwników. To uczucie tym bardziej dojmujące, że towarzyszy mu złość na tych, którzy tak nieudolnie bronią polskiego wizerunku. Doprawdy, można się wręcz zastanowić, czy Polska Fundacja Narodowa nie odgrywa tu roli instytucji wynajętej przez opozycję. Nie da się określić skali szkód, jakie przyniosła jej działalność. I co? I nic. Działa w najlepsze.

Druga przyczyna ma podobny charakter – chodzi o powolne ustępowanie w kwestii reform sądownictwa. Być może gdyby rządzący ograniczyli się tutaj tylko do zmiany, efekty nie byłyby tak znaczące. Jednak nałożenie na siebie dwóch zjawisk – odchodzenie od ustawy o IPN i powolne cofanie się w kwestii sądownictwa – robi wrażenie słabości i uległości. PiS sam stał się tu ofiarą nieustannie używanej godnościowej retoryki: kiedy musi podejmować pragmatyczne decyzje, a tak jest w obu przypadkach, opuszcza go część wyborców.

Trzecia przyczyna to mielona w kółko od tygodni przez media sprawa nagród dla ministrów i wiceministrów. W tym przypadku partia rządząca płaci za własny wcześniejszy populizm. Zabrakło jej też jasnego przekazu, a kolejne wypowiedzi Mateusza Morawieckiego i Beaty Szydło z pewnością nie brzmiały spójnie. Obecny premier nagrody likwiduje, były twierdzi, że się należały. Być może dodatkowym powodem spadku było też wprowadzenie wolnych niedziel – na pewno zniechęciło to do PiS znaczącą część elektoratu wielkomiejskiego.

Jednak obecnego problemu nie da się sprowadzić do sumy poszczególnych błędów. Największą obecnie słabością rządzącej prawicy jest brak spójnej i przekonującej opowieści. W przypadku Beaty Szydło sprawa była jasna: PiS to partia zwykłych ludzi, walcząca z establishmentem. Premier pachniała rosołem i była swojska. Ta opowieść dawała zwolennikom PiS poczucie przynależności, budowała w dużej mierze ich tożsamość, trafiała do ich emocji. Tylko że wraz z wyborem na premiera Mateusza Morawieckiego kompletnie się ona załamała. A żadnej innej w jej miejsce PiS nie potrafił do tej pory wymyślić. Tutaj leży tak naprawdę klucz do odzyskania zaufania: jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, PiS potrzebuje nowego otwarcia. Nowej, mówiąc modnie, narracji, która trafi w emocje. Bo opowieści o innowacji, rozwoju i sukcesach gospodarczych do zwycięstwa politycznego mogą nie wystarczyć. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
JEŚLI PIS PRZEGRA, TO SAM ZE SOBĄ
Część twardego elektoratu PiS może się poczuć rozczarowana

21 ŁUKASZ WARZECHA
PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO MORAWIECKIEGO?

24 ROZMOWA Z MARCINEM MASTALERKIEM
PRAWICA CHCE POWTARZAĆ SCHEMATY

KRAJ

28 JACEK PRZYBYLSKI
PARASOL PRZED ROSJĄ
Największy kontrakt zbrojeniowy w historii Polski

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WOJENKA SMOLEŃSKA

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SOJUSZ LEWICY – REANIMACJA

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
GŁUPI I GŁUPSI

RAPORT „DO RZECZY"

40 PIOTR SEMKA
BOLI ICH KRZYŻ
Bezpardonowy atak na Kościół

43 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NOWY RODZAJ FEMINIZMU

KULTURA

46 KRZYSZTOF MASŁOŃ
POLSKI DEKALOG ZOFII KOSSAK
Nawet współtwórczyni „Żegoty" przypisywano antysemityzm

50 PIOTR GOCIEK
BRUDNY BARRY

52 ROZMOWA Z HUBERTEM DOBACZEWSKIM
ZGÓDŹMY SIĘ NA SIEBIE

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 STEFAN SĘKOWSKI
SZACUNEK DLA KLASY ŚREDNIEJ
Bogacenie się to nic złego

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA
CZERWONY BÓG NRD
Józef Stalin – nowy Führer powojennych Niemiec

67 PIOTR ZYCHOWICZ
MIŁOŚĆ JEST ŚLEPA

ŚWIAT

70 ROZMOWA Z DANIELEM KAWCZYNSKIM
PRÓBOWALIŚMY ZMIENIĆ UNIĘ. NIE WYSZŁO
Brytyjski parlamentarzysta: Wykorzystując siłę Unii, Berlin działa przede wszystkim w swoim interesie

73 WITOLD REPETOWICZ
DŻIHADYŚCI NADCIĄGAJĄ

76 TERESA STYLIŃSKA
SELMAYR – SZARA EMINENCJA EUROKRACJI

80 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROSJA PŁONIE

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK
KORUPCJOGENNE DOTACJE
Pieniądze dla wybranych

84 PIOTR WŁOCZYK
ANTY-SOROS Z VEGAS

86 ROZMOWA Z JANEM GRZEGORZEM PRĄDZYŃSKIM
NIE CHCEMY POWROTU DO WOJNY CENOWEJ

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. IWONĄ HUS
CHORZY POTRZEBUJĄ LEKÓW DZISIAJ
Spowolnić rozwój podstępnego nowotworu

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (63), KOWALCZUK (79), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 7f4145e991

Jacek K. w piątek usłyszał zarzuty. Na zdjęciu: po wyjściu z Prokuratury Okręgowej w Białymstoku

FOT. MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Były wiceminister zatrzymany

Funkcjonariusze białostockiego oddziału CBA zatrzymali w ubiegłym tygodniu byłego wiceministra Jacka K.

Był w rządzie PO-PSL wiceministrem finansów oraz szefem Służby Celnej. Według „Wiadomości" TVP, które pierwsze poinformowały o sprawie, jego zatrzymanie ma związek z aferą hazardową, która miała narazić budżet państwa na ok. 21 mld zł strat związanych z niezapłaconymi podatkami.

Aferę hazardową w 2009 r. ujawnili dziennikarze „Rzeczpospolitej" (m.in. współpracujący dziś z „Do Rzeczy" Cezary Gmyz). Opisali kulisy prac nad nowelizacją ustawy hazardowej i kontakty biznesmenów z branży gier z politykami rządzącej wówczas PO. Chodziło o legalizowanie automatów do gier, które w rzeczywistości pozwalały na wygrywanie większych kwot, niż dopuszczało prawo. Prokurator badający tę sprawę w 2014 r. uznał, że odpowiedzialny był za to Jacek K., i postawił mu zarzuty. Jednak śledztwo mu odebrano i umorzono. Nowy prokurator krajowy Bogdan Święczkowski polecił jeszcze raz przeanalizować akta tej sprawy. Śledczy doszli do wniosku, że postępowanie musi zostać wznowione.

W piątek K. usłyszał zarzuty niedopełnienia obowiązków służbowych w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. ©℗

Łukasz Zboralski

KOMISJA ŚLEDCZA ZBADA WYŁUDZANIE VAT

Dzięki uszczelnianiu podatków i likwidacji mafii wyłudzających VAT rząd powiększył już wpływy do budżetu o dziesiątki miliardów złotych. Politycy PiS uważają jednak, że samo położenie tamy wyłudzeniom to za mało – ich zdaniem w kraju tworzono system, który pozwalał na okradanie państwa. Dlatego tuż po świętach Wielkiejnocy złożą w Sejmie ustawę o powołaniu komisji śledczej ds. nieprawidłowości wokół podatku VAT.

Zapowiedział to na konferencji w Sejmie poseł PiS Marcin Horała. – Trzeba zbadać, jak to się stało, że dziesiątki miliardów złotych były w rękach grup przestępczych, a nie w budżecie państwa. Tym zajmie się komisja śledcza – tłumaczył. I dodawał: – Rodzi się wielkie pytanie, dlaczego rząd PO, mając przygotowane ustawy, które zapobiegłyby tym wyłudzeniom, jednocześnie miał taką decyzję polityczną, żeby ich nie wprowadzać w życie.

Nowa komisja śledcza może zacząć działać już w maju. Posłowie Prawa i Sprawiedliwości twierdzą, że nie ma jeszcze decyzji o tym, kto zasiądzie w jej składzie. ***(luz)*** ©℗

„DO RZECZY" NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE

Tygodnik „Do Rzeczy" kolejny raz zajął pierwsze miejsce wśród najczęściej cytowanych tygodników i dwutygodników. W lutym tego roku nasze informacje były przytaczane w innych mediach 266 razy – wynika z danych Instytutu Monitorowania Mediów.

Najczęściej cytowanym medium było Radio RMF FM, na które powoływano się 2688 razy. W pierwszej piątce znalazły się również TVN24 (2259 cytowań), „Rzeczpospolita" (1931 cytowań), TVN (1749 cytowań) oraz TVP Info (1356 cytowań). ***(jap)*** ©℗

Najbardziej opiniotwórcze tygodniki
(liczba cytowań)

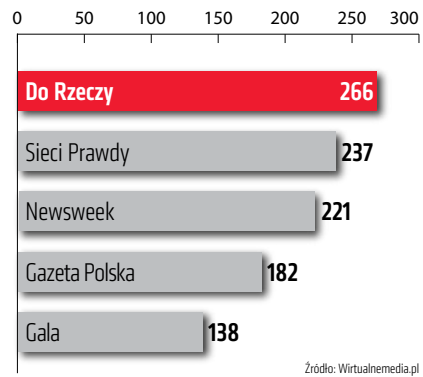

Źródło: Wirtualnemedia.pl

RENTA SPECJALNA DLA TOMASZA KOMENDY

Premier Mateusz Morawiecki podjął decyzję o przyznaniu renty specjalnej Tomaszowi Komendzie. Mężczyzna niesłusznie skazany na 25 lat więzienia za zabójstwo i zgwałcenie 15-letniej dziewczynki po 18 latach w więzieniu w połowie marca wreszcie wyszedł na wolność. „Nic nie wynagrodzi Panu Tomaszowi Komendzie cierpień, jakich doznał przez niesłuszne skazanie i pobyt w więzieniu. Ale sprawiedliwe państwo musi działać i musi mu pomóc. Podjąłem więc decyzję o przyznaniu Panu Tomaszowi renty specjalnej, do czasu, aż uzyska odszkodowanie w sądzie" – napisał premier Morawiecki na Twitterze.

Renta ma wynosić miesięcznie 4 tys. zł brutto, czyli 3276 zł na rękę. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w naszym dziale propozycja na weekendy, także te, gdy handel kwitnie.

Wolna niedziela

W odpowiedzi na felieton Pana Marcina Wolskiego o handlu w niedzielę („Do Rzeczy" 12/2018) chciałabym podać kilka propozycji spędzania weekendów. W niedzielę wolną od handlu można w dzień letni, wiosenny, słoneczny wybrać się nad wodę, do lasu, do parku linowego, na imprezę otwartą na rynku, na piknik albo – najprościej – na spacer.

W dzień zimowy przyjemnie jest wybrać się na lodowisko, na narty, a z dziećmi na sanki, ulepić bałwana lub porzucać się śnieżkami na podwórku. Jeśli na zewnątrz plucha, wieje, zimno, pogoda nie sprzyja spędzaniu czasu na zewnątrz, to bez paniki. PiS nie zamknął wszystkiego. Spokojnie można pójść do kina, do teatru, restauracji, kawiarni, kręgielni, na gokarty czy do muzeum. Chciałabym też zwrócić szczególną uwagę na odwiedziny rodzinne. Przykro stwierdzić, ale dzieci często nie znają swoich dalszych cioć, wujków, kuzynów, bo rodzice ograniczają kontakt do babć, dziadków i ewentualnie swojego rodzeństwa. Może warto by w wolną od handlu niedzielę wybrać się do dawno zapomnianej cioci, która mieszka zaledwie 15 km dalej?

Nie chcę nawet wspominać o sąsiadach. Zaczęła panować kultura „niewtrącania się" i w efekcie ludzie często nie znają swoich sąsiadów z tej samej klatki, z tego samego piętra w bloku. Bardzo mnie to dziwi: sąsiad – paradoksalnie – jest bliższy niż rodzina, bo mamy go na co dzień, to do niego możemy się zwrócić w razie nagłego problemu, do niego pójść po radę czy po cukier, kiedy zabraknie go nam w szafce w którąś z niedziel wolnych od handlu. Kiedy opowiadam znajomym, że mam supersąsiadów, najczęściej są zaskoczeni. „Ja do swoich nie chodzę. Po co mi to? Nie chce mi się. Oni się wtrącają" itd., itp. Bardzo to przykre. Potem dziwimy się, że nikt przez tydzień nie wiedział o śmierci jakiejś pani z mieszkania obok albo nikt nie interweniuje, kiedy na podwórku tuż za płotem słychać głosy maltretowanych dzieci.

Naprawdę opcji spędzania niedziel jest mnóstwo. Z felietonu pana Wolskiego wynika, że jesteśmy społeczeństwem ograniczonym, upośledzonym, bez wyobraźni i idącym na łatwiznę. Oczywiście, że tak jest najprościej. „Nie wiesz, gdzie zabrać swoją kobietę w walentynki? Przyjdźcie do galerii! W ten wyjątkowy dzień przeceny na wszystko: od pralek, przez kolczyki, do artykułów chemicznych!", „Zabierz swoje dziecko do galerii. Wykwalifikowana opiekunka zagospodaruje jego czas, a ty wtedy kupisz najnowszy telewizor full HD, 8D ze świecącą obudową i czujnikiem ruchu! Ściereczka do kurzu GRATIS! A jak cię nie stać, to przynajmniej nacieszysz oko!". Żyjemy w dobie uzależnień. Uzależnień od wszystkiego: komputerów, tabletów, telewizorów, słodyczy. Jednym z uzależnień jest konsumpcjonizm, robienie zakupów, poszukiwanie promocji.

Ustawa o zakazie handlu w niedzielę ma luki i błędy. Niestety, często może obrócić się przeciw paniom na kasach, bo handlarze wymyślają ślęczenie nad kasą do północy, czy – o zgrozo! – handel po nocach. Czy naprawdę jesteśmy tak upośledzeni, że nie wytrzymamy jednego dnia z zakupem nowej szafki? Trudno mi uwierzyć, że zdarzą się przypadki śmierci głodowej, bo ktoś nie kupił chleba w sobotę, a kolejny dzień to niedziela wolna od handlu i... tragedia gotowa. Być może zakaz handlu w niedzielę nie będzie antidotum na bolączki pracowników, ale może stanie się antidotum na nasze uzależnienia. Oby tak się stało.

Pozdrawiam serdecznie
Aleksandra G.

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Michał Dyjuk, Mateusz Włodarczyk, Adam Chełstowski/FORUM, FOTOLIA; oprac. graf.: MIDAS/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 94,5 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 7f4145e991

PATRONAT DO RZECZY

Nagroda im. Lecha Kaczyńskiego dla Morawieckiego

Nagrodę na ręce premiera Mateusza Morawieckiego przekazała córka śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego – Marta Kaczyńska FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Premier Mateusz Morawiecki został laureatem Nagrody im. Lecha Kaczyńskiego przyznawanej przez Ruch Społeczny im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Uroczystość odbyła się w Warszawie na Stadionie Narodowym.

Nagrodę na ręce premiera Mateusza Morawieckiego przekazała córka śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego – Marta Kaczyńska. Uzasadniając przyznanie nagrody Mateuszowi Morawieckiemu, wiceprezes Ruchu Społecznego Włodzimierz Bernacki stwierdził, że laureat jest osobą, która łączy wszystkie cechy i zasady, które realizował oraz ucieleśniał prezydent Lech Kaczyński.

– Traktuję tę nagrodę jako wielkie zobowiązanie do podążania drogą, jaką wyznaczył Lech Kaczyński swoją pracą, ideałami i wizją – powiedział premier, odbierając nagrodę. Dodał, że były prezydent „mieścił w sobie wiele pierwiastków polskości, które rzadko w jednym człowieku można spotkać, jak jednocześnie połączenie miłości do tradycji z dążeniem do nowoczesności, jak wolności i solidarności, romantyzmu i pozytywizmu, ale także konsekwencji w realizacji wytyczonych celów połączonej z tolerancją i nawet serdecznością wobec swoich adwersarzy, w tym politycznych".

Premier mówił też, że elementem realizacji testamentu politycznego Lecha Kaczyńskiego jest utrzymywanie i wzmacnianie sojuszu NATO jako tego, który dla Polski jest jedyną i najważniejszą gwarancją bezpieczeństwa, a także że z tego punktu widzenia niezwykle ważna jest obecność w naszych granicach amerykańskich wojsk i zakup amerykańskich rakiet systemu obrony przeciwlotniczej.

W uroczystości wzięli udział także Jarosław Kaczyński, lider PiS, marszałek Sejmu Marek Kuchciński oraz minister spraw wewnętrznych i administracji Joachim Brudziński.

Podczas wcześniejszych edycji konkursu prestiżowe wyróżnienie przyznano m.in. Władysławowi Stasiakowi, Krzysztofowi Wyszkowskiemu, prof. Krzysztofowi Szwagrzykowi, Zofii Romaszewskiej, Andrzejowi Dudzie oraz Andrzejowi Gwieździe. ©℗ *(ww)*

REKLAMA

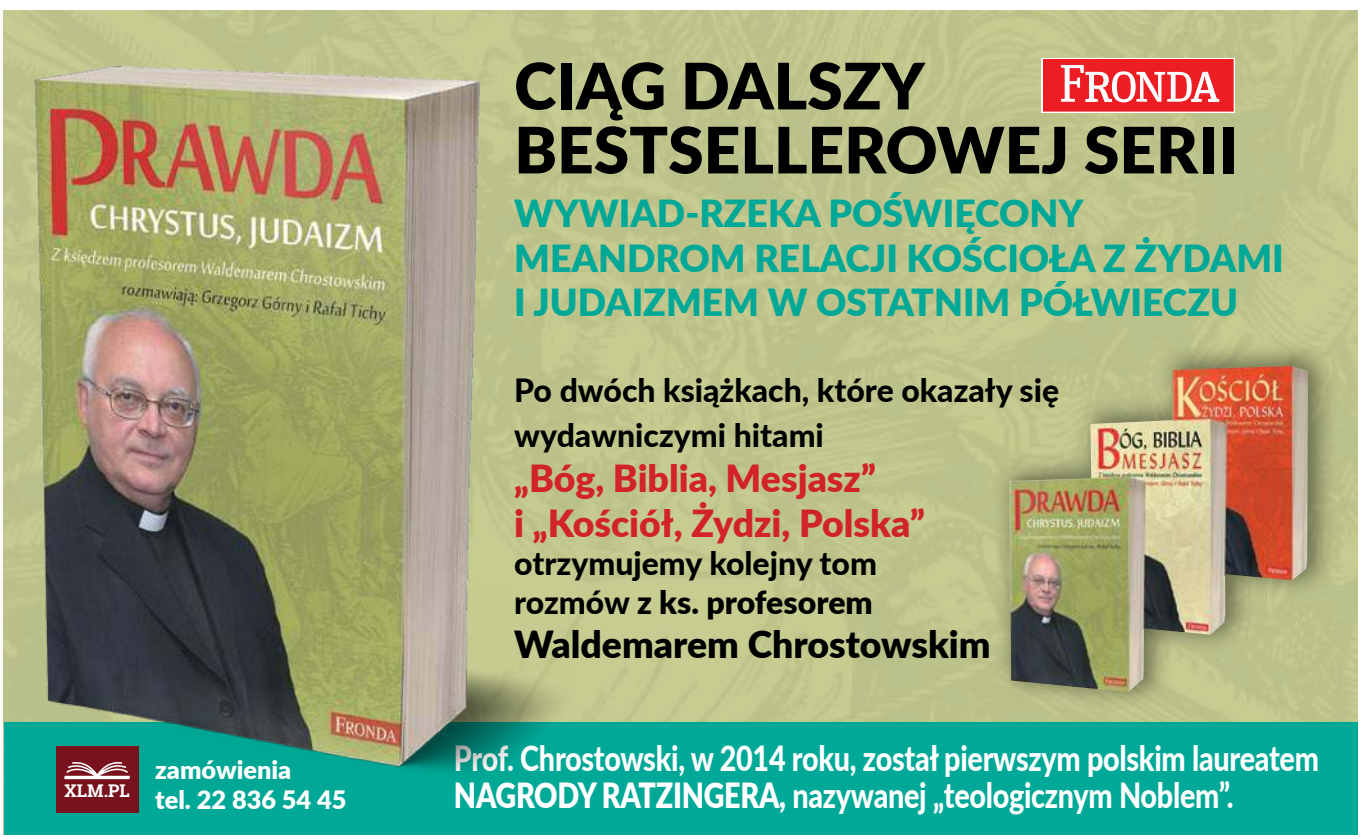

eprasa.pl 7f4145e991

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Austria cwaniaczkowata

„A.E.I.O.U." – ten tajemniczy skrót intryguje turystów z całego świata, którzy podziwiają najwspanialsze budowle z imperialnych epok Habsburgów. Skrót stworzył rozmiłowany w okultyzmie cesarz Fryderyk III (1415–1493), a po nim przejęła go dynastia habsburska. Co oznacza? Sam cesarz za życia nie wyjaśnił tego dokładnie, więc istnieje ponoć aż 300 różnych rozwinięć tego skrótu. Jedna z trzech najczęstszych interpretacji brzmi: „Austria Erit In Orbe Ultima", czyli w wolnym tłumaczeniu „Austria zostanie na świecie jako najlepszy gracz".

Austriacy okazali się bardziej prorosyjscy nawet od Orbána. Z Węgier usunięto jednego rosyjskiego dyplomatę

Ta dość pyszałkowata dewiza Habsburgów przypomniała mi się, gdy usłyszałem, jak austriacki kanclerz Sebastian Kurz ogłasza, że jego kraj nie przyłączy się do euroatlantyckiej akcji usuwania rosyjskich dyplomatów. Obok Austrii podobną decyzję podjęły Bułgaria, Cypr, Grecja, Słowenia, Portugalia i Malta. U Bułgarów i Słowaków zagrała solidarność słowiańska, u Greków i Cypryjczyków – wspólna prawosławna wiara, a dla Portugalii Rosja to kompletna egzotyka. Maciupeńka Malta ogłosiła, że ma za mało dyplomatów rosyjskich, by jeszcze kogoś usuwać.

No dobrze – spyta ktoś – a co ugryzło Kurza? „Austria jest neutralnym krajem i chce budować mosty między Wschodem a Zachodem" – ogłosił austriacki kanclerz oraz szefowa dyplomacji Karin Kneissl. Mało kto w Polsce pamięta, że Austria należy do Unii Europejskiej, ale po 1989 r. nigdy nie aspirowała do NATO.

Status państwa neutralnego był ceną za wyjście z Austrii Armii Czerwonej, która okupowała 30 proc. kraju. W 1955 r. Chruszczow podpisał z USA, Wielką Brytanią i Francją układ o wieczystej neutralizacji republiki austriackiej. Przez kolejne trzy dekady Austriacy żyli z bycia śluzą między NATO a Układem Warszawskim. Sowieci sprowadzali z cichą pomocą Austriaków technologie objęte zachodnim embargiem, a CIA traktowała Wiedeń jako bazę do akcji za żelazną kurtyną. A Austriacy byli bardzo dumni, że w zimnowojennym świecie żyją ze wszystkimi za pan brat. Już w naszym wieku doszedł do tego sentyment Partii Wolności (FPÖ), która obecnie współrządzi z ludowcami od Kurza, do Putina jako strażnika solidnych konserwatywnych wartości. Co ciekawe, Austriacy okazali się bardziej prorosyjscy nawet od Viktora Orbána. Z Węgier mimo wszystko usunięto jednego rosyjskiego dyplomatę.

Jakie z całej tej historii płyną dla nas wnioski? Pierwszy, że w polityce poszczególnych krajów stare nawyki są niezwykle ważne. A kraje, którym spodobała się pewna rola w przeszłości, lubią do niej wracać. Po drugie, że spełniają się moje przestrogi, iż z Kurzem, owszem, będzie Polsce po drodze w kwestii imigrantów, ale Austria zawsze będzie uważała się za coś wyjątkowego między Zachodem a Wschodem. I nie będą jej frapowały żadne Wyszehrady czy Trójmorza. Wszystko w myśl dewizy A.E.I.O.U. – Austria najlepszym, ale i osobnym graczem, który czeka z boku, kto wygra.

Polski na to nie stać. I w tym cała różnica. ©℗

FOT. KONRAD PAPROCKI/REPORTER

POLACY GOTOWI NA MUNDIAL

Wynikiem 3:2 zakończyło się w zeszłym tygodniu towarzyskie spotkanie Polski z Koreą Południową na zmodernizowanym Stadionie Śląskim w Chorzowie. Był to drugi po meczu z Nigerią sprawdzian przed czerwcowymi mistrzostwami świata. – Po dwumeczu z Nigerią i Koreą dostrzegam więcej plusów, ale w dalszym ciągu jest nad czym pracować – mówił kapitan polskiej reprezentacji Robert Lewandowski, podkreślając, że do poprawy jest m.in. ofensywa.

(jap) ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. DAMIAN BURZYKOWSKI/NEWSPIX.PL

10 KWIETNIA ODSŁONIĘCIE POMNIKA

Prawo i Sprawiedliwość poinformowało na swojej stronie internetowej, że 10 kwietnia na pl. Piłsudskiego w Warszawie odsłonięty zostanie pomnik Ofiar Tragedii Smoleńskiej (na zdjęciu makieta). Uroczystość rozpocznie się o godz. 8 mszą świętą w intencji ofiar w kościele seminaryjnym. Po mszy przed Pałacem Prezydenckim odbędzie się apel pamięci. Następnie – już na pl. Piłsudskiego – wyemitowane zostaną dwa filmy. O godz. 15 uczestnicy uroczystości odmówią Koronkę do Miłosierdzia Bożego, a pół godziny później pomnik zostanie uroczyście odsłonięty. Tego dnia oprócz pomnika odsłonięty zostanie również kamień – w miejscu, gdzie w przyszłości stanąć ma pomnik poświęcony pamięci prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Na godz. 16.30 zaplanowano koncert, a po nim mszę w bazylice archikatedralnej pw. św. Jana Chrzciciela. Po mszy Jarosław Kaczyński ma wygłosić przemówienie przed Pałacem Prezydenckim. Uroczystości zakończą się przed pomnikiem Ofiar Tragedii Smoleńskiej o godz. 21.15. Autorem koncepcji pomnika przypominającego schody trapu samolotowego jest Jerzy Kalina. ©℗ ***(luz)***

USA przeciw ukraińskim neonazistom

„Fundusze zatwierdzone w tym akcie prawnym nie mogą zostać wykorzystane w celu dostarczania broni, organizowania szkolenia czy innej pomocy dla Batalionu »Azow«" – zapisano w zatwierdzonym dokumencie zawierającym zestawienie planowanych wydatków amerykańskiego rządu. Podobne zastrzeżenia miały znaleźć się w dokumentach tworzonych w poprzednich latach, ale ostatecznie je wykreślano. Tym razem jednak USA wyraźnie zaznaczają, że „Azow" nie będzie wspierany.

Dlaczego? Ze względu na kontrowersyjne poglądy i wypowiedzi członków batalionu powstałego w 2014 r. Stojący na czele „Azowa" Andrij Biłecki jest również liderem neonazistowskiego Zgromadzenia Socjal-Narodowego i jego paramilitarnego ramienia Patriota Ukrainy. Obie z tych organizacji wchodzą w skład Prawego Sektora. Biłecki dał się poznać jako skrajny nacjonalista i antysemita, m.in. za sprawą stwierdzenia, że historyczną misją jego narodu jest „przewodzenie białej rasie w jej ostatniej krucjacie ku przetrwaniu. Krucjacie przeciwko rządzonym przez Semitów podludziom".

Składający się z ochotników „Azow" powstał w maju 2014 r. jako batalion, a we wrześniu tego samego roku został przekształcony w pułk. Powołano go w związku z nasilającym się na Ukrainie prorosyjskim separatyzmem. ©℗ ***(raw)***

REKLAMA

www.hospicjum.lublin.pl

Lubelskie Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia

Materiał promocyjny został sfinansowany ze środków finansowych pochodzących z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

eprasa.pl 7f4145e991

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Prawo plemion

Źle reaguję, przyznaję, gdy amerykańscy politycy biorą się do pouczania Polaków i innych narodów Europy Środkowej w kwestii „restytucji mienia". Jeśli trzymać się kryteriów moralnych, którymi uwielbiają się Amerykanie posługiwać przy takich okazjach, to całe USA nie są niczym innym, tylko własnością ukradzioną prawowitym właścicielom. Zamiast kazań, oczekiwałbym od nich raczej dobrego przykładu: pełnej restytucji mienia indiańskiego. Dopiero wtedy amerykańscy senatorowie mieliby prawo wypisywać swoje moralizatorskie rezolucje, choć zapewne musieliby w celu ich uchwalenia spotykać się na jakichś łodziach lub tratwach.

Nie uchwalajmy złego prawa na złość, żeby potem sromotnie rejterować

Ale cóż zrobić? Amerykanie są bogaci (choć nie aż tak, by nie ulegać żydowskiemu lobbingowi), a my nie, i to ustawia także kwestie moralne.

Kolejny taki akt – tym razem protest 59 amerykańskich senatorów przeciwko projektowi polskiej ustawy reprywatyzacyjnej – sprawia więc, że znowu otwiera się scyzoryk w kieszeni, a zęby zaczynają zgrzytać. Rozsądek jednak nakazuje nie poddawać się emocjom i zauważyć na chłodno, że, niestety, znowu się podkładamy. Może więc tym razem nie róbmy już tego samego co w przypadku nowelizacji ustawy – to znaczy, nie nadymajmy się, że nie będą nam inni mówić, nie uchwalajmy złego prawa na złość, żeby potem sromotnie rejterować i je pod dyktando poprawiać.

Amerykanie krytykują pomysł, by reprywatyzacja przysługiwała tylko obywatelom polskim. Niestety, mają rację. Prawa przysługujące „kromie Jewriej" (tzn. z wyłączeniem Żydów) wydawano tylko w carskiej Rosji i nie jest to dobry wzorzec. Problemem w prawie nie jest, gdzie mieszka spadkobierca, tylko to, czy jego roszczenia są uzasadnione. Jeśli spadkobierca naprawdę jest spadkobiercą, to musi być traktowany równo. Ustawa musi natomiast wykluczać roszczenia nieuzasadnione, zwłaszcza żądania organizacji Żydów amerykańskich do przejmowania mienia pożydowskiego prawem kaduka.

Oczywiście kryteria uprawnień do spadku można ustanowić wyśrubowane, a ścieżkę dochodzenia utrudnić – prawnicy to potrafią, a jeśli nie, to są wzorce zagraniczne. Jednak wykluczenie z praw dziedziczenia ze względów plemiennych jest równie niecywilizowane, jak wspomniana wyżej trybalistyczna argumentacja nowojorskich cwaniaków. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Spływajcie cwaniaczki

Nieźle popłynęli. Polska Fundacja Narodowa (ta sama, która dysponując ponad 200 mln zł, nie potrafi przeprowadzić ani jednej efektywnej akcji promującej za granicą dzieje Polski) kupiła we Francji jacht, który z załogą kierowaną przez Mateusza Kusznierewicza ma popłynąć w rejs dookoła świata. Całość kosztować będzie ok. 20 mln zł.

Można by za to zrobić wiele projektów: literackich, filmowych, teatralnych, muzycznych czy popularno-naukowych opowiadających językiem dostosowanym do potrzeb różnych grup wiekowych, że Polska to nie obozy koncentracyjne, ale przez całe wieki oaza tolerancji, że byliśmy europejskim mocarstwem, a walkę o wolność mamy w genach, a także, że mija 550 lat polskiego parlamentaryzmu.

Zamiast tego będzie stara łajba z mylących obcokrajowców napisem: „Polska 100" (popularyzowanie historii tysiącletniej Rzeczypospolitej hasłem sugerującym, że zaczęła się ona 100 lat temu, trudno określić inaczej niż zbrodnią na rozumie), którą zobaczy głównie personel portów, do których zawinie. Zapewne będą też wczasy dla znajomych królika, którzy – można domniemywać – znajdą się w załodze jachtu.

Pieniędzy, które zamiast na promocję Polski ludzie PFN wyrzucili w oceaniczny muł, szkoda. Problem jest jednak głębszy. Nadal nie prowadzimy ważnej w dobie wojny informacyjnej, skutecznej polityki informacyjnej. Zamiast tego jest, co zauważa już nawet twardy elektorat PiS, lukratywna przechowalnia dla współpracowników wpływowego ministra. Jak śpiewała przed laty Anja Orthodox: „To inaczej miało być przyjaciele...". ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ku lodowym górom

Na Titanicu orkiestra grała podobno do końca. Jak głosi legenda (na podstawie zeznań ocalałych), ostatnim utworem był protestancki hymn „Być bliżej Ciebie chcę". Oczywiście PiS jest daleko od tego etapu. Na razie, trzymając się porównania z losami najsłynniejszego liniowca, tniemy równo przez pokryty krą oraz tu i tam lodowymi górami północny Atlantyk, a kapitan od czasu do czasu wesołym głosem każe nadawać sygnał do maszynowni, żeby dołożono do pieca. Tu występuje pewien konflikt z pierwszym oficerem, któremu powierzono bieżącą kontrolę nad statkiem i który rozumie, że gigant za moment może przyfasolić burtą w górę lodową. A może nawet już przyfasolił, tylko jeszcze nie spłynęły meldunki o uszkodzeniach, nikt nic nie wie, a pasażerowie pląsają wesoło na sali balowej.

Kiedy poczujecie, jak lodowata woda wypełnia wam buty, może być już za późno

Przede wszystkim zaś nastąpił daleko idący rozkład łańcucha dowodzenia i co chwila pojawiają się oficerowie różnej rangi, którzy nie słuchają ani pierwszego oficera, ani nawet kapitana, za to co jakiś czas schodzą do maszynowni i poganiają palaczy: „No, dalej tam, dokładać do pieca, nie zwalniamy!". Podczas gdy za moment pojawiają się inni i nakazują: „Obniżyć ciśnienie w kotłach, mamy pełno gór lodowych dookoła, zwolnić trzeba!". Ogłupiali palacze sami już nie wiedzą – dorzucać, nie dorzucać, a może od razu skakać za burtę.

Podczas gdy pierwszy oficer z niepokojem wypatruje gór lodowych i stara się dowiedzieć, czy przypadkiem statek już na którąś nie wpadł, podlegli mu członkowie załogi robią swoje. Na przykład taki bosman Tchórzewski, który beztrosko wrzucił do ustawy o biopaliwach zapis o opłatach za wjazd do centrów miast, przy radosnym dopingu bosman Emilewicz. Każdy w miarę przytomny marynarz, widząc, co się dzieje dookoła i w jakiej sytuacji jest statek, zrozumiałby, że jakieś nowe opłaty – a to emisyjna do ceny paliwa, a to za wjazd do centrów miast – są w tym momencie najlepszym sposobem, żeby wpaść nie na jedną, ale na kilka gór lodowych, jedną po drugiej. Jednak dekompozycja załogi sprawia, że mało kto ogarnia całość sytuacji.

Drodzy marynarze! Kiedy poczujecie, jak lodowata woda wypełnia wam buty, może być za późno. Wtedy pozostanie tylko szukać miejsca w łodzi ratunkowej. A pamiętajcie, że tych nie dla każdego wystarczy. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Zmokły kapiszon

Jeśli piekło jest dobrymi chęciami wybrukowane, to istnieje instytucja, która ma z nich również ściany, fugi, płytki i panele podłogowe. „Z bólem serca patrzę, jak niweczona jest kolejna szlachetna idea. Tym razem budowanie wizerunku Polski na świecie. Polska Fundacja Narodowa okazała się kolejnym, kosztownym niewypałem. Kibole Legii jedną oprawą zrobili więcej niż ten zmokły kapiszon za 20 mln" – odparła Irena Szafrańska. Ale po kolei.

Użytkownik o nicku „Jajeczny" przypomniał przy tej okazji proroczy dialog, który Mateusz Kusznierewicz przeprowadził w zeszłym roku z Jarosławem Kuźniarem. Brzmiał on następująco: „Marzę o rejsie dookoła świata i zrobię wszystko, żeby takie marzenie zrealizować". „Czego ci brakuje?" – zapytał Kuźniar. „Jachtu" – odpowiedział uśmiechnięty żeglarz.

I taki jacht, kosztujący ponad milion euro, wraz z dwuletnim rejsem za około 20 milionów złotych, nagle się w PFN znalazł! „Polska, where the unbelievable happens" – stwierdził Samuel Pereira. I niech mi ktoś teraz powie, że władza PiS-owska nie spełnia marzeń.

„TYLKO U NAS. Polska Fundacja Narodowa odpowiada na zarzuty ws. rejsu dookoła świata. »To ma być zaczątek do rozwoju i działania polskiego żeglarstwa«" – zagrzmiał na Twitterze portal wPolityce. A może w tym szaleństwie jest metoda? Kusznierewicz zadeklarował bowiem, że poparcie PO w wyborach 2015 r. „było błędem". Umie człowiek pływać z wiatrem, więc się sprawdzi.

Gdzieś w tle epickiego sporu o renesans polskiego żeglarstwa na 100-lecie odzyskania niepodległości toczył się na Twitterze inny, nie mniej ważny konflikt. „Bum! Jacek Karnowski z cyklu »Ja wam wszystko chętnie zaśpiewam«" – napisał Łukasz Warzecha w odniesieniu do tekstu, w którym naczelny „Sieci" bronił odwrotu od części reform wymiaru sprawiedliwości w zamian za kompromis z Unią, twierdząc, że to „nie jest wygórowana cena".

„Zauważyłeś, Łukaszu, że im bardziej mnie atakujesz, tym bardziej tyjesz, a ja chudnę" – odpisał ripostą Jacek Karnowski. I tutaj drobna prywata, bo nasze rubryki są obok. Łukaszu – zaatakuj mnie za tydzień na minimum pięć kilo. Będę dozgonnie wdzięczny. ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. CHRISTIAN HARTMANN/REUTERS/FORUM

FOT. BOYER CLAUDE/MAXPPP/FORUM

Bohaterski żandarm będzie beatyfikowany?

Był wzorowym oficerem i praktykującym chrześcijaninem, który przed 10 laty nawrócił się na katolicyzm i aktywnie działał w duszpasterstwie rodzin. Cały świat usłyszał o płk. Arnaudzie Beltrame, gdy ten 23 marca dobrowolnie oddał się w ręce muzułmańskiego terrorysty w zamian za zwolnienie zakładniczki. Niestety, gdy antyterroryści ruszyli do akcji, islamski barbarzyńca zdołał zadać mu rany nożem myśliwskim.

Zanim płk Beltrame zmarł na szpitalnym łóżku, zdążył jeszcze wziąć ślub ze swoją ukochaną Marielle Beltrame – przed zamachem muzułmańskiego terrorysty para planowała pobrać się 9 czerwca. „Byliśmy chrześcijańską parą, a pogrzeb mojego męża, który odbywa się w Wielkim Tygodniu, oraz dzień jego śmierci – piątek przed Niedzielą Palmową – dla mnie są jakimś znakiem" – mówiła żona żandarma cytowana przez katolicki tygodnik „La Vie".

W środę w Paryżu hołd bohaterowi oddała niemal cała Francja z prezydentem na czele. Biskup polowy Antoine de Romanet nie wykluczył zaś wszczęcia procesu beatyfikacyjnego, zaznaczając, że czyn żandarma można porównać do tego, co zrobił św. Maksymilian Kolbe, który w Auschwitz w 1941 r. wybrał śmierć w zamian za innego więźnia. Francuzi mają duży problem z zamachowcami. Dzień po pogrzebie żandarma w pobliżu Grenoble nieznany sprawca usiłował przejechać grupę żołnierzy wracających z porannego joggingu. ©℗ ***(jap)***

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. PAWEŁ GROMADA

JAK PIS NISZCZY ZWIĄZKI

W show-biznesie same głośne rozstania ostatnio. To najgłośniejsze rozstanie dotyczy oczywiście Jarosława Kreta i Beaty Tadli. Po tym, jak pogodynek porzucił prezenterkę, jak donoszą plotkarskie media, domaga się od niej zwrotu pierścionka zaręczynowego, który miał jej wręczyć, choć deklarował, że żenić się nie chce. – Jarek zapowiedział Beacie, że w najbliższym czasie wpadnie do jej domu po swoje rzeczy. Był na tyle bezczelny, że poinstruował ją, żeby go wcześniej spakowała. Dzięki temu ich spotkanie potrwa możliwie jak najkrócej – ujawnia w „Fakcie" znajomy pary. – Dodał, że ma nadzieję, że do jego rzeczy zostanie dołączony pierścionek zaręczynowy, który zakupił dla Beaty w Damaszku – zdradza źródło tabloidu. Wcześniej we wspólnym wywiadzie dla „Vivy" Kret i Tadla nie kryli, że ciężko im się żyje, bo mają wysokie koszty życia, duży kredyt i muszą teraz bardzo dużo pracować, żeby na to wszystko zarobić. Zupełnie inaczej niż w TVP za czasów Platformy. Tam nie trzeba było ciężko pracować, na wszystko starczało, a miłość kwitła. A potem przyszedł PiS i to wszystko zniszczył.

GORZEJ NIŻ U STRASBURGERA

Aktor Maciej Stuhr znów zabłysnął humorem na gali rozdania Orłów. Kiedyś opowiadał dowcipy o Smoleńsku ku uciesze aktorskiej elity, tym razem wziął na warsztat kwestię kłamliwego określenia „polskie obozy". – Podobno himalaista Urubko przypuścił samotny atak na K2, gdyż nie był w stanie wytrzymać w polskim obozie – rzucił Stuhr. Słuchamy tych dowcipasów Stuhra i coraz bardziej rozumiemy, dlaczego tak rozpaczliwie idzie w kontrowersję. Tylko tak jest w stanie przykryć fakt, że opowiada straszne suchary. Nawet Strasburger bywa zabawniejszy!

OBIECANKI CACANKI

PiS jest także winny rozpadu innego medialnego związku. Chodzi o Hannę i Tomasza Lisów. Sytuacja podobna do Tadli i Kreta. Dopóki oboje mieli lukratywne posady w TVP, dopóty jakoś to wszystko szło. Gdy je potracili i zaczęli się tułać po Onetach, TVN-ach i Polsatach, to całą miłość szlag trafił. Chociaż Hanna Lis mówi, że to wszystko przez niezdrowe zainteresowanie ich małżeństwem. – Jeśli chodzi o zmiany w moim życiu prywatnym, to powiem krótko: niełatwo budować udane życie małżeńskie pod tak ogromną presją, jakiej był poddany nasz związek z Tomaszem – mówi Hanna Lis. – Nie tylko medialną, zaznaczę. Od kilkunastu lat mam paparazzich na płocie pod domem albo śledzą mnie na ulicy. I będąc obiektem tego mocno niezdrowego zainteresowania, muszę coś zachować dla siebie. A nie ma nic bardziej intymnego i wartego tego zachowania niż relacje między kobietą a mężczyzną. Dziwię się ludziom, którzy przeprowadzają wiwisekcję swoich związków na łamach mediów. Często po latach od rozstania. Ja nie zamierzam – deklaruje. Biorąc pod uwagę kiepską oglądalność pierwszego odcinka jej najnowszego programu (w Polsat Café tym razem), obstawiamy, że zbyt długo nie wytrwa w tym postanowieniu.

OJCZYZNA POLSZCZYZNA

Patrycja Sołtysik, żona prezentera Andrzeja Sołtysika, zasłynęła tym, że karmi swojego prawie trzyletniego syna piersią i prowadzi w mediach kampanię mającą przekonać sceptyków, że to absolutnie normalne i naturalne. Patrycja dokumentuje też swoje macierzyństwo na Instagramie. Gdy ostatnio wrzuciła zdjęcie ze spaceru, jedna z komentujących osób zapytała ją, czy przypadkiem nie jest w kolejnej ciąży. Patrycję zdenerwowała ta uwaga. Bardzo zdenerwowała. – Myślę, że czasem lepiej ugryźć się w język lub zablokować klawiaturę – odpisała. Potem długo dyskutowała z dziewczynami, które miały inne zdanie, a na uwagę jednej z nich, że nie potrafi przyjmować krytyki, odpowiedziała tak: – Nie bywam nieprzyjemna, tylko stanowcza, stawiam granice, których ludzie zdają się nie doszczegać [pisownia oryginalna – przyp. red.]. Patrycja jest tak stanowcza, że granice stawia wszystkim, bez wyjątku. Począwszy od poprawnej polszczyzny.

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/ODDYW/EAST NEWS

POMIESZANIE Z POPLĄTANIEM

Celebrytka Katarzyna Zielińska w Niedzielę Palmową wrzuciła na swój Instagram zdjęcie z palemką. „Palmy poświęcone?" – zapytała swoich obserwujących. Odpowiedzi jednak nie przypadły jej do gustu, bo internauci przytomnie wytknęli jej, że dwa dni wcześniej maszerowała w czarnym proteście. „Jeszcze w piątek mówiła pani, że popiera kobiety zabijające dzieci. Dzisiaj palmy w kościele" – napisał jej jeden z komentujących. „Dla mnie to hipokryzja" – dorzucił inny. Celebrytka nie kryła oburzenia. „Ej, ty tak naprawdę na serio? Ręce opadają! Zalecam spacer i świeże powietrze" – odpowiedziała. Spacer z palmą czy z wieszakiem? ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy w szoku i lekko zawalił się nasz świat. Otósh dowiedzieliśmy się, uważajcie – was też to może zaskoczyć, iż Fejsbuk zbiera nasze dane i czasem nawet gdzieś je może udostępniać.

Do tej pory zawsze nam się wydawało, iż takie postępowanie to domena raczej CBA, Kaczafiego i episkopatu, którzy pilnie śledzą, co lajkujemy, w jakich postępowych kręgach się obracamy i jakie mamy zainteresowania.

Dowiedzieliśmy się, uważajcie – was też to może zaskoczyć, iż Fejsbuk zbiera nasze dane i czasem nawet gdzieś je może udostępniać

No i teraz nie wiemy, co o całej tej aferze myśleć. Może jednak to tylko spreparowana ściema, iżby osoby w tym kraju zostawiły fejsa, a za chwilę pokaże się jakaś moja-parafia.pl, gdzie podzielić się z frendami można będzie wyłącznie informacją o liczbie odmówionych litanii, a nie o modnych eventach, w których braliśmy udział. A w dodatku zamiast quizu „Jakim daniem z jarmużu jesteś" będą quizy „Jakie święcenia powinieneś otrzymać".

Uważajcie, w tym kraju nic nie jest takie oczywiste. Nie można wierzyć we wszystko, co piszą w internecie.

Tak w ogóle to jesteśmy wielkimi idolami Maćka Stuhra. To wymaga naprawdę nie lada wysiłku twórczego, inteligencji oraz błyskotliwości, aby skonstruować żart z użyciem frazy „polskie obozy", który byłby w miarę zrozumiały dla przedstawicieli polskiego środowiska filmowego.

W ogóle Maciek z każdą kolejną galą Orłów rośnie w naszych oczach. Wiecie, w tych czasach, aby, hehe, żartować sobie z tupolewa, „polskich obozów" czy czegoś tam jeszcze, to trzeba chyba być na tyle alternatywnym, żeby nie mieć internetu i nie widzieć, co ludzie o tym myślą.

Na przykład taki Nowy z Tarnowa za grosz nie ma poczucia humoru, polotu i fantazji. Wyobraźcie sobie, iż przygotował nam w korpo spotkanie z okazji Spring Holidays, ale w takim ultratradycyjnym stylu, w którym of kors żaden osoboczłonek naszego modnego kolektywu się nie mógł odnaleźć.

Na początku Nowy złożył nam życzenia, odwołując się wprost do katolickiego sposobu patrzenia na te święta. Zlekceważył przy tym naszą duchowość, iż odpierając katozabobony zainteresowaliśmy się ostatnio transmigracją duszy, a do Spring Holidays podchodziliśmy ostrożnie, głównie z pozycji religio- i kulturoznawczych. Nowy jednak miał za nic nasze prawa (podobnie jak prawa kobiet, mniejszości oraz człowieka w ogóle) i narzucił nam katonormatywną narrację.

Następnie przyszedł moment na dzielenie się jajeczkiem, pomimo naszych ostrych wegańskich sprzeciwów. Kiedy zasygnalizowaliśmy, iż kłóci się to z naszym światopoglądem, zagroził nam obcięciem premii świątecznej. Pomimo tego iż jesteśmy postępowi, nie byliśmy gotowi na takie poświęcenie. Wygląda więc na to, iż po raz kolejny postęp przegrał z neoliberalizmem.

A na koniec jeszcze Nowy pooblewał nas wodą, iżby uczcić tzw. śmigus-dyngus. Niestety skończyło się to dramatem naszego praktykanta Alexa, któremu zmoczyła się grzywka, przez co spędził pół dnia pracy w toalecie, próbując naprawić to, co Nowy mu popsuł. No i dziwić się potem, iż domagamy się rozdziału Kościoła od korpo??? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 7f4145e991

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dzień sądu nadchodzi. 14 kwietnia na konwencji Zjednoczonej Prawicy zostaną potępione błędy i wypaczenia. A zwłaszcza ci, którzy wyciągają ręce po nagrody, zamiast służyć Polsce. Przy okazji z kolejności przemówień dowiemy się, jaki jest w rządzącej koalicji układ sił. Przemawiać mają Kaczor Dyktator, premier Mateusz i wicepremier Bełata. W tej właśnie, nieprzypadkowej kolejności. Ale to stan na dziś.

Z Bełatą ciekawa sprawa. Jedni w PiS mówią o niej „najważniejsza ziobrystka", a inni o Ziobrze „najważniejszy szydlista". I bądź tu mądry. Jednych i drugich łączy przeświadczenie, że zarówno ziobrystka, jak i szydlista niespecjalnie kibicują premierowi Mateuszowi.

Wiewiórki z kierownictwa PiS twierdzą, że Bełata Ziobrystka jest największym sojusznikiem Zbigniewa Szydlisty we wzywaniu, by w sporze o sądy nie oddawać Komisji Europejskiej ani guzika. Atmosfera się jednak zmieniła i nawet zakon PC uważa, że oprócz guzików można oddać nawet kawałek szynela.

Ciekawa rzecz. Jak opowiadają wiewiórki, na rzecz ustępstw w sprawie sądów działa nieformalna koalicja nazywająca sama siebie gołębiami. W grupie gołębi znajdować się mają m.in. premier Mateusz, wicepremier Jarosław i wicepremier Piotr oraz demoniczny Adam Bielan. Tak, wiemy, wiemy. To ostatnie sformułowanie jest prawie tak fajne jak „demoniczny Krzysztof Szczerski".

Apropos sądów. „Rzeczywistej reformy chorej Rzeczypospolitej nie sposób przeprowadzić w ramach funkcjonującej w Polsce zwulgaryzowanej ideologii demokratycznego państwa prawa" – pisał w 1997 r. autorytet moralny. Jednak z tefauenu się tego nie dowiecie. Tam pytają go tylko o to, jak straszny jest Kaczor Dyktator i jak niszczy państwo prawa. Aha, jeszcze nazwisko tego autorytetu moralnego. Ludwik Dorn.

Apropos premiera Mateusza. Chociaż pierwsze sto dni miał trudne, Kaczor Dyktator zdecydowanie odmawia tym, którzy namawiają go, żeby sam wziął fotel premiera. Na Nowogrodzkiej niektórzy przebąkują za to, że jeśliby było ciężko, a chciwi działacze zanadto się rozbisurmanili, to premierem porządkującym rzeczywistość mógłby zostać JoJo Brudziński. Nie bez powodu ma w partii ksywę Gazrurka.

Apropos nagród. Specjalnie dla naszych czytelników przygotowaliśmy ciekawe zestawienie tytułów z „Faktu". Lipiec 2013 r.: tytuł „Rząd Tuska napchał sobie kieszenie naszymi pieniędzmi", w tekście „Jak policzyliśmy, od początku rządów Platformy Obywatelskiej w ministerstwach i kancelarii premiera na nagrody poszło już 473 mln zł. To chyba światowy rekord!". Marzec 2018 r.: tytuł „Rozpasanie u Szydło, a u Tuska bieda". Są chwile, kiedy tęsknimy za ustawą repolonizującą media.

Na rzecz ustępstw w sprawie sądów działała nieformalna grupa. Znajdować się w niej mają m.in. premier Mateusz i wicepremier Piotr

Na osłodę rząd kupił pierwsze rakiety Patriot. Mamy słodki szczegół z uroczystości podpisywania umowy. W pewnym momencie przedstawiciele Raytheona, czyli producenta, zaciągnęli ministra Błaszczaka do stołu, gdzie koniecznie chcieli mu pokazać coś, co kryło się pod płótnem. Tadaaam! Po zdjęciu płótna ich oczom ukazała się piękna i pełna detali makietka baterii rakiet Patriot. Nawet lepsza od makietki więzienia na Sikawie z „Vabanku 2". Niestety, nie pozwolono zabrać makietki do MON, była tylko na ozdobę. I rób tu interesy ze skąpymi Amerykanami…

Sensacyjne doniesienia z życia Sejmu. Mało kto wie, ale kiedy poseł Baszko opuścił szeregi PSL i naszym zielonym braciom zajrzało w oczy widmo zagłady (to znaczy likwidacji klubu poselskiego z braku jednej szabli), pierwsi pomocną dłoń wyciągnęli kukiści. Wszystko już było umówione, a do pełnienia funkcji dyżurnego ludowca klub Kukiz'15 wydelegował Piotra Apela. Kiedy na stole pojawiła się oferta europejskich demokratów, sprawa się rypła, bo co czterech posłów, to nie jeden. I tak Piotr Apel nie został ludowcem.

Ze świata sportu. Towarzyski mecz Polska – Korea Południowa obserwowała na żywo w Chorzowie liczna delegacja posłów PeŁo, z Grześkiem Schetyną na czele, obok którego kibicowali także m.in. Tomek Siemoniak i Andrzej Halicki. Ferajna opuściła stadion po pierwszej połowie, bo na rano trzeba było być w Warszawie. Gdy wychodzili, było 2:0 dla naszych, a potem zaczęły się kłopoty. Wynika z tego niezbicie, że na mundial do Rosji trzeba wysłać silną ekipę polityków z PeŁo. Przynoszą oni bowiem – tak, wiemy, jak to brzmi – polskim piłkarzom szczęście.

Ze świata gospodarki. Samorządy szaleją. Inwestycje w roku 2018 mają być trzy razy większe niż w roku 2016. Bawi nas to, że największe inwe-

eprasa.pl 7f4145e991

stycje obiecują miasta rządzone przez Eine Totalopposition. Oczywiście nie ma to nic wspólnego z faktem, że mamy rok wyborów samorządowych, więc ciemny lud trzeba jakoś nakłonić, by głosował, żeby dalej było tak, jak było. Bardziej bawi nas jednak, że te szaleństwa przekładają się na wzrost PKB w tym roku. Mniej więcej o dodatkowe 0,4 proc. Z tej okazji ukuliśmy hasło: „Włodarzu! Inwestując, zwalczasz PiS! Zwalczając PiS – wzmacniasz PiS!".

Nie wszystkie rzeczy w samorządzie nas bawią. Niektóre wzruszają. Jak wywiad z marszałkiem województwa mazowieckiego Adamem Struzikiem. „Często publikuje pan zdjęcia przyrody" – rzekła dziennikarka, mając na myśli Struzikowe konto na Fejsbuniu. „Okna mojej sypialni i biblioteki wychodzą na ogród i pobliski jar. Widok jest inny każdego dnia, o każdej porze roku, o każdej godzinie. Trudno się oprzeć pokusie fotografowania tej codziennej przemiany. Staram się uchwycić brzask, świt, księżycową noc. To dla mnie czas relaksu. Ogród jest dość dziki, pełen roślin, ptaków, barw, zapachów, dźwięków… Jak go nie kochać?" – odpowiedział Struzik.

Wywiad ukazał się w piśmie samorządu województwa mazowieckiego „Mazowsze. Serce Polski". Nie wiedzieliście, że takie istnieje. My też. To nowa inicjatywa, bo pierwszy numer ukazał się w styczniu. Oczywiście to też nie ma nic wspólnego z rokiem wyborów samorządowych. To bardzo ciekawy tytuł, wyważony i ciekawy. Nazwisko Adama Struzika w numerze marcowym pojawiło się zaledwie 11 razy na 52 strony. Idealne do czytania o brzasku, o świcie i w księżycową noc.

Tymczasem w Europie. My tu gadu-gadu, a tu zamach stanu. Okazało się, że sekretarzem generalnym Komisji Europejskiej może być każdy, pod warunkiem że jest to Niemiec, a nawet pewien konkretny Niemiec – Martin Selmayr. No i eurodepy smażą protesty oraz rezolucję, bo został przepchnięty na stanowisko ekspresowo i cichaczem, a w dodatku jako demokratyczny kandydat, bo jego jedyna kontrkandydatka (zresztą jego podwładna) wycofała swoją kandydaturę. No to teraz jedno z dwojga – albo niech Europa przyzna, że pracuje wedle PiS-owskich standardów, albo niech zacznie mówić o polskim rządzie „legaliści z PiS".

Kim jest Herr Martin Selmayr? Jeśli Juncker lub Tusk nie goszczą w Warszawie, to polecenia przyjmują właśnie od niego. Przez całe lata ów urzędnik pełnił w Brukseli funkcję podobną do tej, którą sprawował Otto Heinrich Igelström znany również jako Osip w Warszawie epoki stanisławowskiej. Osip wydawał w imieniu carycy Katarzyny II polecenia królowi zwanemu Ciołkiem, czyli Stanisławowi Augustowi. Nie darmo gabinet Angeli zdobi portret imperatorowej. Kto jest w tym przypadku Ciołkiem, państwo sobie ustalą sami.

Sekretarzem generalnym KE może być każdy, pod warunkiem że jest to Niemiec, a nawet konkretny Niemiec – Martin Selmayr

Nawiasem mówiąc, Selmayr może wieść ciekawe dyskusje o historii z innym historykiem, Tuskiem Donaldem. O dziadkach. Byli imiennikami. Jednak dziadek Selmayra miał większe osiągnięcia. Nie dość, że więcej na pagonach, to jeszcze po wojnie został w Jugosławii skazany za zbrodnie wojenne. Gdy wrócił do Niemiec i zajął intratne stanowisko w Organizacji Gehlena. Tak. Denazyfikacja w Niemczech ma wspólne mianowniki z dekomunizacją. Jednak Göring został skazany na śmierć i nikt mu nie zrobił pogrzebu państwowego.

Polska potępia zamach stanu w Komisji Europejskiej i już wprowadziła sankcje wobec Niemiec. Na Akademię Sztuki Wojennej w ramach wymiany i współpracy przybyli oficerowie z Ukrainy i Chin. Ponieważ kraje te nie należą do NATO, to nie do wszystkich zajęć się ich dopuszcza i na wizje lokalne do jednostek wojskowych nie zabiera. A teraz to, co smaczne: przyjechali też oficerowie bratniej Bundeswehry. Ich na wszelki wypadek też się nigdzie nie zabiera. Ciekawe, czy tylko z powodu Selmayra.

Więcej o Martinie Selmayrze na str. 76.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Z wicepremierem Jarosławem Gowinem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego, prezesem Porozumienia
rozmawia Marcin Makowski

Jeśli PiS przegra, to sam ze sobą

MARCIN MAKOWSKI: Chyba nie jest najlepiej?

JAROSŁAW GOWIN: Przechodzimy ostatnio przez pasmo trudnych wyzwań, ale ta świadomość jest w naszym obozie powszechna. Jestem przekonany, że będziemy w stanie dokonać merytorycznej korekty kursu.

A co z korektą moralną?

Nie chcę używać tego zwrotu. Żadnemu politykowi Zjednoczonej Prawicy nie można nic zarzucić od strony moralnej. Natomiast nowe otwarcie wizerunkowe jest konieczne.

Czasu przed wyborami samorządowymi zostało niewiele. Jarosław Kaczyński na spotkaniu wielkanocnym z posłami miał stwierdzić, że jeśli PiS je przegra, to sam ze sobą.

Co do diagnozy problemu, niczym się z Jarosławem Kaczyńskim nie różnimy. Od dawna powtarzam, że nasz obóz może pogrążyć nie tyle opozycja, ile wkradające się w szeregi arogancja władzy i rozprężenie.

Myśli pan czasem, co będzie z polską prawicą, gdy prezesa zabraknie?

Na pewno polska polityka będzie zupełnie inna i musimy się z tym liczyć. W tej chwili nie da się jednak budować scenariuszy na kilka lat do przodu, a jestem przekonany, że Jarosław Kaczyński pozostanie naszym liderem jeszcze przynajmniej przez następną kadencję.

Gdy obserwuje pan środowisko Zjednoczonej Prawicy, nie ma pan wrażenia, że już widać wyraźne pęknięcia w jego strukturze? Coraz wyraźniej zarysowują się poszczególne obozy. Ministra Ziobry, premiera Morawieckiego, wicepremier Szydło, obóz prezydencki. A i pan ma swoje ambicje.

Różnice zdań w polityce są nieuchronne w obrębie jednej partii, a cóż dopiero w koalicji. Do dokonanego przez pana opisu wprowadziłbym jednak uściślenie – na innej płaszczyźnie trzeba stawiać polityków partyjnych, a na innej prezydenta. Andrzej Duda nie jest dzisiaj częścią Zjednoczonej Prawicy, chociaż wywodzi się z naszych szeregów. To, że wokół niego powstaje środowisko polityczne, jest rzeczą nieuchronną. W końcu prezydent w polskiej konstytucji jest ponadpartyjnym arbitrem. W tym sensie oczekiwanie, że głowa państwa wtopi się w główny nurt polityki PiS, byłoby nieuczciwe. Zgadzam się jednak, że zbyt wyraźny konflikt interesów w obozie rządowym podkopałby zaufanie do prawicy w oczach obecnych i przyszłych wyborców. Korekta polityczna, której jesteśmy świadkami w ciągu ostatnich trzech tygodni, służy właśnie m.in. takiemu wyciszeniu.

Mówi pan w trybie przypuszczającym, że konflikty podkopałyby zaufanie i mogą podzielić rząd. Nie mamy już jednak do czynienia z faktami dokonanymi?

Gdybym dał się wciągnąć w pogawędkę na temat sporów w obozie władzy, przyczyniłbym się do ich zaogniania.

Czyli jeśli się nie mówi o konfliktach, to nie istnieją?

Oczywiście, że mogą istnieć, ale gdy rozpowiada się o nich publicznie, to się podwajają.

Ciekawa koncepcja fizyczna. Schrödinger by się nie powstydził.

Odpowiedzialność za własne środowisko polityczne czasami nakazuje trzymać język za zębami. Nie jesteśmy komentatorami, od których oczekuje się bezstronnego i do bólu transparentnego opisu rzeczywistości. Jako ministrowie jesteśmy rozliczani z efektów naszych działań. Bywa, że w imię interesu państwa i racji stanu zasadne jest publiczne artykułowanie różnicy zdań, ale lepiej mówić sobie trudne rzeczy w zaufanym gronie.

Wspomniał pan o korekcie kursu rządu, który wycofuje się z części reform wymiaru sprawiedliwości. Podobnie twierdzi Jadwiga Emilewicz, która zapewnia, że nie ma mowy o ustępstwach wobec Komisji Europejskiej. Tylko wcześniej z ust premier Beaty Szydło słyszeliśmy, że trzech wyroków Trybunału Konstytucyjnego nie można publikować, bo są niezgodne z prawem. Nagle zrobiły się zgodne?

Upieram się przy słowach minister Emilewicz. Obecnie dokonywane zmiany zaproponował nie rząd, ale klub parlamentarny PiS. Co do istoty nie zmieniają one żadnego z fundamentów reformy wymiaru sprawiedliwości. To się może komuś podobać albo nie, ale nie nazwał-

eprasa.pl 7141145e9

bym tych zmian nawet krokiem w tył, lecz krokiem w bok.

A może skokiem w bok?

Nie, na pewno nie. Krokiem w bok w tym sensie, że usuwamy pewien przedmiot sporu z KE i niektórymi rządami zachodniej Europy, nie rezygnując jednak ze skali dotychczasowych projektów i planów.

Załóżmy, że wchodzi pan w buty wyborcy Zjednoczonej Prawicy. Nie za dużo tych „korekt" ostatnio? Wrócę jeszcze do trzech wyroków TK. Dwa lata słyszymy, że nie ma możliwości prawnych, aby ujrzały światło dzienne. I nagle w tydzień nie było tematu. I pan, jako ten wyborca, który wykłócał się miesiącami z kolegami w pracy o rządy prawa, nagle zostaje na lodzie.

Nie wykluczam, że jakaś część twardego elektoratu Prawa i Sprawiedliwości może się poczuć rozczarowana. Myślę jednak, że ogromna większość doskonale rozumie racje, które skłaniają nas do podobnych działań.

Może je pan wymienić?

Idziemy na kompromis, aby móc kontynuować reformy, o których rozmawiamy. Nie dało się tego robić pod pręgierzem ciągłych zarzutów o naruszanie praworządności. Oczywiście mamy też świadomość, że negocjacje nad przyszłym budżetem unijnym weszły w decydującą fazę, i chcemy być przy tym stole. Widzimy również wzrost agresywnej polityki Rosji, a to powinno skłaniać wszystkie kraje europejskie do zacieśniania współpracy. Osobiście uważam, że takich frontów, które dziś są zbyteczne, jest jeszcze kilka.

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

Zamieniam się w słuch.

Najlepszym przykładem jest nowelizacja ustawy o IPN. Po miażdżąco krytycznej opinii prokuratora generalnego jestem przekonany, że niezależnie od orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego ta ustawa wymaga zmian.

Uprzedził pan moje pytanie. Nie widzi pan w oświadczeniu prokuratora generalnego odrobiny schizofrenii? Ta sama osoba, Zbigniew Ziobro, jako minister sprawiedliwości pozytywnie zaopiniowała ustawę, a jako poseł zagłosowała na „tak".

Byłem zaskoczony treścią opinii prokuratora. Rozumiem, że odnosi się ona do tej części ustawy, która rzutem na taśmę została dodana na wniosek klubu Kukiz'15. Nie zmienia to jednak faktu, że uchwalanie prawa obciążonego tak poważnymi wątpliwościami – żeby nie powiedzieć wadami konstytucyjnymi – to błąd. Zarówno koalicji, jak i tych posłów opozycyjnych, którzy za tym prawem głosowali.

Czy w pana odczuciu ustawa o IPN spowodowała straty, które przynajmniej wizerunkowo są już nie do odrobienia?

Nie jestem takim pesymistą. Szczególnie zależy mi na odbudowie zaufania w relacjach z Izraelem i środowiskami żydowskimi, bo w ich rozwijanie byłem zaangażowany przez dziesięciolecia. Napisałem w tej sprawie artykuł tłumaczący polski punkt widzenia, do dziennika „Haaretz". Został on ciepło przyjęty. Strona izraelska nie oczekuje od nas jednak empatii w sprawie Holokaustu, ale zmiany ustawy. Pod tym względem mogę zaręczyć, że żaden ośrodek zewnętrzny nie będzie miał wpływu na prawo pisane w Polsce. Jeśli je zmieniamy, to pod wpływem własnej refleksji. I dlatego nowelizacja jest rzeczą nieuchronną.

Czy ktoś powinien ponieść polityczną odpowiedzialność za obecny stan rzeczy?

Do politycznej odpowiedzialności poszczególnych ministrów pociąga premier albo rada koalicyjna. Podczas niedawnego spotkania kierownictwa Zjednoczonej Prawicy ten wątek się nie pojawił i moim zdaniem słusznie, bo powinniśmy się obecnie skupić na wyeliminowaniu źródeł naszych słabości, a nie na wzajemnym rozliczaniu. Zresztą w tej sprawie każdy z ministrów musi się uderzyć w pierś, również ja, w końcu głosowałem za

nowelizacją. Także w konsultacjach międzyresortowych mogłem zasygnalizować pewne zastrzeżenia.

Wracając do dialogu z Izraelem... Czy widzi pan w nim symetrię i dobrą wolę również z drugiej strony? Miał się pan spotkać z ministrem edukacji Naftalim Bennettem, zanim jednak doszło do wizyty, całą operację odroczono ze względu na oświadczenie, które wystosował izraelski polityk. Chciał mówić o polskiej współodpowiedzialności za Holokaust.

Nikt mi takiego spotkania nie proponował.

Strona izraelska oficjalnie je potwierdziła.

Była to w takim razie jednostronna i niekonsultowana z nami decyzja. Nie miałem żadnego kontaktu z ministrem Bennettem ani z innym przedstawicielem rządu Izraela. Za to wkrótce sam udaję się z wizytą do Izraela i myślę, że to będzie kolejna okazja do lepszego wytłumaczenia naszym partnerom polskiego punktu widzenia na sprawę odpowiedzialności za Holokaust. Niestety, problem braku symetrii, o którym pan wspomniał, jest realny. Dyskusja na kanwie ustawy o IPN odsłoniła ogromne pokłady antypolonizmu – i mówię to z wielkim smutkiem. Jednocześnie moim obowiązkiem jako ministra polskiego rządu jest piętnowanie antysemityzmu. W tej sprawie spotkałem się z przedstawicielami gmin żydowskich. Odbyliśmy długą i dobrą rozmowę. Jestem przekonany, że kontakty rządowe ze środowiskiem polskich Żydów będą miały charakter systematyczny.

Mówi pan o dialogu, ale z drugiej strony mamy wyraźne polityczne i ideologiczne zaangażowanie instytucji takich jak muzeum POLIN. Czy to pomaga?

Rozróżniłbym dwie rzeczy. Samo muzeum w piękny sposób ukazuje wiele wieków współistnienia naszych narodów na polskiej ziemi. Osobna sprawa to nadmierne publicystyczne zacięcie niektórych osób z POLIN. To nie powinno tak wyglądać.

Zmieniając temat... Społeczny projekt zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej wyprowadził na ulice dziesiątki tysięcy osób – głównie młodych. Czy na naszych oczach rodzi się w Polsce nowa, radykalna lewica?

Ona już w Polsce istnieje i nie mam wrażenia, aby specjalnie rosła. W 2015 r. parę procent obywateli głosowało na partię Razem, czyli ugrupowanie skrajnie lewicowe. Niektóre osoby o bardziej wyrazistych poglądach oddały głos na Zjednoczoną Lewicę. Myślę, że skala tych protestów jest zdecydowanie wyolbrzymiana przez media. Gdyby nagle Kościół wezwał do demonstracji w obronie życia, to na ulice polskich miast wyszłyby nie dziesiątki, a setki tysięcy osób. Nie zmienia to faktu, że należy się z szacunkiem odnosić do głosu naszych oponentów i tych, który uważają, iż przesłanka eugeniczna w ustawie antyaborcyjnej powinna zostać zachowana.

A pan jakby w tej kwestii zagłosował?

Moje stanowisko jest jednoznaczne i znane od dawna. Sam nie zainicjowałbym zmiany obowiązujących przepisów, ale jeżeli do głosowania w Sejmie dojdzie, to zgodnie z moim sumieniem zagłosuję za zakazem tego rodzaju aborcji. W praktyce chodzi bowiem o zabijanie dzieci z zespołem Downa, a na to mojego przyzwolenia nie ma.

Nie ma społecznego przyzwolenia na podnoszenie zarobków i nagrody dla polityków. Traktuję tę sprawę jako zamkniętą przez premiera Morawieckiego

To chyba dosyć kłopotliwy projekt dla PiS, prawda?

O tym, jak będzie głosować Zjednoczona Prawica, zadecyduje sumienie poszczególnych polityków.

Prawie 75 proc. ankietowanych źle ocenia wypowiedź Beaty Szydło, która stwierdziła, że nagrody dla członków rządu się należały. W tym połowa zwolenników PiS – jak wynika z sondażu IBRiS dla Radia Zet. Tracicie kontakt z suwerenem?

Nie jestem zaskoczony tymi wynikami, ponieważ wyraźnie widać, że nie ma społecznego przyzwolenia na podnoszenie zarobków i nagrody dla polityków. Traktuję tę sprawę jako zamkniętą przez premiera Morawieckiego. Natomiast premier Szydło nie kierowała się kalkulacjami, komu jej wypowiedź się spodoba, a komu nie, ale głębokim przekonaniem moralnym, że robiła słusznie, przyznając premie.

Czy to „głębokie przekonanie moralne" nie stało, pana zdaniem, w kontrze do narracji Mateusza Morawieckiego?

Żaden obóz polityczny nie jest monolitem. Nawet w jednej partii mogą istnieć odmienne stanowiska. Oczywiście dostrzegam różnicę zdań między obecnym szefem rządu a jego poprzedniczką, ale stanowisko Rady Ministrów oficjalnie wyraża osoba, która nią obecnie kieruje. I wiemy, jak ma na nazwisko.

To teraz coś optymistycznego. Przepłynąłby się pan dookoła świata jachtem za milion dolarów?

Mówiąc szczerze, nie mam czasu nawet na przejażdżkę rowerem wokół Plant.

Kiedy to byłoby dla dobra Polski. Promocja 100 lat odzyskania niepodległości na morzach i oceanach.

Słyszałem, że Polska Fundacja Narodowa ma taki plan. Czy z punktu widzenia PR-owskiego jest on dobry – o to proszę pytać specjalistów.

Wiem, że nie jest pan PR-owcem. Jednak co podpowiada rozsądek? Prawie 5 mln zł na jacht z zagranicy, a potem ok. 20 mln na dwuletni rejs.

Żeby to ocenić, trzeba znać argumentację fundacji. Akurat pomysł na okrążenie globu ze względu na taką rocznicę nie wydaje mi się jakąś szokującą ideą.

A osobiście jest pan fanem działalności PFN?

Jej działania będą oceniać Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz wicepremier Piotr Gliński. Wiem o niej zresztą tyle, ile od czasu do czasu przeczytam na jej temat w Internecie.

I jakie to są recenzje?

Te, które czytam, rzeczywiście dalekie są od entuzjazmu.

Na koniec jeszcze jedna rzecz, która mnie nurtuje. Co by pan pomalował w Polsce na biało-czerwono?

Rozumiem, że odwołuje się pan do pomysłu przemalowania maszyn LOT. Z pewnością może pan znaleźć tysiące osób o większych kompetencjach w tej kwestii.

W ogóle w całej naszej rozmowie strasznie pan skromny.

Jako mężczyzna rozróżniam tylko trzy kolory. Proszę mnie takimi rzeczami nie męczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Pyrrusowe zwycięstwo Morawieckiego?

Łukasz Warzecha

Do spadku poparcia, jeden z sondaży mówi nawet o 12 punktach procentowych, przyczyniły się nie tylko polityczne pożary, lecz także sposób, w jaki obóz rządzący stara się je gasić

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

raport DO RZECZY
Zadyszka w biegu

Spadek poparcia w ostatnich sondażach to przejaw kolejnej zadyszki obozu Zjednoczonej Prawicy od czasu wygranych wyborów w 2015 r. Pierwszy raz o spadku kondycji rządu pisaliśmy rok temu („Do Rzeczy" 14/2017). W raporcie specjalnym pisali: Piotr Semka, Rafał A. Ziemkiewicz i Wojciech Wybranowski FOT. PRZEMYSŁAW TRACZYK

Nie ma żadnego dialogu!" – odpowiedział jednej z dziennikarek Grzegorz Schetyna na pytanie o rysujące się porozumienie z Komisją Europejską podczas swojej niedawnej wizyty w Brukseli. Wbrew zaklęciom lidera opozycyjnej partii dialog trwa i ma szansę zakończyć się kompromisem korzystnym dla obu stron. Czy jednak nie jest to pyrrusowe zwycięstwo – zwłaszcza gdy spojrzeć na najnowszy sondaż przeprowadzony dla TVN, kolejny, w którym PiS traci aż 12 punktów procentowych i zyskuje poparcie na poziomie 28 proc.? Na stratę mogą się składać zarówno ci, których zraziła trwająca zbyt długo wojna z Brukselą o Trybunał Konstytucyjny oraz sądy, jak i ci, którzy uwierzyli w zapewnienia, że żadnych ustępstw nie będzie, a teraz są rozczarowani.

KOSZT „ROZEJMU"

Zaczęło się od krytyki ze strony Brukseli przejmowania kontroli nad Trybunałem Konstytucyjnym i zaproszenia do Polski Komisji Weneckiej na początku 2016 r. Z ówczesnego kierownictwa MSZ płynęły sygnały, że nie była to samodzielna decyzja ministra Waszczykowskiego, lecz posunięcie uzgodnione z samym Naczelnikiem. Nie byłoby w tym nic dziwnego – działania tej rangi z reguły podlegały weryfikacji najważniejszego czynnika decyzyjnego. Konsekwencji nikt chyba jednak wówczas nie przewidywał, tak jak sam Jarosław Kaczyński nie przewidywał, że sprawa TK będzie się ciągnąć przez długie miesiące.

Przeskakując kolejne spotkania, wyjaśnienia, debaty o Polsce, połajanki Guya Verhofstadta, zatroskane deklaracje Fransa Timmermansa oraz trzy kolejne rekomendacje Komisji Europejskiej, etapem na razie formalnie ostatnim jest grudniowa rekomendacja KE, czwarta z kolei, zawierająca konkretne postulaty. Te są następujące.

Po pierwsze – wyłączenie sędziów Sądu Najwyższego spod reżimu obniżonego wieku emerytalnego; po drugie – skasowanie uprawnienia prezydenta do samodzielnego wydłużania mandatów

eprasa.pl 7f4145e991

sędziów SN; po trzecie – skasowanie instytucji skargi nadzwyczajnej; po czwarte – niewygaszanie mandatu obecnych (w chwili publikowania rekomendacji) członków KRS; po piąte – zagwarantowanie wyboru sędziów członków KRS przez innych sędziów; po szóste – zmiana prawa o ustroju sądów powszechnych tak, aby skasować dyskrecjonalne uprawnienie ministra sprawiedliwości do mianowania prezesów sądów; po siódme – „odtworzenie niezależności i legitymacji TK", m.in. poprzez publikację nieopublikowanych dotąd orzeczeń; po ósme – powstrzymanie się od działań i publicznych wypowiedzi, które mogłyby głębiej podważać legitymację wymiaru sprawiedliwości.

Jak nietrudno się zorientować, niektóre z punktów – dotyczy to głównie sposobu powoływania członków KRS – uderzałyby w samą istotę zmian dokonywanych przez PiS, więc zapewne nie zostaną podjęte. Inne decyzje zostały już jednak zapowiedziane – np. rezygnacja z samodzielnego mianowania prezesów sądów przez ministra sprawiedliwości czy publikacja orzeczeń TK. A nie są to też warunki łatwe do spełnienia. Sędziowie, zaangażowani w polityczną walkę z rządem, twierdzą wprawdzie, że ta pierwsza kwestia nie ma już znaczenia, bo „Ziobro, kogo chciał, już mianował", ale nie mają racji. Jest to jednak rezygnacja z istotnej prerogatywy. Jednorazowa nominacja nawet sędziego będącego z ministrem w dobrych relacjach nie jest na zawsze – a kolejna tak łatwo nie zostanie przeprowadzona. Już mianowany prezes zyskuje dzięki nowemu rozwiązaniu większą niezależność, nawet jeśli jego rola pozostaje mocno ograniczona.

Z kolei kwestia publikacji wyroków TK to sprawa prestiżowa, ale też mogąca mieć potencjalne konsekwencje prawne. Przecież rząd odmawiał publikowania tych orzeczeń, twierdząc, że zostały wydane niezgodnie z prawem. Nagle okaże się, że opublikować je jednak można. A więc może powinny były być opublikowane od razu? Może zatem jednak zarzuty, stawiane Beacie Szydło w tej sprawie, mają oparcie prawne?

Nie ma na razie decyzji w sprawie skargi nadzwyczajnej, która była pomysłem prezydenta, przedstawionym przy okazji weta w lipcu 2017 r. Jeśli miałaby ona zniknąć lub zostać drastycznie ograniczona, to byłby to koszt, który musiałby zapłacić również Andrzej Duda. I niewykluczone, że zostanie o to poproszony.

Zjednoczona Prawica nie przewidziała kosztów, jakie generowały niektóre konflikty, m.in. ten o Trybunał Konstytucyjny

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

To pokazuje, jak duża jest w PiS determinacja, żeby jednak sprawy zamknąć, nawet relatywnie wysokim kosztem. Dlaczego? I co się zmieniło od 2016 r.? Dlaczego wtedy się nie dało, a teraz można?

CO SIĘ ZMIENIŁO?

Na sprawę trzeba spojrzeć w szerokim kontekście, bo konflikt ma dwie strony: po jednej jest rząd PiS, po drugiej nie tylko Komisja Europejska, lecz także przede wszystkim Berlin. Po polskiej stronie przez długi czas trwało przekonanie, że wystarczy tylko być stanowczym, a wszystko uda się przewalczyć i przetrzymać. Jarosław Kaczyński machał nawet ręką na procedurę z art. 7 pkt 2 traktatu lizbońskiego, słusznie uważając, że w Radzie Europejskiej nie uda się nigdy uzyskać jednomyślności w kwestii uznania, iż Polska „poważnie i trwale" narusza praworządność. Priorytetem było konsolidowanie elektoratu w kraju i utrzymywanie jak najgłębszego podziału na dwa obozy, bardzo łatwo etykietowane przez prorządowe media jako „propolski" i „obóz zdrady". Opozycja bardzo ochoczo się w ten podział wpisywała i akceptowała takie reguły gry. Kaczyński nie brał jednak w ogóle pod uwagę kosztów, generowanych przez cały czas przez trwający konflikt.

Po drugiej stronie byli urzędnicy KE, w szczególności „dysponent" polskiego tematu Frans Timmermans, zaangażowany w sprawę emocjonalnie. Był także Donald Tusk i była Angela Merkel. Co ważne, politycy niemieccy w Berlinie niemal nigdy nie zabierali głosu na temat polskich problemów z Brukselą. Tylko raz, przed wyborami do Bundestagu, Merkel w dość łagodnych słowach odniosła się do polskiej sytuacji. Robotę wykonywały ewentualnie niemieckie media i, na własny rachunek, niemieccy politycy w PE. Wynikało to z profesjonalizmu niemieckiej polityki. Berlin widział już, jak zmienia się Unia, a zarazem nie mógł być pewny, że rząd PiS jest jedynie efemerydą. Wszystkie opcje musiały zostać otwarte. Pani kanclerz nie miała interesu w tym, żeby jawnie wspierać kampanię KE przeciw Polsce, ale też nie starała się jej jakoś szczególnie mitygować.

Co się zatem zmieniło? Bardzo wiele. Po polskiej stronie zaczęła rosnąć świadomość kosztów konfliktu. Od początku urzędowania w fotelu premiera miał ją Mateusz Morawiecki. Te zasoby polskiej dyplomacji, które można było skierować na budowanie pozytywnego przekazu na temat Polski jako stabilnego i bezpiecznego miejsca do inwestowania oraz które mogły służyć wciągnięciu nas w dyskusję na tematy dla UE kluczowych (imigracja, unia bankowa, dwie prędkości, polityka klimatyczna), przez większość trwania rządu Beaty Szydło były skierowane na walkę z zarzutami o łamanie praworządności. Najbardziej realna groźba pojawiła się jednak, gdy zaczął się materializować pomysł, aby w kolejnej perspektywie budżetowej powiązać rozdział funduszy unijnych z przestrzeganiem praworządności. Jak miano by stwierdzić, czy w danym kraju praworządność jest naruszana – nie wiadomo. Być może działałaby tu procedura z art. 7, z tym że z punktu 1,

eprasa.pl 7f4145e991

który mówi, że Rada Europejska większością czterech piątych głosów stwierdza „istnienie wyraźnego ryzyka poważnego naruszenia przez Państwo Członkowskie wartości, o których mowa w art. 2". Jako że instrumentem nacisku byłyby fundusze UE, Polska w takiej sytuacji mogłaby mieć znacznie większe problemy z zebraniem mniejszości blokującej niż przy procedurze oderwanej od podziału funduszy. Mniejsze fundusze to zaś wymierne koszty dla gospodarki również dlatego, że jakakolwiek konkretna sankcja odbiłaby się z automatu na kursie naszej waluty, a zwłaszcza na oprocentowaniu polskich obligacji, a więc powiększyłaby nasz dług publiczny, co z kolei musiałoby się z czasem przełożyć na obciążenia fiskalne. Wszystko to oczywiście podważyłoby opowieść o krainie mlekiem i miodem płynącej, w dodatku pod rządami premiera, który ma ambicję być drugim Eugeniuszem Kwiatkowskim. Żeby tę wizję realizować, Morawiecki musiał zacząć konflikt wygaszać. Szczególnie że na samym wstępie dostał jeszcze po głowie awanturą związaną z ustawą o IPN. Tylu srok za ogon nikt nie jest w stanie trzymać.

Jednak wygaszanie konfliktu nie byłoby możliwe bez gotowości drugiej strony. Tutaj paradoksalnie najbardziej mógł nam pomóc brexit. Wychodzenie Wielkiej Brytanii z UE oznacza zmianę systemu równowagi wewnątrz Unii. Niemcy, którzy nie są zachwyceni pomysłami finansowej integracji płynącymi z Paryża, nie mają teraz innego partnera, który może stanowić przeciwwagę dla Francji. Zarazem partnera bardzo ważnego gospodarczo. Merkel jest przywódcą skrajnie pragmatycznym i – inaczej niż choćby Timmermans – nie żywi żadnej osobistej niechęci czy uprzedzeń wobec PiS. Jest gotowa pogodzić się z dłuższymi rządami tej partii w Polsce, skoro jest jej to potrzebne.

A jest jej Polska potrzebna również po to, żeby doprowadzić do rozsądnej reformy polityki azylowej, bo dla Berlina jest jasne, że nie da się wprowadzić przymusowego podziału imigrantów pomiędzy kraje członkowskie, ale też, że dotychczasowe porozumienie z Dublina nie przystaje do sytuacji.

Poza tym zbliżają się wybory do Parlamentu Europejskiego, a wziąwszy pod uwagę wynik ostatniej elekcji parlamentarnej we Włoszech, brukselska elita nie chce dawać paliwa partiom, które określa jako eurosceptyczne.

Swoją rolę odegrali też walczący z rządem polscy sędziowie. Kolejnymi wystąpieniami przeciwko reformom wymiaru sprawiedliwości, coraz ostrzej zaznaczając swoje polityczne nastawienie, paradoksalnie zaczęli dowodzić tezy rządu, że polska judykatura była skrajnie upolityczniona, a zmiany mają służyć właśnie jej odpolitycznieniu. Tego żaden z krytyków rządu PiS w aparacie Komisji Europejskiej nie powie głośno, ale taka właśnie opinia pojawia się w kuluarowych rozmowach.

W planie taktycznym zasadnicze znaczenie ma jednak procedura z pkt. 1 art. 7, tworząca typową dla sporów wewnątrz UE sytuację jak z pojedynku na szosie: naprzeciw siebie jadą dwaj kierowcy, żaden nie chce ustąpić, ale obaj mają świadomość, że jeśli nie zrobią uniku, najlepiej jednocześnie, to obaj mogą zginąć.

Żeby przejść do dalszego etapu procedury z art. 7, najpierw Polska czterema piątymi głosów członków RE musiałaby zostać uznana za stwarzającą poważne ryzyko naruszenia wartości, bardzo ogólnie opisanych w art. 2. I tu zaczynają się schody oraz wielopiętrowa kombinacja. Komisja Europejska nie byłaby tak skłonna do kompromisu, gdyby miała pewność, że Polska procedury nie zablokuje. Takiej pewności jednak nie ma – podobnie jak my nie mamy z kolei pewności, że ją zablokujemy. Dlatego żadna ze stron nie pali się, żeby to przetestować w praktyce, doprowadzając do głosowania. Lepiej, aby wszystko skończyło się przed nim.

Wiele krajów UE – nie tylko Węgry czy Litwa, które zapowiedziały głosowanie w obronie Warszawy – wysyła mniej lub bardziej klarowne sygnały swojego niezadowolenia z dotychczasowej postawy Komisji. Ostatnio takie sygnały wysyłała np. Łotwa. Te kraje, które chciałyby z nami trzymać – oczywiście nie z idealizmu, ale aby samemu nie stać się kiedyś obiektem podobnej akcji – podejmują jednak również pewne ryzyko i ponoszą polityczny koszt, dlatego musimy dać im punkt oparcia, podobnie zresztą jak samej Komisji. Tym punktem oparcia są właśnie polskie ustępstwa.

To jest duża gra, w której ambicje naszych wewnętrznych graczy, w tym przede wszystkim ośrodka skupionego wokół Zbigniewa Ziobry, mniej się liczą. Znamienne jednak, że sam Ziobro – mimo oczekiwań formułowanych w Brukseli – nigdy nie pojawił się tam, aby tłumaczyć swoje pomysły lub negocjować ustępstwa. Był za to Adam Bielan jako osobisty wysłannik Jarosława Kaczyńskiego.

RACHUNEK STRAT

Czy ktoś na kompromisie może stracić? Ależ oczywiście. Po pierwsze – osobiście wiceprzewodniczący KE Frans Timmermans. Katolik z południa Holandii, o nietypowym, żywiołowym temperamencie, zrobił z postępowania przeciw Polsce osobistą krucjatę – swoje polityczne „być albo nie być". Nawet wtedy, gdy ustalenia w sprawie porozumienia już zapadły, Timmermans potrafił wciąż wypowiadać niezwykle ostre sądy. Po drugie – Donald Tusk. Jednak podporządkowanie przez niego stanowiska przewodniczącego RE własnym ambicjom politycznym jest coraz gorzej widziane i w Brukseli, i w Berlinie. Po trzecie – polska opozycja w postaci PO i Nowoczesnej. Dla tych dwóch ugrupowań wygaszenie konfliktu między Brukselą a Warszawą to tragedia. Nie tylko zamknęłoby dopływ bieżącego paliwa, lecz także w dodatku sprawiłoby, że zmiany w sądownictwie zostałyby niejako usankcjonowane przez Brukselę. Po czwarte – Zbigniew Ziobro, który i tak przeżywa ciężki politycznie czas, a teraz pilotowane w dużej mierze przez niego zmiany musiałyby zostać znacznie złagodzone.

Gdyby sprawa została zamknięta, Polska wreszcie mogłaby zacząć się zajmować innymi kwestiami. Byłby to sukces, ale trochę na zasadzie wyprowadzenia z mieszkania kozy, którą samemu się tam wcześniej zainstalowało, jak w znanym szmoncesie. Straconego wysiłku i czasu nikt i nic nam nie zwróci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Z Marcinem Mastalerkiem, politykiem PiS, byłym posłem i rzecznikiem partii
rozmawia Kamila Baranowska

Prawica chce powtarzać schematy

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

KAMILA BARANOWSKA: Patrząc na ostatnie wydarzenia, widać, że PiS złapał zadyszkę. Jest szansa na drugi oddech?

MARCIN MASTALEREK: Zawsze jest. Trzeba patrzeć do przodu, nie wstecz, planować, układać strategię i później ją konsekwentnie realizować. Jednak żeby to skutecznie robić, trzeba najpierw – jak to się ładnie mówi w PiS – stanąć w prawdzie.

To znaczy?

Trzeba uznać pewne fakty. A one są następujące: to było sto bardzo trudnych dni nowego rządu, duże wyzwania, sytuacja międzynarodowa ułożyła się tak, jak się ułożyła, i dzisiaj trzeba to zaakceptować. Trzeba pamiętać, że nie ma już naturalnego powyborczego entuzjazmu. Trzeba szukać nowego otwarcia, odbicia się i wyjścia do przodu. Jeżeli obóz rządzący będzie zasłaniał oczy i udawał, że nic się nie stało, to nie będzie mógł ruszyć do przodu.

W jaki sposób mógłby ruszyć do przodu?

Aby przejść do ofensywy, potrzebny jest jeden odpowiedni moment, skupienie na sobie uwagi mediów i opinii publicznej, ale w pozytywnym kontekście. Wielokrotnie mówiłem o timingu. Ten moment był i został przegapiony. Przed Wielkanocą było posiedzenie Sejmu, na którym można było zaskoczyć opozycję i złożyć wniosek o wotum zaufania dla rządu premiera Mateusza Morawieckiego. To przyciągnęłoby uwagę wszystkich i pozwoliłoby ponad głowami dziennikarzy, publicystów, mediów trafić pod strzechy polskich domów z ofensywnym komunikatem, że rząd otrzymał wotum zaufania, ma mocne poparcie parlamentu, że ma nowe pomysły, które przy tej okazji premier mógłby zaprezentować i które stałyby się tematami przy świątecznych stołach. Uważam, że to był dobry pomysł na nowe otwarcie i – co najważniejsze – pomysł zupełnie darmowy. Opozycja zostałaby postawiona w trudnej sytuacji, oczywiście miałaby swoje zwyczajowe, krytyczne przemówienia, ale to rząd byłby tu rozgrywającym i triumfującym. Zwłaszcza że było dobre uzasadnienie, by coś takiego zrobić. Przecież premier Morawiecki dostał wotum zaufania, mając jeszcze u boku stary rząd Beaty Szydło, dopiero później wymienił ministrów na swoich, dlatego można było zręcznie domknąć tę operację takim posunięciem.

Proponował pan ten pomysł komuś w PiS?

Mam wrażenie, że dziś problemem PiS jest chęć powtarzania pewnych

eprasa.pl 7f4145e991

schematów z kampanii 2015 r. Pewnie zaraz ktoś rzuci pomysł, by tak jak wtedy spróbować przejąć inicjatywę za pomocą wielkiej, efektownej konwencji. Tylko za to trzeba będzie słono zapłacić, a mój pomysł był całkiem darmowy, wykorzystywał instrumenty parlamentarne i narzuciłby narrację na czas Świąt Wielkanocnych.

To naturalne, że jest chęć powtarzania pewnych ruchów, które okazały się skuteczne.

Uważam, że prawica ani dziś, a już zwłaszcza przy okazji zbliżającego się maratonu wyborczego, nie może popełnić błędu z 2007 r. Wtedy robiono kampanię tak, jakby był 2005 r., a Polska się w tym czasie zmieniła, zmieniły się metody prowadzenia kampanii. Jeżeli PiS w 2019 r. dalej będzie kopiował rok 2015, nie będzie szukał nowych, atrakcyjnych metod, to przegra. Nie wiem, jaka będzie sytuacja polityczna i jakie będą tematy za dwa lata, ale trzeba mieć otwarty umysł, dobrze zdiagnozować sytuacje i nie trzymać się utartych schematów, nawet jeśli raz czy dwa razy przyniosły zwycięstwo. Trzeba narzucać własne tematy. W 2015 r. to my narzuciliśmy temat „500+", obniżenie wieku emerytalnego czy sprzeciw wobec wprowadzenia euro. Dziwię się obozowi władzy, patrząc, jak łatwo wchodzi czasami w tematy narzucane przez słabą opozycję albo przez media mainstreamu. Skoro ja, będąc dziś z boku polityki, nie piastując żadnego stanowiska państwowego, potrafię z dnia na dzień wyjść z pomysłem przemalowania samolotów LOT na biało-czerwono w związku ze 100-leciem odzyskania niepodległości i potrafię opowiedzieć to tak, by zainteresować tym media i opinię publiczną, to znaczy, że da się.

Jak pana zdaniem rząd i nowy premier poradzili sobie z kryzysem międzynarodowym wokół nowelizacji ustawy o IPN?

Nie lubię rozmawiać o sprawach międzynarodowych, patrząc wyłącznie przez pryzmat wizerunku czy PR, dlatego że to są kwestie polskiej racji stanu. Co do meritum – rząd miał absolutną rację. Tylko że racja w polityce to za mało. Trzeba swój punkt widzenia potrafić wygrać. Niestety, wszyscy widzieli, że nie byliśmy przygotowani na to, co się wydarzyło. Kiedy rozpoczyna się tak ważny temat, to trzeba mieć pełne rozpoznanie sytuacji, wyznaczony cel, jaki chcemy osiągnąć, i dobrze przygotowaną strategię, którą się później konsekwentnie realizuje. Tego wszystkiego zabrakło.

Mateusz Morawiecki jest porównywany do swojej poprzedniczki Beaty Szydło. Kto z punktu widzenia pierwszych stu dni wypada lepiej?

Komunikacja, PR i marketing polityczny jest tylko funkcją polityki, a nie na odwrót. Same ładne obrazki, piękne tło, na którym filmowani są politycy, czy ładnie ustawione flagi i mikrofony nie zastąpią czystej polityki. Szarlatani, którzy opowiadają, że wszystko można zrobić tylko przez PR, są domorosłymi chwalipiętami. Dobra polityka to: jasno wyznaczone cele, dobra strategia i konsekwencja w ich realizowaniu, a dopiero później można to opakowywać, komunikować w sposób atrakcyjny i trafiając w odpowiedni moment. Siła obozu Zjednoczonej Prawicy w 2015 r. wynikała z tego, że był świetny program, był lider, były osoby, które miały zadania do wykonania, i na końcu było opakowanie tego wszystkiego. Nie odwrotnie.

Pierwsze sto dni Beata Szydło miała rzeczywiście lepsze, ale trzeba przyznać, że działała w zupełnie innych okolicznościach. Konsumowała entuzjazm wygranych wyborów. Premierowi Morawieckiemu życzę, by to on był jeszcze lepszym premierem. Wszyscy powinniśmy życzyć sobie, aby kolejny premier był lepszy od poprzedniego. Trzymam za niego kciuki. Swoją funkcję objął w trudnym momencie na półmetku kadencji, przed nim trudne zadania, ale ma wszelkie zadatki, by je udźwignąć. Nadchodzi czas ciężkiej pracy, wybory i kampania to duże wyzwanie. Mateusz Morawicki może być dużym atutem w trakcie kampanii, pod warunkiem że współpracownicy premiera nie będą kopiowali stylu Beaty Szydło, bo Mateusz Morawiecki ma swoje atuty i one powinny być eksponowane.

Dzisiaj rząd wysyła sygnały o wygaszaniu konfliktów międzynarodowych – zarówno tego z Izraelem, jak i z Komisją Europejską. Wygląda na kapitulację.

Nie powinno być tu poczucia kapitulacji. To może być sukces całego obozu, jeśli to będzie dobrze zakomunikowane. Zbliżają się wybory, PiS walcząc o interesy Polaków, powinien mieć pewien komfort pozamykania niektórych frontów. Warto zrobić to, tracąc jak najmniej.

Zwróciło moją uwagę, że w ramach szukania prób kompromisu z Komisją Europejską mówi się o korektach ustaw sądowniczych. Jeśli dziś można zrobić pół kroku w tył i świat się od tego nie zawali, to zastanawiam się, gdzie są ci, którzy z prawicowych pozycji odsądzali od czci i wiary, hejtowali, określali najgorszymi inwektywami prezydenta Andrzeja Dudę, gdy wetował poprzednie ustawy. Czy dziś przeproszą? Bo to prezydent miał rację. Zawetował, przedstawił swoje ustawy, one były lepsze, rozładował napięcie oraz emocje i dziś warto to po prostu przyznać. Zarówno wtedy, jak i później odsyłając w trybie następczym ustawę o IPN do Trybunału Konstytucyjnego, prezydent zachował się jak stabilizator sceny politycznej. Dał politykom czas i pole do gry.

Pojawiły się wówczas spekulacje, że Andrzej Duda może nie być kandydatem PiS w wyborach prezydenckich w 2020 r.

Prezydent Andrzej Duda wizerunkowo jest dziś najmocniejszym punktem obozu Zjednoczonej Prawicy

Mam poczucie, że na półmetku prezydentury Andrzeja Dudy wiele osób pogodziło się wreszcie z tym, że ten sam, który był posłem, kolegą z sejmowych ław, jest teraz głową państwa i ma inne zadania i inny punkt widzenia. Do tej pory było to dla niektórych emocjonalnie trudne – i dla polityków, i niektórych prawicowych publicystów. Opowieści, że kto inny mógłby być kandydatem PiS na prezydenta, mogą suflować tylko ludzie, którzy źle życzą Prawu i Sprawiedliwości. Andrzej Duda wizerunkowo jest dziś najmocniejszym ogniwem obozu Zjednoczonej Prawicy, jest popularny i budzi ogromną sympatię oraz szacunek wśród ludzi. Poza tym jest jeszcze jedna ważna rzecz – prezydent Andrzej Duda ma najpóźniej wybory, wcześniej są wybory parlamentarne, europejskie i samorządowe. Warto zdawać sobie z tego sprawę.

Na wybory samorządowe PiS jest już gotowy?

To będzie bardzo ciężka batalia. Wybory samorządowe są dla PiS najtrudniejsze. Dziwi mnie to, że sam PiS tak wysoko podniósł sobie poprzeczkę.

eprasa.pl 7f4145e991

Czy wygrana PiS w Warszawie jest w ogóle realna?

Jest realna, choć oczywiście bardzo trudna. Ze strony PiS popełniono już błąd, podwyższając niepotrzebnie oczekiwania i robiąc z Warszawy miejsce głównej rozgrywki między PiS a opozycją. Nie jest jednak tak, że nie można tej kampanii wygrać. Jeśli kiedyś można było wygrać w stolicy, to właśnie teraz.

Z jakim kandydatem to bardziej prawdopodobne – z Patrykiem Jakim czy Michałem Dworczykiem?

Nie odpowiem na to pytanie. Nie mam dostępu do pogłębionych badań dotyczących oczekiwań i profilu kandydata, a nie ma sensu opierać się na powierzchownych sondażach.

Wymiana premiera, zamykanie frontów i chęć uspokojenia emocji to ukłon w stronę bardziej umiarkowanych wyborców?

Nie ma czegoś takiego jak umiarkowani wyborcy czy centrowy elektorat. W Polsce nie ma klasycznego podziału na lewicę, prawicę i centrum, jest wiele różnych przeplatających się podziałów. To jest dużo bardziej skomplikowana sprawa. Są różne sprawy, które angażują ludzi, dla każdego inny temat jest ważny i poparcie buduje się właśnie w odniesieniu do konkretnych spraw. Trzeba znajdować takie, w których ma się przewagę. Dziwię się politykom czy publicystom, którzy wygłaszają tezy o umiarkowanym elektoracie.

Jest za to twardy elektorat. On może nie przełknąć wysokich premii, które przyznawała Beata Szydło, twierdząc, że „się należały". To może PiS zaszkodzić bardziej niż wszystkie spory międzynarodowe razem wzięte.

To nie jest temat, który powinien zaskoczyć, bo pojawia się w polskiej polityce co roku. Przy tej sprawie widać, jak bardzo PiS brakuje tego, co było jego siłą w 2015 r. – bycia jedną drużyną. Jeśli się gra razem, to można z takich kryzysów dużo zręczniej wychodzić, np. rozpisać pewne role, ktoś może się tłumaczyć, inny odciąć czy zaatakować. Jeżeli miałbym doradzać PiS, to zwróciłbym uwagę na jedno: nie mówcie cały czas „premier Morawiecki to, premier Szydło tamto". Wróćcie do drużyny, bo to wielki atut.

W kampanii łatwiej było być drużyną, bo wszyscy mieli ten sam cel. Teraz każdy ma swoje cele, ambicje i emocje.

To są w polityce naturalne sprawy. Grę drużynową można wykorzystać na wielu płaszczyznach. Mieliśmy niedawno dwulecie programu „500+". O ile bardziej byłaby skupiona uwaga mediów, gdyby na wspólnej konferencji przy tej okazji razem stanęli premier Mateusz Morawiecki i premier Beata Szydło! Nikt się tego nie spodziewał i dlatego byłoby to atrakcyjne dla dziennikarzy oraz mediów. I o to chodzi, o przełamywanie schematów oraz zaskakiwanie.

Na razie jest tak, że większość kryzysów obóz rządzący generuje sam. Ratuje go jedynie słabość opozycji.

Do czasu. Opozycja rzeczywiście jest słaba strukturalnie, bo taka jest najczęściej partia po przegranych wyborach. Dla nich przegrana była szokiem, ale powoli z tego szoku wychodzą. Schetyna jest doświadczonym politykiem i trudnym przeciwnikiem. Może nie jest charyzmatycznym mówcą, ale być nim nie musi. Przypomnę, że ludzie z jego medialnego zaplecza przekonywali, iż powinien go zastąpić Mateusz Kijowski, a on to wytrzymał, robił swoje. Kijowski zniknął, a on dogadał się z Nowoczesną. Moim zdaniem najgorszy czas opozycja ma już za sobą i w 2019 r. nie będzie leżała plackiem. To będzie twardy bój z III RP i jej wszystkimi zasobami, które to środowisko gromadziło dekadami. Nie jest tak, że dziś tylko PiS jest potęgą, a oni leżą pokonani na łopatkach. Ktoś, kto tak myśli – delikatnie rzecz ujmując – jest naiwny.

Jeśli miałbym doradzić PiS: nie mówcie „premier Morawiecki to, premier Szydło tamto". Wróćcie do drużyny, bo to wielki atut

Co jest największym zagrożeniem dla PiS?

W 2015 r. wygrał program PiS. Są pewne kotwice tego programu, które jeśli zostaną naruszone, to partia straci wiarygodność. Jeśli Polacy będą widzieli, że dzieje się co innego, niż obiecywaliśmy, że co innego realizują ludzie, którzy często nie mieli z PiS nic wspólnego, ale skutecznie się pod rządzących podczepili, to jest to prosta droga do klęski. Kiedy zaproponowałem wielką kampanię reklamową Polski z przemalowaniem na biało-czerwono samolotów LOT, to odezwało się do mnie wielu szeregowych pracowników tej spółki. Nasłuchałem się wielu gorzkich słów i smutnych historii. Człowiek, który został prezesem, w polityce nie osiągnął nic, choć bardzo chciał. Jego największym sukcesem było zasiadanie w komitecie sterującym stowarzyszenia Republikanie w czasie, kiedy prezesem stowarzyszenia był Przemysław Wipler. Nie kryje, że jest wolnościowcem, a to nie ma wiele wspólnego z programem PiS.

Jeśli dobrą zmianę będą realizowali ludzie, którzy pilotów i stewardesy pozbawiają umów o pracę, a związkowcom mówią pogardliwie, że „nie rozumieją zmian", to źle się to skończy przy urnach wyborczych.

Nie jest normalną sytuacja, kiedy zarząd dostaje ponad 2,5 mln zł premii, a w tym samym czasie wycofuje się z obiecanych pilotom podwyżek, które kosztowałyby mniej niż premie dla czterech osób z zarządu. Czy tak ma wyglądać dobra zmiana z zarządzaniu firmą Skarbu Państwa? Jeśli w spółkach Skarbu Państwa nie będzie szacunku dla ludzi, to nic z tego dobrego dla rządzących nie wyniknie. Takie rzeczy mogą być decydujące.

Strasznie się pan uparł na te biało-czerwone samoloty...

Wie pani, co strasznie mnie martwi, przeraża i zwyczajnie wkurza? Taki imposybilizm, przed którym wielokrotnie przestrzegał prezes Jarosław Kaczyński, a który wciąż jest widoczny. Kiedy proponując biało-czerwony LOT, usłyszałem od rzecznika, a potem prezesa LOT, że „się nie da", to miałem poczucie déjà vu. Gdybyśmy w 2015 r. słuchali takich doradców, przegralibyśmy wybory, a oni nie zarządzaliby LOT. To jest właśnie imposybilizm menedżerów o mentalności księgowych, dla których najważniejsze są tabelki. PiS wygrał, bo dla nas najważniejsi byli ludzie. Wydawało mi się, że jeśli pomysł podoba się premierowi, jeśli dobrze wypowiada się o nim prezydent, jeśli spodobał się większości opinii publicznej, to możemy coś zmienić. Byłem zszokowany tym, że dzisiaj, w 2018 r., ktoś może powiedzieć, że nie da się, choć nawet Platforma w 2010 r. potrafiła przemalować samoloty LOT. Znamienne, że krytykując ten pomysł, prezes LOT znalazł się po tej samej stronie co Tomasz Lis i Maciej Lasek. Gratuluję towarzystwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

PIĄTEK 13 KWIETNIA | 18:45 | TORWAR | WARSZAWA

DUMNI Z WAMI

RAJEWSKI · CELIŃSKI · JENEL · BISZCZAK · KASPERSKI

MIĘDZYNARODOWY MECZ K1

POLSKA vs ROSJA

DSF KICKBOXING CHALLENGE 14

BILETY NA WWW.DSF14.COM

DSF KICKBOXING CHALLENGE

Grupa DSF SERWIS PROFESJONALNY

SYMBO SPORTWEAR

RED IS BAD™

epras.pl 7141458991

Parasol przed Rosją

Jacek Przybylski

Za niemal 5 mld dol. rząd PiS kupił dwie baterie systemu Patriot uzbrojone w superpociski Lockheeda. Nad Wisłą pierwsze zestawy mają pojawić się do 2022 r. Do tego czasu przez zaniedbania poprzednich rządów Polska będzie praktycznie bezbronna przed atakiem z powietrza

Operacja „Pustynna burza", 1991 r. Do obrony amerykańskich baz wojskowych, a także miast sojuszników Stanów Zjednoczonych przed balistycznymi rakietami Scud wystrzeliwanymi przez armię Saddama Husajna pierwszy raz użyto baterii Patriot.

Początkowo system często zawodził.

Po wielu modernizacjach znacząco wzrosła jego skuteczność, dzięki czemu Amerykanie sprzedali już zestawy obrony przeciwpowietrznej Patriot do 15 krajów świata. Wśród państw NATO – poza Stanami Zjednoczonymi – mają je również Grecy, Hiszpanie, Holendrzy oraz Niemcy.

Pod koniec 2017 r. do tego grona dołączyła też Rumunia, która za niemal 4 mld dol. kupiła m.in. cztery baterie w zmodernizowanej wersji PAC-3+.

Polskie Ministerstwo Obrony Narodowej początkowo planowało kupić osiem baterii za 30 mld zł.

Pod koniec 2017 r. amerykański Kongres zgodził się sprzedać władzom w Warszawie dwie baterie (16 wyrzutni), cztery stacje radiolokacyjne oraz 208 pocisków PAC-3 MSE, ale wyznaczył koszmarnie wysoką cenę: 10 mld dol.

Ostatecznie po zaciętych negocjacjach za dwie baterie będziemy musieli zapłacić 4,75 mld dol., czyli ponad 16 mld zł. To drożej, niż zapłacili Rumuni, ale w zamian Polska dostanie nie tylko większą liczbę pocisków, lecz także jako pierwszy zagraniczny użytkownik systemu ma otrzymać nowocześniejszą wersję patriotów razem z nowym, sieciocentrycznym systemem zarządzania polem walki IBCS, czterema sektorowymi radarami, stacjami kierowania ogniem, a do tego polski przemysł zbrojeniowy w ramach offsetu ma skorzystać z transferu najnowocześniejszych technologii.

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. RAYTHEON

– To wydatek, który warto ponieść. Kupujemy nowoczesną broń, której Amerykanie wcale tak łatwo nie sprzedają. Naszej pozycji negocjacyjnej nie ułatwiał fakt, że byliśmy pod wielką presją. Nasza obrona przeciwrakietowa i przeciwlotnicza jest tak przestarzała, że Polska jest praktycznie bezbronna. Producenci sprzętu doskonale wiedzą o takich rzeczach i wykorzystują je w rozmowach o cenie. To nauczka dla wszystkich rządów, aby już teraz planować, co trzeba będzie kupić dla armii za 10–15 lat – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy" gen. Roman Polko. – Gratulacje za profesjonalne prowadzenie negocjacji należą się zwłaszcza ministrowi obrony Mariuszowi Błaszczakowi, który najpierw po cichu negocjował, a dopiero potem to ogłaszał, w przeciwieństwie do byłego szefa MON Antoniego Macierewicza – dodaje były dowódca GROM i dawny zastępca szefa BBN.

Jak zapowiedział premier Mateusz Morawiecki, pierwsze systemy Patriot dotrą do Polski w 2022 r., a kolejne – dwa lata później. Termin dostaw ma ogromne znaczenie, gdyż obecnie Polska – poza samolotami F-16 – w praktyce nie ma czym się bronić przed ewentualnym atakiem z powietrza.

W pierwszej fazie – wartej ponad 16 mld zł – Amerykanie dostarczą do dywizjonu obrony powietrznej w Sochaczewie dwie baterie Patriot w takiej samej konfiguracji, jaką zamawia dziś u producentów armia USA.

Już w kwietniu rozpoczną się rozmowy dotyczące „fazy drugiej", w której ramach Polska chce wynegocjować najnowocześniejszy radar, więcej rakiet, a także sześć kolejnych baterii Patriot, które będą wyposażone we wszelkie technologiczne nowinki. Druga partia ma być już wyposażona w nowocześniejsze radary o polu obserwacji 360 stopni, co pozwoli na zwalczanie celu nadlatującego z dowolnego kierunku.

Te negocjacje będą o wiele trudniejsze, ponieważ zarówno nad radarem, jak i nad pociskiem kolejnej generacji trwają jeszcze prace. Istnieje więc spore ryzyko opóźnienia dostaw, a także większych kosztów.

WYRZUTNIE W AKCJI

Systemy Patriot są też rozlokowane na Bliskim Wschodzie – w Izraelu, Kuwejcie, Katarze, Zjednoczonych Emiratach Arabskich oraz Arabii Saudyjskiej, gdzie są używane do ochrony takich obiektów, jak lotniska, miasta, bazy wojskowe czy elektrownie, przed atakami rakietowymi ze strony jemeńskich rebeliantów. W maju 2017 r. koncern Raytheon pochwalił się, że od 1 stycznia 2015 r. baterie Patriot strąciły ponad 100 taktycznych rakiet balistycznych.

Eksperci z niezależnych think tanków co jakiś czas kwestionują jednak tego typu dane.

Udaną operacją zestrzelenia wrogich rakiet przez baterie Patriot w okolicach Rijadu chwalił się sam prezydent USA Donald Trump. Oficjalne statystyki budzą jednak wątpliwości ekspertów. Podczas niedawnego ataku jemeńskich rebeliantów na stolicę Arabii Saudyjskiej wyrzutnia Patriot zadziałała błędnie: pierwsza z rakiet wybuchła tuż po starcie, a druga nie trafiła w cel i spadła na miasto, zabijając jedną osobę.

Amerykański system obrony przeciwlotniczej został też rozmieszczony w krajach dalekiej Azji: w Japonii, na Tajwanie oraz w Korei Południowej (swoje baterie Koreańczycy kupili jednak od Niemców).

Nad wydaniem na zakup baterii Patriot ponad 3 mld dol. – dwa i pół razy więcej niż pierwotnie planowano

eprasa.pl 7f4145e991

– zastanawiają się również władze Szwecji. W obawie przed zagrożeniem ze strony Rosji rząd w Sztokholmie zwrócił się już do amerykańskiego Kongresu o stosowną zgodę na zakup baterii Patriot, a także na kupno 200 rakiet PAC-3 oraz 100 prostszych rakiet. W ten sposób Szwedzi chcą wzmocnić ochronę swego nieba, które obecnie jest niemal bezbronne. Z 22 powietrznych batalionów, które istniały w tym kraju w 1996 r., obecnie zostały zaledwie dwa.

System Patriot miałby bronić Szwedów nie tylko przed wrogimi rakietami balistycznymi, lecz także przed samolotami czy dronami wroga.

Rezygnację z patriotów rozważają z kolei Niemcy. Chociaż amerykańskie baterie znajdują się w wyposażeniu Bundeswehry od połowy lat 80., to według dziennika „Die Welt" niemiecki resort obrony podjął już decyzję o zastąpieniu ich konkurencyjnym system MEADS (Medium Extended Air Defense System).

Główna różnica między oboma systemami jest taka, że wyrzutnie Patriot są gotowym systemem, który wprawdzie wymaga modernizacji, ale został już przetestowany na polu bitwy. Tymczasem MEADS, choć w teorii może być skuteczniejszy w odpieraniu superrakiety balistycznej Sarmat, której budowę zapowiedział oficjalnie na początku marca Władimir Putin, to wciąż jest jeszcze w fazie projektowania. Nie wiadomo więc, ani kiedy będzie zdolny do działania, ani ile tak naprawdę będzie kosztował.

Konkurencyjnym systemem dla amerykańskich patriotów czy oferowanego przez europejsko-amerykańską grupę systemu MEADS czy też francuskiego SAMP/T (używanego przez Francję oraz Włochy) są też rosyjskie wyrzutnie S-400. Najnowsze systemy z Rosji kupili m.in. Turcy, Chińczycy oraz Saudowie.

PATRIOTY NA POCZĄTEK

Rozmieszczone tuż przy granicy z Polską rosyjskie rakiety Iskander – które tak teraz niepokoją Szwedów – od lat spędzają też sen z powiek polskim oficerom i stanowiły istotny argument w dyskusji o konieczności szybkiego rozwoju nad Wisłą nowoczesnego systemu obrony przeciwrakietowej, który wzmocniłby możliwości odstraszania Rosji.

Wyboru systemu Patriot dokonał jeszcze rząd PO-PSL. O zakupie przez władze w Warszawie amerykańskich wyrzutni rozmawiał też w zeszłym roku z Donaldem Trumpem prezydent Andrzej Duda, przekonując przywódcę USA do obniżenia ceny.

Rząd PiS chciałby, aby kosztowny zakup baterii Patriot przyczynił się do technologicznej modernizacji polskiego przemysłu obronnego. Pod koniec marca przedstawiciele MON oraz Raytheonu (producenta zestawów Patriot) i Lockheed Martin (producenta głównego pocisku do wyrzutni) podpisali umowy offsetowe, w których ramach amerykańskie firmy zobowiązały się do zainwestowania w Polsce niemal miliarda złotych. Lockheed Martin chce np. zlecać Polakom prace przy budowie wybranych komponentów nowoczesnych pocisków PAC-3 MSE, przeznaczonych do zwalczania celów bezpośrednim trafieniem (hit-to-kill). Mogą być one wykorzystywane do niszczenia pocisków balistycznych wysokiej prędkości, pocisków manewrujących, a także do strącania samolotów, śmigłowców oraz dronów. Są w stanie razić cele w odległości do 20 km i – przynajmniej teoretycznie – są zdolne do zestrzelenia rosyjskich iskanderów. Jak zapowiedział minister Błaszczak, w ramach offsetu polskie firmy będą również produkowały elementy wyrzutni, pojazdy służące do transportu zestawów oraz systemy łączności.

Zestawy obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej Patriot mają być podstawą systemu obrony powietrznej średniego zasięgu „Wisła". Eksperci podkreślają jednak, że nowoczesnego uzbrojenia potrzebują też inne rodzaje wojsk.

– Mam nadzieję, że zakup patriotów to dopiero początek dobrych zmian i że rząd zacznie szybko niwelować opóźnienia również w innych obszarach: od zakupu nowoczesnych śmigłowców poprzez modernizację marynarki wojennej aż po utworzenie nowoczesnych oddziałów do walki w cyberprzestrzeni – podkreśla gen. Roman Polko.

ROSYJSKA ODPOWIEDŹ

Wprawdzie patrioty to broń defensywna, a nie ofensywna, można jednak spodziewać się, że Kreml nie zmarnuje wymówki do zbrojnej odpowiedzi.

W nieoficjalnych rozmowach Rosjanie nie ukrywają bowiem, że są wściekli, iż rząd w Warszawie najpierw doprowadził do rozmieszczenia w Polsce amerykańskich wojsk, a kupując zestawy Patriot, zacieśnił również sojusz ze Stanami Zjednoczonymi. I chociaż dwie baterie nie pozwolą osłonić przed wrogimi pociskami całego kraju, to system jest na tyle mobilny, że umożliwia ochronę np. Warszawy lub strategicznych obiektów wojskowych.

– Potencjalny agresor będzie wiedział, że nie może już zaatakować bezkarnie – mówi „Do Rzeczy" gen. Roman Polko, podkreślając, że prawdopodobnie w dłuższej perspektywie rząd w Warszawie może kupić nawet kilkanaście baterii Patriot.

Oczywiście wyrzutnie to za mało, aby kraj mógł czuć się bezpiecznie. Tak wysokiej wartości kontrakt ma też jeszcze jedną zaletę: wysyła jasny sygnał, że Polska staje się coraz bardziej znaczącym członkiem NATO, co oznacza, że rosną szanse, iż w razie konfliktu zbrojnego sojusznicy przyjdą nam z pomocą.

Europejskie kraje, które wybrały system Patriot

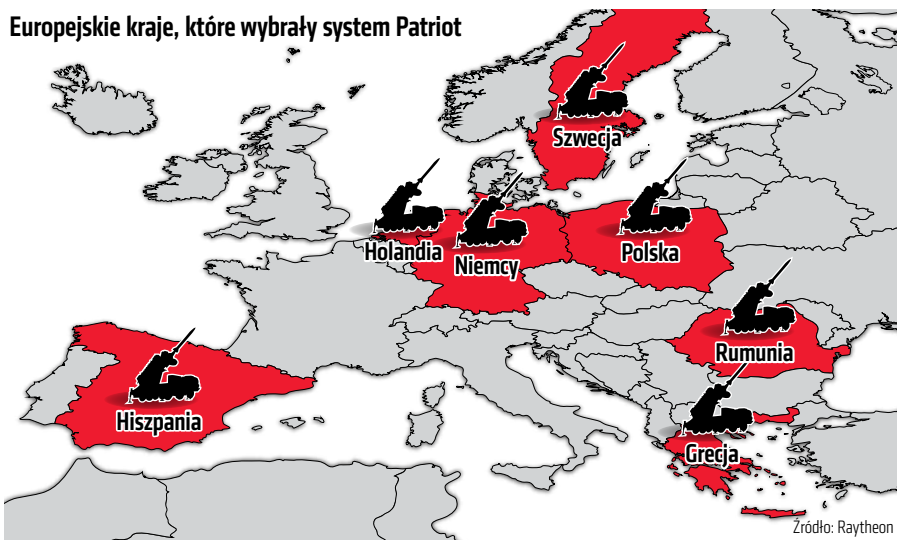

Źródło: Raytheon

RYS. PEGAZ

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

NOWA KSIĄŻKA
Rafała A. ZIEMKIEWICZA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

SZUKAJ
W DOBRYCH PUNKTACH
I SALONACH PRASOWYCH
ORAZ NA STOISKACH
POCZTY POLSKIEJ

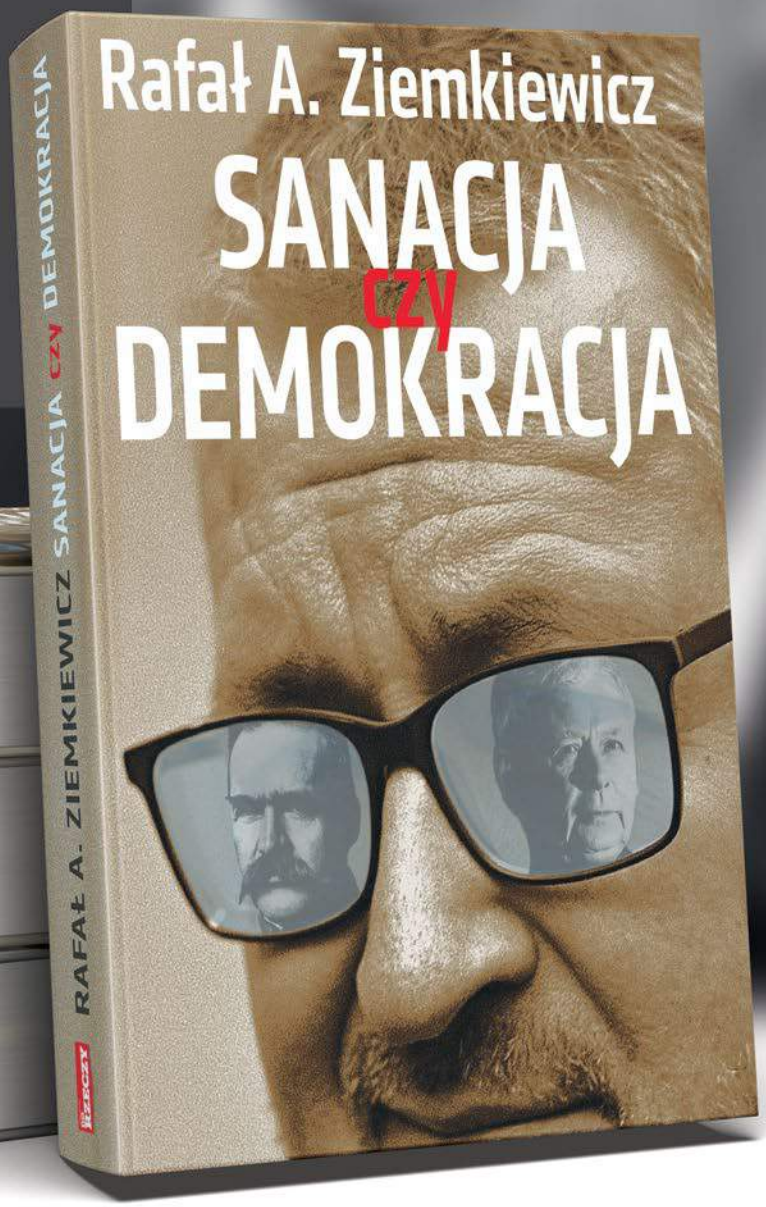

34,90 PLN

Również na zamówienie: tel. +48 22 529 12 10, prenumerata@pmpg.pl

eprasa.pl 7f4145e991

Wojenka smoleńska

Wojciech Wybranowski

Zaostrza się konflikt w obozie, który deklarował, że wyjaśni przyczyny katastrofy tupolewa. Spór ogarnął już nie tylko zaplecze Macierewicza i Ziobry, lecz także rozgorzał wśród naukowców zaangażowanych w sprawę

Kolejna rocznica katastrofy smoleńskiej nie przyniesie wyjaśnienia przyczyn tragedii, do której doszło 10 kwietnia 2010 r. Będzie za to przebiegać w atmosferze wojny między środowiskiem Antoniego Macierewicza i Zbigniewa Ziobry, nierzadko wkraczającej na łamy bliskich tym obozom mediów. W kuluarach PiS spekuluje się, że może to się zakończyć ostatecznym politycznym „zgrillowaniem" byłego szefa MON.

Rodziny ofiar katastrofy są zaniepokojone. Obawiają się, że przez polityczną awanturę oddali się szansa wyjaśnienia przyczyn tragedii. – Nie opowiadam się ani po stronie prokuratury, ani po stronie komisji Macierewicza, ale niepokoi mnie ta sytuacja, to, że na tle badania katastrofy jest jakiś konflikt z ministrem Macierewiczem, że jest utrudniona czy wręcz niemożliwa współpraca podkomisji smoleńskiej z prokuraturą, że nie ma pracy nad wspólnym raportem – mówi „Do Rzeczy" Janusz Walentynowicz, syn legendy Solidarności Anny Walentynowicz.

Podobnego zdania są i inni bliscy ofiar katastrofy rządowego Tu-154M. W rozmowach z nimi słyszymy gorzkie słowa, że katastrofa smoleńska w przededniu kolejnej rocznicy stała się pretekstem do ambicjonalnych, personalnych czy też – jak niektórzy z nich mówią – politycznych rozgrywek.

– Jestem załamana sytuacją. Przykro mi, że tak się dzieje – mówi Magdalena Merta, wdowa po Tomaszu Mercie, wiceministrze kultury. – Bardzo nie chciałabym, by raport o katastrofie był pisany pod z góry przyjętą tezę, by posuwano się do kłamstw i przeinaczeń w imię tego, że skoro badający katastrofę za poprzedniej władzy przekonywali, iż zamachu nie było, to teraz trzeba udowodnić, że była bomba. Dla mnie sprawa, czy zamach był, czy nie, jest drugorzędna, chcę po prostu poznać prawdę.

ISKRZY WŚRÓD BADACZY

Jak wynika z ustaleń „Do Rzeczy", konflikt trwa też wśród naukowców zaangażowanych od lat w badanie przyczyn katastrofy smoleńskiej. Jak mówią nasi informatorzy z kręgu komisji i rodzin smoleńskich, spór dotyczy m.in. kierunku badań przyczyn katastrofy.

Pod koniec lutego na łamach „Śląskiego Kuriera Wnet" prof. Marek Czachor, fizyk, w okresie rządów PO-PSL przez rok współpracujący z kierowanym wówczas

eprasa.pl 7f4145e991

Nowogrodzka dała cichą zgodę na polityczne „grillowanie" byłego szefa MON. W konflikcie Ziobro – Macierewicz mocniejszą stroną jest dziś minister sprawiedliwości FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEW

przez Macierewicza parlamentarnym zespołem badającym katastrofę smoleńską (po wyborach to ciało zostało zastąpione przez podkomisję), opublikował obszerny materiał, w którym wskazał, że podkomisja smoleńska, starając się udowodnić tezy o eksplozjach na pokładzie samolotu, ignorowała w swoich badaniach poszlaki wskazujące na inne możliwe przyczyny katastrofy. Naukowiec, który w skład podkomisji smoleńskiej nie wszedł, powołał się m.in. na amerykańskie publikacje na temat zagrożeń atakami typu hakerskiego. „Nie wiem, co się stało w Smoleńsku, i nie chcę, aby mój tekst potraktowano jako kolejną wersję w rodzaju słynnego »helu«. Niemniej widzę, że systematycznie wpycha się nas w fałszywą alternatywę: błąd pilotów albo bomba" – napisał prof. Czachor w gazecie.

– Nie mam żadnej teorii, tylko zadaję pytanie. A jestem bardzo głęboko przekonany, że wszystkie argumenty, które podają Macierewicz i spółka na temat wybuchów na pokładzie samolotu, są błędne – mówi „Do Rzeczy" prof. Czachor.

Według naszych informacji publikacja tego naukowca wywołała w podkomisji smoleńskiej oburzenie części naukowców. Najbardziej miało to dotknąć dr. Wiesława Biniendę, głównego zwolennika teorii o wybuchu. Komentarza Biniendy nie udało się nam w tej sprawie uzyskać.

NIE BIORĄ JEŃCÓW

Polityczna wojna trwa dłużej niż spór wśród naukowców. Od dawna mówiono, że Macierewicz uznał za rzucenie mu rękawicy powołanie przez Zbigniewa Ziobrę specjalnego zespołu prokuratorów prowadzących śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej. Nie jest też tajemnicą, że między podkomisją a śledczymi współpraca nie układa się dobrze.

– Do tego doszła zauważalna rywalizacja Zbigniewa Ziobry z Antonim Macierewiczem w rządzie Beaty Szydło. W zasadzie nie było pola, na którym m.in. nie dochodziło do pewnej próby sił. To musiało się przełożyć także na kwestie smoleńskie – mówi nam jeden z członków gabinetu byłej premier.

Wśród osób zaangażowanych w badanie przyczyn katastrofy smoleńskiej krąży opowieść o zdarzeniu, do jakiego miało dojść jeszcze przed dymisją Macierewicza ze stanowiska szefa MON. Podlegli mu ludzie mieli zablokować śledczym z prokuratorskiego zespołu dostęp do stacjonującego w wojskowej

eprasa.pl 7f4145e991

bazie lotniczej drugiego z polskich Tu-154M.

– Nikt się do tego nie przyzna oficjalnie, ale była duża siurpryza, bo przyjechali śledczy, a Żandarmeria Wojskowa zablokowała dostęp: „Wejścia nie ma" – opowiada „Do Rzeczy" polityk PiS, członek gabinetów Szydło i Morawieckiego.

Ten konflikt musiał w końcu przerodzić się w otwartą wojnę. Jednym z pretekstów stało się powołanie przez podległą Ziobrze Prokuraturę Krajową międzynarodowego zespołu biegłych, wśród nich naukowców badających m.in. katastrofę amerykańskiego boeinga nad Lockerbie w Szkocji w 1988 r., katastrofę promu kosmicznego „Columbia" w 2003 r. czy niemieckiego airbusa w 2015 r. Antoni Macierewicz i jego otoczenie mieli uznać, że to próba wyrugowania go z roli jedynego badacza katastrofy smoleńskiej, a w efekcie obniżenie wpływów w PiS oraz jego elektoracie. Zwłaszcza że sam Macierewicz zaprosił do współpracy amerykańskich naukowców z National Institute for Aviation Research z uniwersytetu stanowego w Wichita, pracujących m.in. nad stworzeniem wirtualnego modelu Tu-154M.

Gdy okazało się, że wyniki analiz międzynarodowego zespołu powołanego przez śledczych z PK mają być gotowe na kolejną rocznicę katastrofy smoleńskiej, wśród ludzi Macierewicza zawrzało. Bliska byłemu szefowi MON „Gazeta Polska" wytknęła natychmiast, że jeden z członków tego zespołu – Theodore Postol – jest stałym komentatorem telewizji Russia Today.

Macierewicz ogłosił wtedy na Twitterze: „Amerykański rząd i media ośmieszały T. Postola, demaskując jego bezpodstawne teorie. Ten propagandysta Kremla nigdy nie powinien być ekspertem prokuratury ws. Smoleńska".

Międzynarodowych biegłych wsparł zaraz tygodnik „Sieci" braci Karnowskich, rywalizujący z „Gazetą Polską" Tomasza Sakiewicza. Marcin Wikło na portalu wPolityce.pl zaatakował media Sakiewicza. „Dosyć tej ciuciubabki ws. 10/04. Powiedzcie jasno, kto jest ruskim agentem, albo zajmijcie się rzetelną pracą" – napisał. I dodał: „Ostatnia fala ataków na prokuraturę i jej ekspertów, szczególnie w wykonaniu mediów bardzo wspierających podkomisję i jej przewodniczącego Antoniego Macierewicza, budzi niesmak".

Na kontrę nie trzeba było długo czekać: „Russia Today w USA jest rejestrowana jako agentura obcego państwa. Theodore Postol, ekspert wychwalany przez red. Wikło, jest stałym komentatorem RT" – oburzył się na Twitterze Tomasz Sakiewicz.

A potem poszła kolejna salwa w smoleńskiej wojence. Portal Sakiewicza Niezależna.pl w kolejnym tekście podkreślającym kontakty prokuratorskiego eksperta z kremlowską telewizją zaatakował także dziennikarza „Sieci".

A Stanisław Zagrodzki, kuzyn śp. Ewy Bąkowskiej, ofiary katastrofy, na portalu Karnowskich zarzucił Macierewiczowi i podkomisji smoleńskiej ogłaszanie niesprawdzonych faktów.

ATAKI I KONTRATAKI

Polityczne starcie smoleńskie bywa dość brutalne. W styczniu tego roku MON ogłosiło, że w badaniach kierowanej przez Antoniego Macierewicza podkomisji smoleńskiej doszło do przełomu, a najnowsze ekspertyzy mają wskazywać, iż na pokładzie rządowego tupolewa, który rozbił się pod Smoleńskiem, doszło do wybuchu. Chodzi m.in. o analizy jednego z ekspertów podkomisji Franka Taylora, dyrektora Centrum Bezpieczeństwa Lotniczego na Cranfield University.

Do mediów szybko wyciekła informacja z kręgów prokuratorskiego śledztwa podważająca sensacyjne opowieści członków podkomisji. Okazało się bowiem, że mimo mocnego komunikatu ludzie Macierewicza nie złożyli do prokuratury żadnych związanych z tym zawiadomień o możliwości popełnienia przestępstwa, a sam Taylor nie mógł zapoznać się z wynikami badań próbek Tu-154M prowadzonych w laboratoriach w Anglii, Irlandii Północnej i we Włoszech, bo ich po prostu jeszcze nie było.

Osłabienie pozycji Macierewicza w PiS może uruchomić też „czystkę" w spółkach energetycznych, w których są związani z nim ludzie

Niedługo potem, po interpelacji posła PO Krzysztofa Brejzy, okazało się, że podkomisja smoleńska mimo wniosku śledczych nie przekazała prokuraturze czterech ekspertyz, na które członkowie komisji powoływali się w wystąpieniach medialnych (miały wskazywać, iż bezpośrednią przyczyną katastrofy było nie zderzenie z brzozą, ale eksplozje na pokładzie samolotu).

Strzały w tej wewnętrznej wojnie jeszcze padną. W kuluarach PiS i warszawskich dziennikarzy mówi się, że niebawem niektóre media wezmą na cel Bartłomieja Misiewicza, byłego rzecznika MON. Według plotek opublikowane mają zostać informacje wskazujące na rzekome błędy Misiewicza, również finansowe, w czasach, gdy zasiadał w radzie nadzorczej Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Kolejna kompromitacja Misiewicza rykoszetem uderzyłaby też mocno w byłego szefa MON, który promował tego młodego człowieka.

Macierewicz łatwo się jednak nie podda. Kierowana przez niego podkomisja w rocznicę katastrofy smoleńskiej lub tuż po niej chciała przedstawić własny – jak to określono „techniczny" – raport dotyczący przyczyn katastrofy. Jednak zespół prawdopodobnie nie dostanie szansy na przedstawienie raportu. Ograniczyć się ma do pokazania materiału filmowego lub prezentacji multimedialnej.

NOWOGRODZKA POŚWIĘCI MACIEREWICZA?

Nasi rozmówcy z obozu PiS przekonują, że konflikt między środowiskami Macierewicza i Ziobry ma podłoże ambicjonalne, ale dodają, iż nie bez znaczenia była też cicha zgoda Nowogrodzkiej, by Macierewicza politycznie „zgrillować" do końca.

– Stracił szansę, by siedzieć cicho – mówi nam polityk PiS z otoczenia Kaczyńskiego. Macierewicz po odwołaniu z fotela szefa MON jeździł bowiem po Polsce i na spotkaniach Klubów „Gazety Polskiej" opowiadał własną, sprzeczną z partyjną narracją wersję o powodach jego dymisji. Krytykował też Mateusza Morawieckiego i prezydenta Andrzeja Dudę w czasie, gdy Jarosław Kaczyński próbował wyciszyć spór w obozie dobrej zmiany. – Uznano to za próbę osłabienia PiS i budowy własnego zaplecza partyjnego na wypadek ewentualnych tąpnięć naszej partii – dodaje nasz rozmówca.

Niektórzy zauważają, że w tej wojnie ucierpi politycznie nie tylko sam Macierewicz. Osłabienie jego pozycji w PiS może uruchomić „czystkę" – usuwanie ze spółek energetycznych ludzi z nim związanych, którzy objęli posady po wyborach w 2015 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

DWIE KSIĄŻKI

"TAM, GDZIE URODZIŁ SIĘ ORFEUSZ"

"LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI"

Cena: 151 zł

Oszczędność: 113zł

+

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303

KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł

Oszczędność: 289zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7f4145e991

POSUBOTNIK

Rafał A. Ziemkiewicz

Przejęcie anty-PiS przez SLD jest dziś zgodne z polską racją stanu

Sojusz Lewicy – reanimacja

Akcja „Zatrzymaj aborcję" i będące reakcją na nią ożywienie zwolenników medycznej eksterminacji „kalek i bękartów" przysporzyły w przedświątecznym czasie wiele stresu zwolennikom PiS. Na czarnych marszach, ostatnio zamierających, znowu zrobiło się tłumnie; co gorsza, znowu zaczęło się na nich widzieć nie tylko wariatki, wymachujące bannerami z nieudolnie wymalowanymi narządami płciowymi i tożsamościowymi hasłami w rodzaju „wściekłe k…y", lecz także normalsów.

Po kiego diabła?! – zżymają się tzw. prawicowi publicyści, szczególnie ci, którzy nie są ślepi na marność rządów PiS, ale i nie widzą na horyzoncie niczego, co by nie było od nich jeszcze gorsze. – Mało mają już naotwieranych frontów? Mało było w ostatnich miesiącach wizerunkowych katastrof?! Trzeba jeszcze ruszać tę cholerną aborcję, kiedy ponad połowa Polaków od lat w każdym sondażu jasno powiada, że kompromis, za jaki uważana jest obowiązująca od lat ustawa, „trwa i trwać ma"? Po co PiS podaje przeciwnikom tlen, mobilizuje ich, daje pożywkę „tefałenom"?!

Na te pytania padają odpowiedzi pryncypialnie moralistyczne – że aborcja eugeniczna to straszne zło, co skądinąd jest prawdą, ale czyni całą dyskusję nierozstrzygalnym sporem pomiędzy sercem a rozumem.

Tymczasem mam wrażenie, że akurat w tej kwestii Jarosław Kaczyński wie, co robi. Względne powodzenie czarnych protestów i ożywienie emocji aborcyjnych przynosi dziś PiS więcej korzyści niż szkody. Bogiem a prawdą to ja widzę tylko same korzyści, i to nie tylko dla rządzącej partii, lecz także dla Polski jako takiej.

Bo co groźnego w tym, że na kolejną manifę przyjdzie zamiast tysiąca – 10, a bodaj i 50 tys.? Do obiecywanych dwa lata temu milionów wciąż daleko. Można sądzić po transparentach, ale trochę i po twarzach, że to wciąż ci sami ludzie, którzy tuptali „w obronie konstytucji", „w obronie Internetu", „w obronie Lecha Wałęsy" i kto tam dziś pamięta, czego jeszcze w czasach, gdy „tefałeny" wmówiły połowie Polski i liderom zagranicznym, że to początek wielkiej fali i upadek PiS jest przesądzony w perspektywie góra pół roku. I którzy już po upadku tych nadziei tupali pod Sejmem i palili świeczki pod sądami.

Po prostu ludzie, którzy nienawidzą PiS, Kościoła, żołnierzy wyklętych itd. będą co i raz wychodzić na ulicę i demonstrować tę swoją nienawiść, połączoną z coraz głębszą frustracją, że ich „walka" zupełnie nie spotyka się z poparciem „hołoty kupionej za pińset". Władza ich i tak nie pozyska, ale może zadecydować, pod jakimi hasłami i z jakimi transparentami będą jej nienawidzić.

@

Ze wszystkich możliwych hasło: „Aborcja jest OK" wydaje się dla PiS najlepsze.

Po pierwsze – jest to hasło jawnie głupie, odrażające i nie do zaakceptowania nawet przez część lewicy, a co dopiero przez ogół społeczeństwa. Społeczne zaplecze dla „kompromisu aborcyjnego" to zgoda większości społeczeństwa, że aborcja jest złem. Polem do dyskusji jest, czy czasem nie należy jej uważać za zło mniejsze. Przyzwolenie na usuwanie ciąży, tam, gdzie w społeczeństwie występuje, jest oparte na współczuciu dla kobiet, które – zdaniem przyzwalających – zostały do tego zła zmuszone. Przez biedę, strach, zdradę partnera… w każdym razie przez jakąś „siłę wyższą". W Polsce, zwłaszcza w pokoleniu 50-, 60-latków, skądinąd według sondaży najbardziej antypisowskim, jest wiele

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. MARCIN BRUNIECKI/REPORTER

kobiet, które pozbyły się dziecka, i na to właśnie liczą feministki, ale się zawiodą, bo, doprawdy, mało która z tych kobiet wspomina swą aborcję jako coś „fajnego".

Czyniąc gwiazdą zblazowaną celebrytkę, która zrobiła to, bo nie chciało się jej przeprowadzać do większego mieszkania, lansując „aborcyjny dream team" ze wspomnianym na wstępie hasłem etc., skrajna lewica weszła w kanał, z którego nie wybrnie, nawet gdyby próbowała – a nie po to przecież weń wchodziła. Zaostrzanie ustawy antyaborcyjnej ma w Polsce mniej zwolenników niż jej utrzymanie, ale „aborcja na życzenie" ma ich jeszcze mniej. I mniej niż kiedykolwiek w dziejach III RP, za co, skądinąd, należą się feministkom podziękowania.

Co przytomniejsi ludzie w anty-PiS to rozumieją, oczywiście dlatego usiłują propagandowo sprzedać swe działania jako protesty przeciwko zaostrzaniu ustawy i „całkowitemu zakazowi aborcji" (choć tego ostatniego nikt nie proponuje). Jednak na dłuższą metę nic z tego nie wyjdzie. Działa coś, co można nazwać „efektem Rybaka" – na manifestacje może przyjść dowolna liczba ludzi z najlepszymi, dajmy na to, szczerze patriotycznymi intencjami, ale jej wymowę i obraz określi idiota czy prowokator, który spali pejsatą kukłę. Z marszami aborcyjnymi będzie podobnie. Wymowę czarnego sabatu wyznaczą nie tysiące normalsów, protestujących przeciwko odchodzeniu od kompromisu aborcyjnego, ale kilkanaście „wściekłych k…" skaczących z okrzykami: „Raz i dwa, aborcję miałam ja, raz, dwa, trzy, aborcję miałaś ty", obsceniczne i głupie bannery, mowa nienawiści wobec Kościoła etc.

A to gwarancja, że mało kogo te marsze porwą, nawet gdyby przyszło na nie 100 tys. wściekłych z nienawiści do PiS. Mniej więcej tyle jest od lat na każdym Marszu Niepodległości. A jakie poparcie mają narodowcy w sondażach i w wyborach?

Ktoś zapyta: No dobrze, ale skoro najbardziej politycznie opłacalnym stanowiskiem jest bronić aborcyjnego kompromisu, to po co PiS ustawia się w roli rzecznika jego zaostrzania?

Ależ wcale się nie ustawia! Narracja PiS jest obecnie, w obustronnym jazgocie, mało słyszana, ale spójna: nie jesteśmy „za", kierujemy projekt do dalszych prac, wierni swej obietnicy, że nie będziemy odrzucać projektów społecznych w pierwszym czytaniu. Przecież tak samo głosowaliśmy nad projektem liberalizującym aborcję, choć podpisało go cztery razy mniej obywateli. Notabene projektem, który odrzucony został głosami posłów PO i Nowoczesnej, którzy teraz brylują i trzaskają sobie „czarne" selfiki na tle maciczno-waginalnych transparentów genderystek.

@

PiS ma wszystkie narzędzia, by sprawę w komisji przewlekać w nieskończoność – już to robi, co dla mnie jest oczywiste. A na końcu obronić „kompromis" przed radykalizmem proliferów. To oczywiście wkurzy część żelaznego elektoratu oraz biskupów wystawionych na bezprecedensową agresję „wściekłych k…", ale, po pierwsze, nie mają na kogo przerzucić poparcia, a po drugie, PiS ma też niezbędne narzędzia, by ich udobruchać. Dzieci z downem może uratować np. interpretacją – nie wiem, czy wystarczy rozporządzenie ministra, czy trzeba wyroku Trybunału Konstytucyjnego – że podejrzenie zespołu Downa, jako choroby nieczyniącej dziecka niezdolnym do życia, nie może być uznane za „ciężkie nieodwracalne uszkodzenie płodu" w rozumieniu ustawy. Może też sypnąć groszem na domy samotnej matki, na zasiłki pielęgnacyjne… I proliferzy wybaczą, a centrowy elektorat przyklaśnie.

Jednak to kiedyś, na razie opłaca się – powtórzę, nie tylko PiS, lecz także Polsce – sprawę aborcji przewlekać i rozgrywać. Bo PO i Nowoczesna są dla jej zwolenników niewiarygodne; poza wspomnianym głosowaniem, same nie wiedzą, czy są za liberalizacją, czy za utrzymaniem status quo. Na emocjach wokół aborcji rośnie więc lewica. A lewica to w Polsce SLD. Już jest w większości sondaży znowu ponad progiem i będzie rosła z każdą kolejną kompromitacją PO i Schetyny. SLD wie (mówi o tym Włodzimierz Czarzasty w wywiadach), że przyczyną śmierci klinicznej Sojuszu, którą ledwie przetrwał, było wpisanie się w narrację PO, a teraz widzi, jak z tego samego powodu ginie Nowoczesna. SLD też dawno już odkochał się w Michniku i jego gazecie. Na pewno nie da się jej zaszantażować straszeniem PiS i „zjednoczeniem opozycji", więc co najmniej – co najmniej! – podzieli głosy anty-PiS i ułatwi Kaczyńskiemu zdobycie drugiej kadencji,

Jednak w perspektywie dwóch lat wcale nie jest wykluczone, że – po latach w czyśćcu – SLD wróci na pozycję głównej siły opozycji.

I dobrze. Niech wróci. Naprawdę nigdy nie byłem zwolennikiem postkomunistów, ale, bądźmy poważni, jakaś opozycja, artykułująca emocje, interesy i potrzeby tamtej Polski, musi przecież być. A gdy porówna się dawne rządy SLD z tym, co potem urządziła i nadal robi PO, to porównania nie ma. Postkomuna mogła być ekstremalnie przykra i nieciekawa, ale nie kupczyła polskimi interesami. To nie SLD wyrywało krzesło spod prezydenta Kaczyńskiego, nie ono spiskowało z Putinem, by rozdzielić wizyty w Smoleńsku, nie ono odpowiada za hańbę po katastrofie. Nie wyobrażam sobie, żeby Miller czy Jaruzelska (która ma wszelkie dane, by wysoko na lewicy zajść) błagali Timmermansa czy innego unijnego Guya o nałożenie na Polskę sankcji, żeby byli, tak jak PO, opozycją antypolską, targowicką. Przejęcie anty-PiS przez SLD jest dziś zgodne z polską racją stanu i tym samym warte jest robienia rozemocjonowanych idealistów w konia.

Kluczem do przyszłości Polski nie jest dziś wymiana władzy, tylko wymiana opozycji. Któż napisał już kilkanaście miesięcy temu te jakże trafne słowa? Ach, przez wrodzoną skromność – przemilczę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Łukasz Zboralski

Głupi i głupsi

„Hipnoza" TVN udowadnia, że w prezentowaniu widzom rozrywki nie ma już granicy złego smaku. Niestety, są jeszcze gorsze formaty, które mogą skopiować polscy producenci

Telewizja od lat traci na rzecz Internetu i nadawcy próbują nadążyć za tym na dwa sposoby. Pierwszy jest prosty – polega na pokazywaniu w telewizji klipów z sieci okraszonych głupkowatymi komentarzami. Drugi sposób jest bardziej ryzykowny – emitowanie coraz bardziej szokujących formatów. Ostatnią taką próbę w Polsce podjął TVN. Nie wyszło dobrze. – Bo problem polega na tym, że w Polsce, ale i na świecie, kierownikami programowymi stacji są ludzie bardzo już dojrzali, którzy dorabiali się marki w czasach zupełnie innej telewizji – zauważa Wojciech Krzyżaniak, dziennikarz zajmujący się telewizją i autor bloga Wtylewizji.pl. – I teraz wszyscy oni próbują wyobrazić sobie nowe czasy. Próbują zrobić coś nowoczesnego, ale tak, jak im się wydaje, że to nowocześnie i fajnie. To mniej więcej ten sam problem, gdy dorośli czasem chcą opowiadać o młodzieży ich językiem.

HIPNOTYCZNY NIEWYPAŁ

Program „Hipnoza" miał być hitem ramówki TVN. Do prowadzenia wybrano popularnego Filipa Chajzera. Show w skrócie polega na tym, że pięciu uczestników rzekomo zostaje zahipnotyzowanych i musi realizować zadanie (zwycięzca odcinka dostaje 50 tys. zł), w którym przeszkadza im to, co nieświadomie robią. Już pierwszy odcinek wywołał w widzach potężne zażenowanie oglądaniem człowieka, który przyrządzając drinki, musiał udawać tyranozaura oraz kobiety, która kokietowała prowadzącego – naturszczykom trudno bowiem było ukryć, że po prostu odtwarzają zadanie aktorskie. Oczywiście producenci show podtrzymują w mediach, że ochotnicy naprawdę poddawani są hipnozie i wykonują wszystkie rzeczy nieświadomie. Widocznie mają widownię za jeszcze większych głupców, niż można sądzić.

Program TVN – jak to najczęściej w Polsce bywa – jest bowiem kalką formatu emitowanego wcześniej w Wielkiej Brytanii. Tamtejszy „You're Back in the Room" nie tylko miał taki sam schemat, czyli rzekome hipnotyzowanie ludzi i sugerowanie im idiotycznych zachowań, lecz także polscy producenci poszli na taką łatwiznę, że wprost skopiowali całe scenariusze. Każdy może sprawdzić, że w brytyjskim odcinku także ludzie robią drinki i jeden z mężczyzn udaje przy tym tyranozaura, a jedna z kobiet kokietuje prowadzącego. O ile jednak brytyjski format ma nieco luźniejszą atmosferę (co nie czyni go za grosz mądrzejszym ani ciekawszym), o tyle polska kopia jest pompatyczna i sztywna – co czyni ją jeszcze bardziej nieznośną dla widza.

eprasa.pl 7f4145e991

„Hipnoza" zapowiadana była jako hit nowej ramówki TVN. Okazało się, że Polacy nie bardzo chcą to oglądać, tak samo jak wcześniej Brytyjczycy
FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

Puszczany w prime timie stacji show nie zachwycił oglądalnością przy debiucie. Pierwszy odcinek „Hipnozy" obejrzało 1,6 mln osób (dane za Wirtualnemedia pl). A potem – czego się można było spodziewać, bo i w Wielkiej Brytanii projekt okazał się klapą – widownia zmniejszała się z odcinka na odcinek. Drugi oglądało 1,4 mln osób, a trzeci odcinek – 1,2 mln. Z drugiej strony można też powiedzieć, że to ogromny sukces – ponad milion ludzi wytrzymuje oglądanie tak fatalnego programu telewizyjnego.

Oczywiście TVN nie jest jedynym nadawcą prezentującym coraz słabszej jakości rozrywkę (choć oczywiście ma na koncie wiele takich produkcji, żeby wspomnieć chociaż „Azja Express") i np. w Polsacie roi się od paradokumentów, których śledzenie też wymaga co najmniej zaprzestania myślenia.

Niestety, nie zanosi się na to, że na domowych ekranach podpiętych do anten będzie lepiej. Jest na świecie jeszcze wiele złych formatów telewizyjnych, a polscy producenci zajmują się głównie powtarzaniem tego, co już gdzieś było. – A jest tak, bo firmy producenckie w Polsce nauczyły się nie być odważne – tłumaczy Krzyżaniak. – Kupując format z zagranicy, dostaje się rzecz już sprawdzoną, a do tego całe know-how, czyli wszystkie scenariusze, opiekę merytoryczną kogoś, kto już to robił, i cały pakiet informacji, włącznie z tym, jak to promować marketingowo i znaleźć sponsora. Był czas, że producenci w Polsce proponowali telewizjom własne pomysły, ale dostawały klapsy. Nikt nie chciał zaryzykować pieniędzy na coś nowego. A niewiele firm, tak jak ATM, stać było, żeby zaryzykować własne pieniądze i z gotowym pilotem pójść do stacji.

BYLE JAK, BYLE NAGO

Przegląd zagranicznych produkcji da nam więc już dziś wiedzę o tym, czego powinniśmy się wystrzegać, gdy ktoś będzie chciał emitować polską wersję. Kluczowe będzie słowo „nago". Takich produkcji na świecie powstała już masa i jeszcze wielu z nich nie odważono się nagrać w Polsce.

Amerykanie z VH1 w 2014 r. uraczyli widzów show „Dating Naked", w którym ludzie poznają się i obcują z sobą na tropikalnej wyspie bez ubrań. Trochę już z tym Polaków oswoił TLC Polska, emitując holenderski format „Adam szuka Ewy" w 2015 r.

W 2016 r. Brytyjczycy oburzyli się po emisji show „Naked Attraction". Program pokazywany przez Channel 4 przypominał znaną w Polsce „Randkę w ciemno" z jednym drobnym wyjątkiem – uczestnicy byli nago, a prowadząca wraz z wybierającymi sobie partnera skupiali się na omawianiu szczegółów budowy ciała uczestników. Widzów raczono przy tym zbliżeniami narządów płciowych. Brytyjski odpowiednik polskiej Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji został zasypany skargami. Ofcom nie wszczął postępowania, bo uznał, że nie doszło do naruszenia zasad – nie pokazywano aktywności seksualnej, a program emitowany był w późnych porach. Na Wyspach pokazano dwie serie tego programu.

Zresztą sposobów na pokazanie nagiego ciała jest nieskończenie wiele. Dawno temu TLC w USA emitowało reality show „Buying Naked", w którym agentka nieruchomości poszukiwała domów dla domorosłych nudystów. Z kolei Discovery Channel rzucał nagusów do dżungli lub na sawannę i pokazywał widzom, jak będą potrafili przetrwać nie tylko bez wody i jedzenia, lecz także bez ubrań („Naked and Afraid"). A Japończycy, którzy słyną ze zwariowanych teleturniejów, w jednym z wydań stawiają przed mężczyznami wiele zadań, które krok po kroku zbliżają ich do rozebrania modelki.

SZOKUJ I OGŁUPIAJ

A do skopiowania są jeszcze gorsze pomysły niż eksponowanie nagości pod różnym pretekstem. Swego czasu amerykańska stacja Fox nakręciła reality show „Who's Your Daddy", w którym kobieta dorastająca jako adoptowane dziecko ma wśród 25 mężczyzn rozpoznać biologicznego ojca i wygrać 100 tys. dolarów. Pomysł wzbudził tak wielkie kontrowersje, że stacja nie odważyła się pokazać więcej odcinków niż pilota, a w Karolinie Północnej Fox nie pokazała nawet pierwszego odcinka.

Ta sama stacja w Wielkiej Brytanii pokazała reality show „I Wanna Marry »Harry«", którego uczestniczki miały mieć szansę poślubić księcia Harry'ego – a jak się okazało, starały się jedynie o względy jego sobowtóra.

Zdaniem Wojciecha Krzyżaniaka do wyeksploatowania pozostało jeszcze zaledwie muśnięte przez Polskę pole azjatyckich produkcji. Wśród nich wymienia m.in. teleturniej z rozpoznawaniem partnerki po pośladkach, których można dotykać jedynie ustami, czy show z celebrytami, w którym muszą odkryć, który z domowych sprzętów to replika wykonana z czekolady lub cukierków i liżą oraz nagryzają wszystko od klamek do szaf. – Widać, że żeby dalej szokować, trzeba będzie sięgać po te azjatyckie formy. I świadczy o tym choćby to, że robi to już nawet BBC – wskazuje Krzyżaniak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Boli ich krzyż

FOT. DONAT BRYKCZYŃSKI/BEE.GW

Piotr Semka

Agresja feministek i innych lewicowych środowisk w stosunku do Kościoła jest silna jak nigdy. A będzie jeszcze ostrzejsza, bo nie słychać głosów sprzeciwu

Nawet komuniści w latach stalinowskich nie wysyłali zetempowców do blokowania kurii” – ta trafna konstatacja z czarnego piątku pokazuje, jak bardzo feministki przesunęły granice tego, co możliwe w polskiej przestrzeni. Po raz pierwszy na taką skalę skrajna lewica przeprowadziła kampanię nienawiści wobec Kościoła katolickiego. Jej faktycznym i zasadniczym przesłaniem było żądanie, by polski Kościół przestał wypowiadać się na tematy publiczne. Demonstracje te używały nienawistnego, wulgarnego języka. Wiele transparentów z premedytacją obrażało uczucia ludzi wierzących. Mimo łamania dotychczasowych norm aktywności publicznej przyłączyły się do nich główne partie opozycyjne z centrum i lewicy. Nowym sojusznikiem agresywnej feminolewicy jest Studencki Komitet Antyfaszystowski, który przy bierności władz uczelnianych testuje możliwości narzucania uczelniom terroru politycznej poprawności.

Forma demonstracji i ich styl nie spotkały się z żadnymi protestami wybitnych postaci życia publicznego czy katolickiej opinii publicznej. Episkopat nie uznał za stosowne skomentować demonstracji pod kuriami i jedynie paru biskupów nawiązało – zazwyczaj bardzo ogólnie – do czarnego piątku.

Feministki nie zapomną tej „próby ogniowej” i braku zdecydowanej krytyki ich działań. Oznacza to groźbę jeszcze bardziej agresywnych ataków na Kościół. Jeśli dodać do tego coraz liczniejsze skuteczne akcje blokowania wystąpień obrońców życia na uczelniach, to sytuacja robi się niepokojąca. Kto ma sprzeciwić się tej ofensywie agresywnej lewackości?

NA RYMPAŁ

Pisanie o obraźliwych transparentach z czarnego marszu niesie ze sobą takie same dylematy, jakie pamiętam z czasów, gdy dochodziło do antypapieskich demonstracji przed wizytami Jana Pawła II we Francji, w Holandii czy Niemczech. Opisywanie ich dosłowne wiąże się z powtarzaniem obscenicznych sloganów. Nieprzytaczanie ich wprost nie pozwala jednak na zrozumienie skali agresji. Trudno, bez paru próbek stylu feministek się nie obejdzie.

Oto pięciometrowy banner „Ch.W.D. polskim biskupom” niesiony na całą szerokość demonstracji w Warszawie. Oto transparent z karykaturą zaplutego biskupa pedofila z napisem: „Niech się rodzą dzieci, bo ja lubię dzieci”, który wywoływał entuzjazm tłumu. Oto Manuela Gretkowska, która w przesłaniu wideo do uczestniczek protestów ogłasza, że „Kościół trzyma Polskę za jaja i z palcem w cipie”.

Ktoś spyta: Po co cytować taki rynsztok? Odpowiadam: Bo tylko znając ten poziom wulgarności, można postawić pytanie, dlaczego w obozie liberalnym nikogo nie razi taki poziom? To efekt swoistej samocenzury życzliwych – wielu reporterów przemilczało takie wyskoki. Tak samo było z używaniem bluźnierstw. W relacjach TVN czy Polsatu nie widziałem plakatów „Boli mnie krzyż” z wizerunkiem macicy w kształcie krzyża, nie zauważyłem obrazu Matki Boskiej z macicą zamiast serca i napisem: „Matka tylko z wyboru”. Jednak oprócz obrażania i świętokradztw częste były sugestie gwałtownej rozprawy z Kościołem i rządem: „Bójcie się, bo idziemy po was, bójcie się, bo jesteśmy wkurwione”, „Hipokryci, fanatycy, poczujecie gniew ulicy”, „Nie zadzieraj z Polką wściekłą, bo zrobimy z kraju piekło”. Jeszcze dalej posunęli się działacze Studenckiego

eprasa.pl 7f4145e991

Komitetu Antyfaszystowskiego, którzy dobijając się do zamkniętej kurii w Warszawie, skandowali: „Hej klecho! Wyłaź po dobroci!".

We wszystkich tych przypadkach – agresja usprawiedliwiana była przekonaniem narzuconym przez liderki marszu – feministki i „antyfaszyści" mają jakieś nadzwyczajne, większe niż inni prawo do demonstrowania gniewu. Przychylne im pisma uwielbiają tytuły w stylu „Dziewczyny mówią dosyć!", „Kobiety mają wielki wkurw", „Straciły cierpliwość" i „Mają prawo mówić, co myślą".

Gdy takie same przekonanie wyrażają górnicy podpalający opony pod siedzibą rządu czy kolejarze blokujący tory, te same gazety, które zachwycają się „energią" feministek, żądają ukrócenia samowoli „awanturników".

W razie krytyki feministek nikt nie mówi o awanturnictwie, tylko pada obłudna rada: „Trzeba było nie wkurzać kobiet". I jako o rzeczy niepodlegającej dyskusji pisze się o czarnych marszach jako głosie polskich kobiet – w domyśle wszystkich kobiet.

Na ulicach wszystkich polskich miast w czarny piątek demonstrowało 150, góra 200 tys. demonstrantów. Tymczasem wyrażający troskę o prawo do życia projekt „Zatrzymaj aborcję" podpisało aż 850 tys. Polaków.

Innym chwytem stosowanym przez feministki jest tworzenie wrażenia, że ich protesty to akt nie byle jakiej odwagi w PiS-owskim państwie i wrogim katolickim otoczeniu.

Gdy w Gryficach w województwie zachodniopomorskim w czarny piątek wyszła na ulicę w ramach protestu dosłownie jedna demonstrantka, która zamieściła zdjęcie ze swego protestu, w Internecie natychmiast posypała się lawina wpisów uznania za jej bohaterstwo, na czele z gratulacjami od Barbary Nowackiej. „Gazeta Wyborcza" w Szczecinie z uznaniem cytowała głos z sieci jednej z feministek: „Gryfice to jakieś dziwne miasto… Jedna odważna kobieta nie bała się zaprotestować. A reszta co? Na co czekają pozostałe? Na błogosławieństwo PiS-owskich idiotów?".

Z takich drobnych narzuceń interpretacji tkane jest wrażenie medialne o przewadze moralnej „dziewuch" i niższości moralnej ich krytyków. O ile w przypadku Marszu Niepodległości media pokazały z triumfem parę – na dziesiątki innych – nienawistnych bannerów jako dowód oskarżenia dla organizatorów wielkiej, 60-tysięcznej demonstracji, o tyle w przypadku czarnego marszu nikt nie rozliczał organizatorek protestów z używania „mowy nienawiści".

Marta Lempart, liderka marszu w Warszawie, odpowiadając na Twitterze na nieliczne pytania o nienawistne transparenty, sprytnie zamieniła problem w żart: „Na dzień dobry zwracam uwagę, że nie mamy Centralnego Strajkowego Instytutu Zatwierdzania i Produkcji Transparentów Podobających Się Wszystkim z Wydziałem Nadzoru i Reperkusji. Ale może założymy. Bo jak ludzie mówią, co myślą, to jest w ogóle najgorzej. Oh, wait".

OPOZYCJA NA SMYCZY FEMINISTEK

Bardzo charakterystyczne jest też wchłonięcie przez feministki do swojego protestu polityków głównych partii opozycyjnych – Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej. O ile SLD, partia Razem i Inicjatywa Polska (ugrupowanie Barbary Nowackiej) oraz Nowoczesna zawsze popierały feministki, o tyle casus ideologicznego skolonizowania Platformy jest pouczający.

Nastąpiło to w pełni stosunkowo niedawno, bo za rządów Ewy Kopacz, gdy ton w kwestiach światopoglądowych zaczęła nadawać pełnomocnik do spraw równości, prof. Małgorzata Fuszara.

Pognębienie niedobitków konserwatyzmu nastąpiło po 10 stycznia br., gdy feministki i wspierające je media odniosły kolejny sukces interpretacyjny. Większość mediów III PR ukuło wówczas tezę, że odrzucenie lewackiego projektu „Ratujmy kobiety" i to, że trójka posłów PO głosowała przeciw skierowaniu projektu ustawy do komisji, to kompromitacja Platformy.

Problem był bardziej złożony. Owszem, PiS na czele z Jarosławem Kaczyńskim głosował za przesłaniem projektu feministek do komisji, ale czynił to, zakładając, że zdąży potem zablokować projekt. Dla odmiany w PO tacy konserwatywni posłowie jak Joanna Fabisiak, Marek Biernacki i Jacek Tomczak, głosujący przeciw, i 29 posłów Platformy, którzy w ogóle nie brali udziału w głosowaniu, podjęło taką decyzję w ramach sprzeciwu wobec ideologicznego dryfu Platformy na lewo. Nie chcieli przykładać ręki do projektu ustawy, który postulował, by 15-latka mogła dokonywać aborcji bez zgody rodziców lub opiekuna. Ustawy, która stanowiła, że osoby usiłujące odwodzić od aborcji lub antykoncepcji przy użyciu – tu cytat – „argumentów nieznajdujących odbicia w obecnym stanie badań naukowych" będą podlegały grzywnie lub karze pozbawienia wolności do dwóch lat. „Konserwatyści" podejrzewali, że liderzy PO poprą takie skandaliczne zapisy. I zapłacili za swój sprzeciw wysoką cenę. Posłankę Fabisiak oraz posłów Biernackiego i Tomczaka wykluczono z partii.

W tej sytuacji nie było już nic dziwnego w tym, że posłowie PO z wicemarszałek Małgorzatą Kidawą-Błońską karnie demonstrowali w czarnym marszu. Jeszcze bardziej gorliwa jest Katarzyna Lubnauer, nowa szefowa Nowoczesnej, która wystosowała do biskupów list wzywający ich do „przemyślenia stanowiska w sprawie aborcji".

Lubnauer w liście przywołała też stanowisko rzecznika Konferencji Episkopatu Polski ks. Pawła Rytla-Andrianika, który 21 marca napisał w komunikacie, że biskupów „niepokoi fakt przedłużania się prac parlamentarnych nad obywatelskim projektem ustawy »Zatrzymaj aborcję«". Szefowa Nowoczesnej pisze w liście: „Nie wiem, czy przedstawiciele KEP zdają sobie sprawę, że jakakolwiek pozytywna odpowiedź na ich apel, zarówno teraz, jak i w przyszłości, byłaby ustrojowym skandalem. Niszczyłaby ustrój Rzeczypospolitej Polskiej i oznaczałaby, że władze państwa nie zachowują bezstronności w sprawach przekonań religijnych. Polska stałaby się nieuchronnie, w świetle faktów dokonanych – państwem wyznaniowym".

KTO MA BRONIĆ KOŚCIOŁA?

Można wzruszyć ramionami wobec wyraziście laicyzacyjnego „ultimatum" szefowej partyjki, która w sondażach znika poniżej progu wyborczego. Warto wskazywać, że takie rozumienie rozdziału Kościoła od państwa niosłoby za sobą faktyczny zakaz komentowania przez Kościół jakiejkolwiek dziedziny życia publicznego, podczas gdy feministki bez skrępowania naciskają na parlament i rząd.

Jednak problemem jest też brak pomysłu Kościoła na to, jak reagować na wzrost agresji feministek, „antyfaszystów" i podlizujących im się polityków.

Skandowanie pod pałacem biskupim przez tłum studentów: „Wyłaź, kle-

eprasa.pl 7f4145e991

cho" to może być zwiastun kolejnych demonstracji, w trakcie których w okna kurii mogą polecieć kamienie.

Większość biskupów zakładała do niedawna, że taka sytuacja jest po prostu niemożliwa. Była niemożliwa. A teraz już jest. Tak samo belgijscy biskupi nie brali pod uwagę, że feministki mogą ich fizycznie zaatakować. Aż do kwietnia 2013 r., gdy prymas Belgii André-Joseph Léonard został podczas debaty na brukselskim uniwersytecie ULB oblany wodą święconą przez półnagie feministki związane z organizacją FEMEN.

Gdyby młodzi narodowcy zapowiedzieli demonstrowanie i blokowanie wejścia do muzeum POLIN lub biura Kongresu Kobiet – z pewnością szybko skrzyknęliby się zwolennicy lewicy, którzy takie instytucje otoczyliby żywym murem. A kto miałby taki mur tworzyć w obronie kurii? Akcja katolicka, którą niespecjalnie widać? Młodzi z Lednicy, którzy spotykają się pod znakiem wielkiej ryby raz do roku, ale których trudno byłoby sobie wyobrazić w takiej akcji? Owszem, nazajutrz po czarnym piątku w Poznaniu odbył się marsz dla życia, który zgromadził wiele tysięcy ludzi.

Jednak takie manifestacje przygotowywane są dużo wcześniej, zazwyczaj sumiennie i powolnie. Jak mają się do szybkich akcji skrajnej lewicy, która może przekraczać kolejne granice agresji wobec Kościoła? Cóż jednak mówić o świeckich, gdy sami biskupi nie zdecydowali się na choćby skomentowanie pikiet pod kuriami 19 i 26 marca?

Jedyne nawiązanie do tych akcji, które znalazłem w mediach katolickich, pojawiło się w kazaniu kard. Kazimierza Nycza w Niedzielę Palmową.

„Obok radosnego śpiewu »Hosanna!« w procesjach z palmami są też inne spotkania, gdzie padają złowrogie słowa przeciwko ochronie życia i tym wszystkim, którzy próbują go bronić. Ale padają też słowa »Ukrzyżuj!« wobec papieża Franciszka, który prowadzi nas do Boga i do człowieka potrzebującego, biednego, uchodźcy".

Kardynał Nycz ma prawo do sprzeciwu wobec krytyki Ojca Świętego, ale zadziwia stawianie obu zjawisk na równi. Demonstracje pod pałacem biskupim przy ul. Miodowej zdarzyły się w ostatnim czasie aż trzy razy. O demonstracjach krytyków papieża Franciszka w Polsce nikt nie słyszał.

Laikat w Kościele i świeckie elity katolickie poza kościelną lewicą oduczyły się aktywności. Agresja feministek nie skłoniła nikogo do listu wyrażającego niepokój lub protest.

Wiele transparentów używanych na czarnopiątkowych demonstracjach z premedytacją obrażało uczucia ludzi wierzących FOT. JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS

FOT. TOMASZ KACZOR/EAST NEWS

FOT. MAREK LASYK/REPORTER

W ciągu ostatnich paru lat nacisk zwolenników poprawności politycznej na uczelniach narasta. Rok temu aktywiści partii Razem zablokowali spotkanie z proliferką Rebeccą Kiessling na Uniwersytecie Warszawskim, Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Parę miesięcy temu nacisk polityka lewicy Wandy Nowickiej zbiegł się z wycofaniem się Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego z propozycji wykładów z bioetyki i etyki lekarskiej dla Tomasza P. Terlikowskiego.

Nowe standardy wprowadza na Uniwersytecie Warszawskim Studencki Komitet Antyfaszystowski (SKA). Mimo protestów jego aktywiści wykonywali plakaty na demonstrację 21 marca w lokalach Instytutu Kultury Polskiej i demonstrowali na terenie uczelni bez zgody rektora. Wszystko to przy bezradności władz UW. SKA zapowiedział strajk okupacyjny w razie dokonania zmian w obecnym ustawodawstwie aborcyjnym.

Nic dziwnego, że można spodziewać się dalszej eskalacji agresji na lewicy i poczucia jej pewności siebie. A w razie starć z policją, do których prowokowali już „antyfaszyści" pod pałacem biskupim 21 marca, duża część mediów uzna ich za ofiary.

Czy chrześcijańska opinia publiczna ma pomysł, co robić w razie takich awantur? Na głębszy namysł nie ma zbyt wiele czasu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. MICHAŁ WENDE/REPORTER

Nowy rodzaj feminizmu

Agnieszka Niewińska

Tak dalece posuniętego antyklerykalizmu nie widzieliśmy jeszcze na feministycznych protestach. Dotąd nie oklejano kościołów i nie szturmowano kurii. Te czasy mamy już za sobą

Drogi biskupie, mam cię w dupie”, „Siedź w swojej kaplicy, a nie w mojej macicy”, „Napierdalajcie we własne organy” – to tylko niektóre z haseł głoszonych podczas odbywającego się w ramach czarnego piątku marszu spod kurii. Chociaż w mediach najgłośniej było o przemarszu sprzed Sejmu do siedziby PiS, to godzinę wcześniej kilkuset przeciwników obywatelskiego projektu ustawy „Zatrzymaj aborcję” zebrało się przed budynkiem warszawskiej kurii.

Po tym, jak kilka dni wcześniej studenci skrzyknięci przez Studencki Komitet Antyfaszystowski wdarli się na dziedziniec Domu Arcybiskupów Warszawskich, dobijali do środka, szarpali się z policją, a na drzwiach i bramie przyczepiali wieszaki, kurii strzegła policja. Przed jej bramą uczestnicy marszu spod kurii wznosili okrzyki: „Solidarność naszą bronią, a biskupi niech się gonią”, „Pokonamy fanatyków” czy „Słowa z ambony, to zabobony”. – Biskupi dziobnęli nas ostrym kijem – tłumaczyła powód zebrania się przed kurią Beata Siemaszko, działaczka z Zajęcznik koło Siemiatycz, stojąc na zbitej z desek palecie. – Kościół ma długą tradycję poniżania i pogardzania kobietami! – krzyczała do mikrofonu, twierdząc, że już św. Klemens Aleksandryjski żyjący w II w. dyskryminował kobiety. – „Każda kobieta powinna być przepełniona wstydem przez samo tylko myślenie, że jest kobietą” – cytowała rozpowszechnione na różnych internetowych forach racjonalistów słowa św. Klemensa, a rozentuzjazmowany tłum krzyczał: „Hańba!”.

„BISKUP – KOBIETY WRÓĆ”

W rolę głównego zapiewajły manifestacji wcieliła się Bożena Przyłuska. „Warszawianka, feministka, ateistka, zwolenniczka świeckiego państwa. Współkoordynatorka akcji Świecka Szkoła” – napisała o sobie na stronie kwartalnika „Liberté!”, gdzie prowadzi blog. Dla konfrontacji z Kościołem powołała nawet twór pod nazwą Konferencja Episkopatu Polek, który już w październiku 2016 r. manifestował przed kościołami oraz przygotował komunikat i nagłaśniał go w mediach.

Przyłuska na samym początku zgromadzenia przy warszawskiej kurii wyjaśniła

eprasa.pl 7f4145e991

konwencję marszu, który przeszedł do ronda de Gaulle'a, zatrzymując się pod każdym z mijanych kościołów.

– To jak droga krzyżowa! My pójdziemy w butach do nieba, a oni do piekła – dzielił się ze mną swoim entuzjazmem mężczyzna w średnim wieku, choć zaznaczał, że w kościołach nie bywa. – Po dwudziestu latach poszedłem do kościoła na ślub, kościelny niestety. No czułem się tam jak kosmita – perorował. I dziwił się policyjną obstawą przed wejściami do świątyń na trasie marszu. – Pewnie się boją, że im te skarbony z pieniędzmi ukradniemy – dowcipkował.

– Kościół szantażem politycznym forsuje uchwalenie przemocowego, patriarchalnego modelu rodziny, blokuje dostęp dzieci i młodzieży do edukacji seksualnej, blokuje debatę na temat równości małżeńskiej i związków partnerskich, ogranicza wolność słowa oraz twórczość artystyczną i wreszcie wpaja naszym dzieciom poczucie wyższości i pogardy dla inności. Dosyć tego! – krzyczała pod kurią Przyłuska. I proponowała uczestnikom „antydziękczynną" litanię dla biskupów. – Ja mówię, za co nie dziękujemy, a wy będziecie mówić: hipokryci fanatycy, poczujecie gniew ulicy.

W marszu szedł także działacz Komitetu Obrony Demokracji Grzegorz Antoszewski. Dwukrotnie do mikrofonu intonował przeróbkę „Roty" – wyraźnie zresztą ze swojego dzieła zadowolony. – Jak przerobiłem ostatnią zwrotkę i ją sobie odśpiewałem, to się popłakałem ze wzruszenia – opowiadał zebranym. I namawiał do wspólnego śpiewania: „Nie będzie biskup pluł nam w twarz/ ni dzieci rodzić kazał/ Macice nasze, wybór nasz/ nic to, że Kościół kazał/ Biskupie, nie czuj się jak Bóg/ tyś jest kobiety wróg/ tyś jest kobiety wróg".

OKLEJONE KOŚCIOŁY

Chociaż na wcześniejszych manifestacjach zwolenników aborcji były obecne hasła wyrażające niechęć do Kościoła, to po raz pierwszy protesty przybrały tak mocno antyklerykalny charakter. Jego wyrazem były nie tylko protesty przed kuriami (pierwsze zorganizowano już w niedzielę 18 marca pod hasłem: „Słowo na niedzielę") czy warszawski marsz od kościoła do kościoła.

W Poznaniu w nocy przed akcją „czarny piątek" biało-czerwonymi tasmami zostały oklejone wejścia do pięciu poznańskich świątyń. Na drzwiach rozklejano też plakaty proaborcyjne.

Chcieliśmy zapytać Przyłuską o antyklerykalny charakter protestów i o to, czy rzeczywiście sądzi, że Kościół stanowi w Polsce prawo. Odpowiedziała, że nie kazała nikomu przynosić antyklerykalnych plakatów, i poradziła, żeby ludzi na ulicy zapytać, dlaczego są wkurzeni na biskupów, po czym stwierdziła, że „Do Rzeczy" kłamie, więc nie zamierza z nami rozmawiać, i rzuciła słuchawką.

Krystian Kratiuk, publicysta katolicki, redaktor naczelny portalu PCh24.pl, jest zdania, że musiało dojść do antyklerykalnego zwrotu w ruchach feministycznych. – Każda rewolucja przeciwko prawu naturalnemu musi uderzyć w Kościół. Kościół jest tą instytucją, która najmocniej broni tego prawa – mówi „Do Rzeczy". – Obawiam się, że na manifestacjach i wymierzonych w Kościół hasłach się nie skończy. Potem będzie bicie kapłanów, a następnie podrzynanie im gardeł. To sprawdzone wzorce i przetestowane chociażby przy okazji rewolucji francuskiej czy marksistowskiej – ostrzega.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z partii Razem, wyjaśnia, że czarny piątek był wyrazem sprzeciwu wobec naruszania zasady świeckiego państwa, a pojawienie się na protestach haseł antyklerykalnych było związane z tym, że partia rządząca przyspieszyła prace nad projektem „Zatrzymaj aborcję" po apelu hierarchów.

Rzecznik episkopatu podał informację, że biskupi proszą o modlitwę w intencji ochrony prawa człowieka do życia i wyrażają zaniepokojenie faktem przedłużających się prac parlamentarnych nad obywatelskim projektem ustawy „Zatrzymaj aborcję". – Apelujemy o to, żeby podjąć te prace legislacyjne, dlatego że zrelatywizowanie prawa do życia grozi zrelatywizowaniem wszystkich innych praw człowieka, w tym czy późniejszym czasie. To jest równia pochyła, po której będziemy się staczać – ocenił były przewodniczący Zespołu Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych abp Henryk Hoser podczas konferencji prasowej kończącej 378. Zebranie Plenarne KEP.

– Kościół może mieć opinię w tej sprawie, może ją wygłaszać, ale nie może wywierać nacisku na świecką władzę. Jeśli decyduje się na uczestnictwo w sporze politycznym, to musi się liczyć z krytyką, ze sprzeciwem ulicy – uważa Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. I zaznacza, że protestów przed kuriami, które odbyły się jeszcze przed czarnym piątkiem, szturmami by nie nazwała. – To, co się teraz dzieje, dzieje się na życzenie Kościoła katolickiego. Jednak jako polityczkę bardziej martwi

eprasa.pl 7f4145e991

mnie uległość władzy wobec Kościoła. Władza powinna być niezależna od jakichkolwiek instytucji wyznaniowych – podkreśla.

Elżbieta Podleśna reprezentująca warszawski Strajk Kobiet, stojąc niemal naprzeciwko demonstrantki z afiszem: „Czcigodni mężowie o cnotach ze stali żebyście się nie zesrali”, krzyczała, że żadna sekta, żadna organizacja religijna, żadna partia polityczna nie ma prawa zmuszać do donoszenia „płodów” bez czaszki, z zarośniętym przełykiem czy z wadami serca lub nerek. – Jestem absolwentką KUL. Szanuję religię, ale nie szanuję wpieprzania się w cudze życie – mówiła przy aplauzie demonstrantów. Szerzej w mediach zaistniała, gdy z innymi kobietami próbowała blokować ostatni Marsz Niepodległości. Poturbowana musiała nosić kołnierz ortopedyczny, o czym opowiadała na briefingu w Sejmie. Dziennikarzowi „Dużego Formatu” tłumaczyła, że chodziła na demonstracje, ale nie angażowała się politycznie. Uaktywniła się, gdy Sejm zaczął zajmować się zmianami w ustawie antyaborcyjnej. Przygotowała ulotki i jeździła z nimi po wsiach oraz targach na Polesiu Lubelskim, gdzie spędza wakacje.

Kiedy pochód spod kurii dotarł do kościoła ss. Wizytek, głos zabrała inna aktywistka warszawskiego Strajku Kobiet – Agnieszka Wierzbicka, która podobnie jak Podleśna w listopadzie blokowała Marsz Niepodległości. Wyznała, że jest katoliczką, i dystansowała się od Kościoła, który „zmusza kobiety do bohaterstwa”. Mówiąc o aborcji, użyła argumentu z dawcy krwi, który gdy źle się czuje, może zrezygnować z jej oddania, choćby na stole obok umierał inny człowiek tej krwi potrzebujący.

Przy następnym przystanku – przed kościołem Świętego Krzyża – manifestującym wyszli na spotkanie goście, którzy przyjechali na odbywające się w Pałacu Staszica Dni Ateizmu. Odczytano rezolucję Parlamentu Europejskiego o tym, że kobiety znajdują się wśród głównych ofiar religijnego fundamentalizmu. Mikrofon przejęła Ewa Dąbrowska-Szulc z organizacji Pro Femina – jedyna na tym marszu zabierająca głos znana działaczka starej feministycznej gwardii, od lat pokazująca się na manifestacjach z tym samym transparentem mówiącym, że kobieta równa się człowiek, a zarodek jest różny od człowieka. – Ruszamy, ruszamy pod Sejm, bo tam się stanowi to prawo, ale jeśli myślicie, że oni sami z siebie stanowią prawo, to się bardzo mylicie. W Polsce prawo jest stanowione pod dyktando jednej dominującej religii rzymskokatolickiej – mówiła Dąbrowska-Szulc. Jednak tłum już krzyczał: „Pod Sejm, pod Sejm”, a po drodze wznosił okrzyki: „Czarne łapiduchy zostawcie nasze brzuchy” i intonował przyśpiewkę: „Ksiądz nigdy nie będzie w ciąży, ale temat ciąży drąży”.

FOT. MARIUSZ GĄCZYŃSKI/EAST NEWS

ZATĘSKNIMY ZA ŚRODĄ?

Krystian Kratiuk obserwował manifestacje czarnego piątku na rynku w Krakowie. – Uderzyło mnie to, że hasła niesione na plakatach były wulgarne, prymitywnie antyklerykalne, odwołujące się do najniższych instynktów seksualnych. Widać, że na feministyczną scenę weszło nowe pokolenie działaczek. Starsze miały jeszcze jakieś religijne doświadczenia z domu rodzinnego, pamiętały pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, nie były antyklerykalne w tak wulgarny sposób. Słowom Magdaleny Środy czy Kazimiery Szczuki nieraz brakowało logiki, ale zazwyczaj używały akceptowalnego języka. Na tych protestach do głosu doszły kobiety, które były wychowywane w atmosferze rewolucji seksualnej. Transparenty z czarnego piątku pokazały, że myślą inaczej – z perspektywy majtek – mówi Krystian Kratiuk. I dodaje, że największe jego zdziwienie wzbudził atak studentów na warszawską kurię. – Gdyby nie to, że w Warszawie leżały jeszcze resztki śniegu, to pewnie uczestnicy tego zgromadzenia rzucaliby w drzwi kamieniami, a nie śnieżkami. A co by było, gdyby drzwi były otwarte? Zdumiewa mnie to, że nie było żadnej reakcji metropolity warszawskiego na to zajście, żadnego komunikatu czy tweeta rzecznika Konferencji Episkopatu Polski, wyrazów wsparcia ze strony innych biskupów. Warto też zadać sobie pytanie, gdzie w tym czasie były młodzież katolicka, duszpasterstwa akademickie, tzw. pokolenie JP2, Akcja Katolicka? Kościół niestety uwierzył w kurs świętego spokoju, ludzie wierzący stoją w kruchcie i o sprawy publiczne co najwyżej się modlą. A nie wiadomo, czy i to za chwilę będzie jeszcze dozwolone. Może będzie można się modlić już tylko w prywatnych intencjach?

Na manifestację studentów, którzy wtargnęli na teren warszawskiej kurii niespełna tydzień później – 26 marca – odpowiedzieli ich koledzy z uczelni. Akcja Studencka zorganizowała demonstrację przed bramą UW pod hasłem: „Studenci za życiem”. Wcześniej wystąpiła z zapytaniem do rektora uniwersytetu o to, dlaczego uczelnia udostępniła pomieszczenia studentom przygotowującym plakaty na proaborcyjną manifestację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Krzysztof Masłoń

Nawet współtwórczyni „Żegoty" przypisywano antysemityzm

Polski dekalog Zofii Kossak

W 2005 r., jakoś tak przed warszawskimi Targami Książki, których Szwajcaria była wtedy gościem honorowym, zdarzyło mi się w Lozannie zjeść kolację w towarzystwie m.in. sympatycznego profesora literatury francuskiej na miejscowym uniwersytecie. Był nim François Rosset, wnuk Zofii Kossak-Szczuckiej, syn jej córki Anny. W pierwszej chwili nie zareagowałem na nazwisko profesora, dopiero w trakcie rozmowy olśniło mnie, z kim siedzę przy stole. Mocno skonfundowany zacząłem dość chaotycznie komplementować i działalność, i pisarstwo babki swego interlokutora, czym wyraźnie go ucieszyłem. Powiedział bowiem później, że często zarzucany jest Zofii Kossak antysemityzm, co wpływa na negatywną ocenę zarówno jej czynów, jak i twórczości. „Ależ pańska babka była bohaterką" – odrzekłem, szczerze zdziwiony tym, co usłyszałem. François Rosset westchnął: „Nie wszyscy tak uważają". Skądinąd w kontekście tych słów zastanawia komitywa Rosseta z Michnikiem, nazywającym go poufale „Frankiem", bo nie zauważyłem, by „Gazeta Wyborcza" podkreślała ewidentne zasługi pisarki w dziele ratowania Żydów, za to antysemityzm bywa jej wytykany, i owszem.

PUBLICYSTYKA

Przedwojennego antysemityzmu Zofii Kossak dowieść ma jej publicystyka, w II Rzeczypospolitej bynajmniej nieodosobniona. Pisarka popierała np. zasadę numerus clausus, czyli ograniczonego czy raczej proporcjonalnego w stosunku do liczby ludności dopuszczania Żydów do studiów uniwersyteckich, wolnych zawodów i stanowisk politycznych. Odpowiadać to miało, jej zdaniem, „kryterium sprawiedliwości, godności narodowej i tradycji historycznej". A w 1937 r. na łamach „Głosu Kapłańskiego" napisała, że Żydzi „obrażają i korumpują ludność rdzennie związaną z ziemią, która to ludność ma pełne prawa do suwerennego stanowiska", i opowiadała się za „zdecydowanym rozwiązaniem kwestii żydowskiej, chociaż bez przemocy i antysemickiego radykalizmu".

Poglądy te podzielane były powszechnie. Taki choćby ustęp znajdziemy w artykule redakcyjnym „Polityki" (dawniej „Buntu Młodych") z 10 lutego 1937 r.: „»Nie lubię żydziaków, więc nie mam dzieci«, mówił niedawno głośno pewien publicysta semickiego pochodzenia. To bardzo cyniczne. Ale gdyby podobnie pomyślano na Nalewkach, to byłoby to raczej korzystne". Redaktorem naczelnym „Polityki" był – uwaga! uwaga! – Jerzy Giedroyc, który w tym samym artykule zatytułowanym „Kwestia żydowska" pisał dalej: „Trzeba dążyć do wyrugowania getta z polskiej rzeczywistości. Los tego getta jest z punktu widzenia polskiej racji stanu doskonale obojętny. Póki ono nie wymrze, nie wyemigruje lub nie zasymiluje się, powinno się je wyizolować. Przede wszystkim w drodze pozbawienia praw politycznych. Broń Boże nie w drodze ustaw wyjątkowych. Po prostu wzorem najdemokratyczniejszej republiki Stanów Zjednoczonych, która wprowadziła w całym szeregu stanów egzamin dla wyborców z języka angielskiego i konstytucji. U nas i to zupełnie wystarczy, by pozbawiać fołksfront przeszło miliona wyborców, którzy o losach Polski nie powinni mieć nic do gadania".

OBOWIĄZEK POTĘPIENIA ZBRODNI

Jednak to wszystko działo się przed wojną i hitlerowską okupacją. W jej początkach Zofia Kossak nie traktowała jeszcze

eprasa.pl 7f4145e991

osobno kwestii żydowskiej, a po prostu piętnowała przypadki wysługiwania się Niemcom. Aby np. w 1940 r. w redagowanym wspólnie z Witoldem Bieńkowskim piśmie „Polska Żyje" z całą mocą stwierdzić: „W moralnym rozkładzie spowodowanym przez okupację mamy szansę na dokonanie »naturalnej selekcji«, która, eliminując najgorszą część społeczeństwa, wyodrębniłaby charaktery silne i czyste: mamy rzadką okazję, aby spojrzeć w twarz tym wszystkim szumowinom, rozpoznać je, dać im imię i nazwisko, i w stosownym momencie usunąć je ze zdrowego organizmu narodu jak raka, bez żalu, bez cienia litości. Trzeba zapisać nazwiska konfidentów, spekulantów, hien, tych, którzy gromadzą majątki zbudowane na naszej nędzy i niewoli, ponieważ nadejdzie moment, w którym zostaną poddani osądowi".

Niestety, zamiast tego nastąpiły wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. i towarzyszące mu na przełomie czerwca oraz lipca mordy Żydów dokonywane przez hitlerowców z pomocą miejscowej ludności. To, co się działo na Podlasiu, musiało zaniepokoić władze konspiracyjne. Trudno powiedzieć, czy wiedza o tym, co wydarzyło się w Jedwabnem czy Radziłowie, była pełna, niemniej w podziemnej „Prawdzie", co prawda dopiero w maju 1942 r., ukazał się artykuł najprawdopodobniej napisany właśnie przez Zofię Kossak. Znalazły się w nim te słowa: „… paląca staje się kwestia demoralizacji i zdziczenia, jaką rzezie żydowskie wprowadzają wśród nas. Nie sami bowiem szauliści, folksdojcze lub Ukraińcy używani są do potwornych egzekucji. W wielu miejscowościach (Kolno, Stawiski, Jagodne, Szumów, Dęblin) w masakrze brała udział na ochotnika miejscowa ludność. Przeciw podobnej hańbie trzeba przeciwdziałać wszelkimi dostępnymi środkami. Uświadamiać ludzi, że stają się herodowymi siepaczami, piętnować w tajnej prasie, nawoływać do bojkotowania katów, grozić, zapowiadać na morderców surowe sądy wolnej Rzeczypospolitej".

Jeszcze kilkakrotnie pisała Zofia Kossak o wydawaniu i zabijaniu Żydów, aż w końcu w sierpniu 1942 r. ogłosiła – w imieniu Frontu Odrodzenia Polski – wydany w pięciotysięcznym nakładzie w formie broszury „Protest", z wielokrotnie przywoływanymi potem zdaniami: „Uczucia nasze względem Żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy uważać ich za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co więcej, zdajemy sobie sprawę z tego, iż nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęście. Dlaczego, na jakiej podstawie – to pozostaje tajemnicą duszy żydowskiej, niemniej jest faktem nieustannie potwierdzanym. Świadomość tych uczuć jednak nie zwalnia nas z obowiązku potępienia zbrodni".

W tym samym roku wspólnie z Wandą Krahelską-Filipowiczową utworzyła „Żegotę", Komitet Pomocy Żydom, późniejszą Radę Pomocy Żydom. Także osobiście ratowała śmiertelnie zagrożonych współobywateli żydowskiego pochodzenia. Nie wahała się, by pojechać po żydowskie dziecko do Krakowa, a w akcję ratowania Żydów wciągała nawet swoich najbliższych. Po latach, w 1954 r., w liście do Ireny Rybotyckiej wspominała: „Pamiętam, jak kiedyś przeprowadzałam z Powiśla na Śniadeckich Żydówkę. Witold [wtedy 16-letni – przyp. red.] osobno na ten sam punkt prowadził jej męża, a Anna [14-letnia – przyp. red.] córkę, swoją rówieśnicę. Cała rodzina miała typ jaskrawo semicki, bijący w oczy. Boże, jakże się bałam o te moje dzieci! Patrzyłam z okna, jak Witold wychodzi, prowadząc przyjacielsko pod rękę skulonego niskiego Żyda, pochylał się nad nim jak śliczny anioł opiekuńczy, opowiadając coś »ogromnie ciekawego«. Potem Anna roześmiana, w podskokach ciągnąc za rękę swoją niby koleżankę, słaniającą się ze strachu. Nigdy nie zapomnę tego okropnego uczucia lęku, tego poczucia, że własne najukochańsze dzieci narażam na śmierć prawie pewną. A z drugiej strony to przeświadczenie, że to przecież obowiązek. A potem ta radość szalona i wdzięczność Bogu, gdy po półtorej godzinie spotkaliśmy się na Powiślu cali i zdrowi, ze świadomością, że »podopieczni« zostali szczęśliwie doprowadzeni gdzie należy".

W 1963 r. odznaczona została za to Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" izraelski instytut Yad Vashem przyznał jej dopiero pośmiertnie, w 1985 r.

Jan Karski mówił o niej jako o natchnieniu Polski podziemnej, Irena Sendlerowa wspominała ją najcieplej, jak to tylko możliwe, wielki szacunek okazywał jej Jan Nowak-Jeziorański, a Władysław Bartoszewski akcentował, że znajomość z nią zmieniła całe jego życie…

SIENKIEWICZOWSKA NARRACJA, CHRZEŚCIJAŃSKA REFLEKSJA

Urodziła się w sierpniu roku 1889. Była córką Tadeusza Kossaka i Anny z Kisielnickich, wnuczką przodka sławnego rodu malarzy Juliusza Kossaka i bratanicą Wojciecha Kossaka. Równie mocne były jej rodzinne związki literackie ze spokrewnionymi z nią Marią Pawlikowską-Jasnorzewską i Magdaleną Samozwaniec.

Miała być, tak jak dziadek i stryj, malarką. Stało się inaczej za sprawą finansowych problemów, które zmusiły rodzinę do przeprowadzki z Lubelszczyzny na Wołyń, małżeństwa przyszłej pisarki z administratorem dóbr Nowosielica, Stefanem Szczuckim, a w końcu – najważniejszej – rewolucji roku 1917, gdy „ziemia – czytamy w opowieści biograficznej Joanny Jurgały-Jureczki »Zofia Kossak« – która była domeną Zofii Kossak, stanie się świadkiem coraz tragiczniejszych wydarzeń. Wkrótce przetoczą się przez nią wojska rosyjskie, niemieckie, austriackie; pułki bolszewickie, petlurowcy i bandy zrewolucjonizowanego chłopstwa".

Przeżycia swoje z lat 1917–1919 spisała Zofia Kossak w „Pożodze", która ukazała się w 1922 r. i do 1939 r. miała sześć wydań krajowych, a przełożona została na języki angielski i japoński. To ta powieść zadecydowała o poświęceniu się przez Zofię Kossak pracy pisarskiej. Czytelnicy z miejsca zaakceptowali obrazowy, barwny styl debiutantki, dostrzegli jej epicki pazur i umiłowanie historii ojczystej.

W roku swojego debiutu książkowego autorka przeniosła się na Śląsk, do Górek Wielkich pod Skoczowem. Była wdową, jej mąż umarł bowiem na nieuleczalną chorobę, prawdopodobnie akromegalię. Trzy lata później po raz drugi wyszła za mąż, za oficera Wojska Polskiego Zygmunta Szatkowskiego, który zmienił wyznanie z protestanckiego na katolickie, by móc wziąć z Zofią ślub kościelny. Mieć będą dwoje dzieci (z pierwszym mężem Zofia Kossak miała dwóch synów), mąż przeżyje ją o osiem lat i zorganizuje w Górkach muzeum jej poświęcone, będzie też współautorem „Dziedzictwa", ostatniej z ważnych książek pisarki, i kilku innych utworów.

W sumie napisała Zofia Kossak ponad 40 tomów wydanych w trzymilionowym nakładzie, a przetłumaczonych na 18 języków. Po wspomnieniowej „Pożodze", która na dobrą sprawę była rodzajem pamiętnika, poświęciła się powieści historycznej, łącząc sienkiewiczowską narrację z chrześcijańską refleksją i moralistyką. Jej najważniejszym dziełem historycznym stanie się wielotomowy cykl o krucjatach „Krzyżowcy" (1935), kontynuowany w „Królu trędowatym" i „Bez oręża" (1937). Ta ostatnia powieść odniosła ogromny

eprasa.pl 7f4145e991

sukces w Stanach Zjednoczonych, gdzie w roku 1944 została wydana w nakładzie 750 tys. egzemplarzy. W tym samym roku książka ukazała się ponadto w kieszonkowym formacie. Niestety, zaprzepaszczona została rysująca się szansa zekranizowania „Blessed are the meek", bo pod takim tytułem zaistniało w USA „Bez oręża".

„Krzyżowcy", niewątpliwie jedna z najlepszych powieści historycznych polskiego autora, uhonorowani zostali w 1937 r. Nagrodą Wiadomości Literackich, co opowieści o szczególnym antysemityzmie pisarki każe włożyć między baśnie. Przed wojną została jeszcze Zofia Kossak wyróżniona Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury, odznaczono ją również Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta oraz w roku 1937 hiszpańskim Krzyżem Zasługi Zakonu Rycerskiego św. Łazarza I klasy.

POD BOŻĄ OPIEKĄ

We wrześniu 1939 r., za radą męża, pisarka usiłowała opuścić Warszawę. W wojennym chaosie próżno szukała miejsca dla siebie i w końcu, po wiadomości o kapitulacji Warszawy, wróciła do stolicy, której bronił jej syn – Tadeusz. Z kolei mjr Zygmunt Szatkowski brał udział w kampanii, m.in. walcząc w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim; następnie dostał się do niewoli pod Katowicami. Większość wojny spędził w oflagu w Murnau.

Pisarka od razu rozpoczęła działalność w warszawskich konspiracyjnych organizacjach, kontaktując się z Kierownictwem Walki Cywilnej i z Delegaturą Rządu na Kraj. To w jej mieszkaniu na Powiślu powielony został pierwszy numer „Biuletynu Informacyjnego", do którego to tytułu Zofia Kossak napisała kilka artykułów. Publikowała też w piśmie Komendy Obrońców Polski „Polska Żyje", do wsypy tejże w 1941 r.

We wrześniu 1943 r. Zofia Kossak została – jak się zdaje, przypadkowo – aresztowana na ulicy przez niemiecki patrol. Hitlerowcy nie wiedzieli, kto naprawdę wpadł im w ręce, ale pisarka miała w koszyku konspiracyjną „Prawdę", a na domiar złego zapomniała swoich danych osobowych z fałszywej kenkarty. Została pobita i 3 października 1943 r. w transporcie ponad 200 kobiet przewieziono ją do Auschwitz-Birkenau. Otrzymała numer 64491.

W obozie, który zawsze nazywała Auschwitz, nigdy Oświęcim, cudem przeżyła tyfus. Nie wiedziała, że w tym samym miejscu więziono jej syna Tadeusza, który tam zmarł. Prawdy o jego śmierci nigdy nie poznała, akt zgonu w obozowym archiwum odnaleziono dopiero w 2001 r. Ona sama przebywała w Auschwitz do 12 kwietnia 1944 r., gdy nieoczekiwanie przewieziono ją do Warszawy. Niemcy znali już jej prawdziwe nazwisko, ale – według wspomnień córki – otrzymała propozycję uwolnienia w zamian za współpracę antysowiecką. Pisarka miała odmówić, skazano ją więc na śmierć. 28 lipca 1944 r. została wyprowadzona wraz z innymi osobami na dziedziniec Pawiaka i tam, decyzją sprawdzającego nazwiska Niemca, odłączono ją od grupy przeznaczonych do egzekucji i… wyprowadzono za bramę. Taki był efekt starań podjętych przez władze Polski podziemnej.

Po powrocie do kraju udzielając pierwszego wywiadu, powiedziała: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Cenzura to wycięła

Podczas powstania warszawskiego pisała do „Biuletynu Informacyjnego", wznowiła pismo „Prawda", współpracowała również z powstańczym radiem. Władysław Bartoszewski tak ją zapamiętał: „Spotkaliśmy się podczas powstania całkiem przypadkowo. Uścisnęliśmy się. Zapytałem, gdzie Witold i Anna [dzieci pisarki – przyp. red.]. Powiedziała, że na Starówce. Zrobiło mi się głupio, bo tam już była bardzo ciężka sytuacja. »A masz może, ciociu [„Ciotką" nazywano Zofię Kossak w konspiracji – przyp. red.] jakieś wiadomości od nich?« – zapytałem. Ona odpowiedziała: »Nie, ale są pod dobrą opieką«. Głupio zapytałem: »Jak to, pod czyją?«. Odpowiedziała: »Bożą«".

NIECH BĘDZIE POCHWALONY

Wypędzona, tak jak inni, ze stolicy schroniła się w Krakowie, a następnie w Częstochowie. Tam, choć wciąż używała fałszywego nazwiska, znalazł ją list od… Jakuba Bermana. Wezwał ją do Warszawy, gdzie zasugerował wyjazd z kraju, zapewniając paszporty dla niej i dla córki – w zamian za uratowanie dzieci żydowskich podczas okupacji. 15 sierpnia 1945 r. obie odleciały z Warszawy do Sztokholmu.

Na emigracji Zofia Kossak przebywała do 1957 r. Nie był to dla niej czas łatwy, choć udało się jej połączyć z mężem i synem Witoldem, którzy znaleźli się w armii Andersa. „Polski Londyn" przywitał za to pisarkę jak najgorzej. Pod artykułem pomieszczonym w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" wydrukowano przypis o tym, że była osobistą sekretarką Bolesława Bieruta. Zofia Kossak nie prostowała tego kłamstwa, ufając, że nikt o zdrowych zmysłach w nie nie uwierzy. Myliła się. Pomówienie to wracało do niej jak bumerang, zrażając do środowiska emigracyjnego. Ponieważ dzięki zagranicznym edycjom jej książek otrzymała dużą, jak na tamte warunki, sumę pieniędzy, wraz z mężem weszli do spółki, która zakupiła w Kornwalii farmę hodowlaną. Sami zamieszkali na niej, ciężko pracując fizycznie. Po latach czytelnikom „Dziennika Polskiego" opowie: „Oporządzałam świnie, mąż doił krowy".

W kraju tymczasem zebrały się nad nią jeszcze ciemniejsze chmury. Z furią zaatakował jej wspomnienia z Auschwitz („Z otchłani") Tadeusz Borowski, twierdząc, że zafałszowała rzeczywistość obozową. A po tym, gdy odmówiła zmiany swoich zeznań na temat więźnia Auschwitz, lekarza Władysława Deringa, oskarżonego ją o współpracę z Niemcami, a także pozbawiono praw obywatelskich. Jej książki, tak jak za hitlerowskiej okupacji, znów wycofano z księgarń i bibliotek. I pomyśleć, że w październiku 1945 r. Polska Akademia Umiejętności w Krakowie przygotowywała wniosek o wysunięcie kandydatury Zofii Kossak do Literackiej Nagrody Nobla.

Niemniej po Październiku '56 odliczali już Szcuccy dni do wyjazdu. Sprzedali ziemię, inwentarz, pożegnali się z pozostającymi za granicą krewnymi oraz znajomymi i z radością powrócili do kraju. 21 lutego 1957 r., udzielając na lotnisku pierwszego wywiadu dla Polskiego Radia, wzruszona pisarka zwróciła się do słuchaczy „z tysiącletnim polskim pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Zdanie to zostało wycięte przez cenzurę.

CZCIJ POLSKĘ, OJCZYZNĘ TWOJĄ

Reemigranci postanowili zamieszkać w rodzinnym gnieździe, w Górkach. Zofia Kossak wydawała książki w PAX-ie, głównie wznawiając dawne tytuły, pracowała z mężem nad „Dziedzictwem", trochę jeździła po kraju, ciesząc się Polską, bo – jak powiedziała w jednym z wywiadów – „wszystko, co dobre, jest Polską". Miała wiernych przyjaciół, sama też dochowywała im wierności, tak jak niezmienne było jej przywiązanie do wybranych księży, biskupów, a także prymasa, którego uważała za idealnego na ciężkie dla Polski czasy.

eprasa.pl 7f4145e991

Kiedy uważała to za istotne, zabierała głos w sprawach publicznych. Tak stało się, gdy zaprotestowała przeciw firmowaniu jej nazwiskiem Nagrody Wydawców przyznanej za rok 1957 Markowi Hłasce. Była przeciwna temu wyróżnieniu, a młodego prozaika uważała wprawdzie za utalentowanego, ale wywierającego destrukcyjny wpływ na młode pokolenie. I nie widziała powodów, by to ukrywać. Podobnie zażądała sprostowania podanej przez PAX-owską prasę kłamliwej informacji o rzekomym poparciu przez nią polityki PZPR. W 1964 r. podpisała list przeciw cenzurze sygnowany przez 34 najwybitniejszych pisarzy i naukowców.

Władze nie zdecydowały się na podjęcie wobec Zofii Kossak działań podobnych do tych, jakie zastosowano wobec Melchiora Wańkowicza, którego postawiono przed sądem. A dwa lata po Liście 34 otrzymała wiadomość o przyznaniu jej, z okazji święta 22 Lipca, Nagrody Państwowej I stopnia „za wybitne osiągnięcia w dziedzinie powieści historycznej". Pisarka odmówiła jej przyjęcia, w swoim wyjaśnieniu pisząc: „Nie mogę przyjąć nagrody od Władz Państwowych, wprawdzie własnych i prawowitych, lecz odnoszących się wrogo do spraw dla mnie świętych". Komuniści toczyli akurat wojnę z Kościołem, „aresztując" pielgrzymującą po kraju kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i organizując konkurencyjne wobec kościelnych uroczystości tysiąclecia państwowości polskiej. „Przy okazji" obrzucano obelgami biskupów i prymasa Wyszyńskiego, pogardzając Episkopatem Polski za list do biskupów niemieckich ze słynnym sformułowaniem: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie".

Nieposłuszną pisarkę władze ukarały, odmawiając jej paszportu na wyjazd do Rzymu. Biskupi docenili odwagę autorki „Błogosławionej winy", na Konferencji Episkopatu Polski nagradzając jej czyn brawami. A czytelnicy byli po prostu dumni.

W sierpniu 1967 r. Zofia Kossak razem z rodziną uczestniczyła w uroczystościach odbywających się na terenie obozu w Auschwitz. Zasłabła tam, a po powrocie do domu przeszła poważny atak serca. Odtąd będzie oswajać się z tym, co nieuchronne i ostateczne. W sierpniu 1968 r. miała skończyć 79 lat. Umrze wcześniej, 9 kwietnia, w szpitalu w Bielsku-Białej.

W konspiracyjnym „Kalendarzyku KOP-u" na rok 1941 wydrukowany został jej „Dekalog Polaka":

1. Jam jest Polska, ojczyzna twoja, ziemia Ojców, z której wzrosłeś. Wszystko, czymś jest, po Bogu mnie zawdzięczasz.
2. Nie będziesz miał ukochania ziemskiego nade mnie.
3. Nie będziesz wzywał imienia Polski dla własnej chwały, kariery albo nagrody.
4. Pamiętaj, abyś Polsce oddał bez wahania majątek, szczęście osobiste i życie.
5. Czcij Polskę, ojczyznę twoją, jak matkę rodzoną.
6. Z wrogami Polski walcz wytrwale do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi w żyłach twoich.
7. Walcz z własnym wygodnictwem i tchórzostwem. Pamiętaj, że tchórz nie może być Polakiem.
8. Bądź bez litości dla zdrajców imienia polskiego.
9. Zawsze i wszędzie śmiało stwierdzaj, że jesteś Polakiem.
10. Nie dopuść, by wątpiono w Polskę.
11. Nie pozwól, by ubliżano Polsce, poniżając Jej wielkość i Jej zasługi, Jej Dorobek i Majestat.
12. Będziesz miłował Polskę pierwszą po Bogu miłością.
13. Będziesz Ją miłował więcej niż siebie samego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

JEZIOROSŁABĘDZIE
ROYAL MOSCOW BALLET
JEDEN Z NAJLEPSZYCH ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE
14.10.2018 - COS Torwar - Warszawa
15.10.2018 - CKK Jordanki - Toruń
16.10.2018 - Sala Ziemi - Poznań
17.10.2018 - Hala Stulecia - Wrocław
18.10.2018 - Dom Muzyki i Tańca - Zabrze
19.10.2018 - ICE KRAKÓW Congress Centre
20.10.2018 - Klub Wytwórnia - Łódź
21.10.2018 - Gdynia Arena
BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

Prestige MJM 10 lat
RADIO 103FM kolor! · radio ŁÓDŹ · Radio Poznań · RADIO WROCŁAW · PiK POLSKIE RADIO · rain · FM · wprost · WP · DO RZECZY · T3 · trojmiasto.pl · cgm.pl · DlaWas.info · Multikino · STRÖER · VIXON · PRESS SERVICE · pap

eprasa.pl 7f4145e991

Brudny Barry

Piotr Gociek

Płatny zabójca, czeczeńska mafia i niespodziewana miłość do aktorstwa – nowy serial HBO to komedia czarna, gorzka i trochę przerażająca

Każdemu zdarza się, że marzy o innym życiu. Biedni z zazdrością patrzą na luksusy, bogaci igrają z myślą o świętych biedakach, żonatym zdarza się wspomnieć z ckliwością czasy kawalerskie, samotni rozważają, jak dobrze byłoby mieć kogoś na zawsze. Świat pełen jest także tych, którzy uważają, że cenieni są za rzeczy niewłaściwe, i marzą o uznaniu ich prawdziwych talentów. Wiemy też, co z takich snów pozostaje. Rzymski cesarz Neron śnił o sztuce, a został w annałach zapisany jako despota. Arthur Conan Doyle uważał się za wybitnego specjalistę od spraw parapsychologicznych i nie przypuszczał, że potomni zapamiętają go głównie jako autora jakichś tam opowiadanek o Sherlocku Holmesie.

Barry, bohater nowego serialu HBO, nie poprzestał na marzeniach, przeszedł od słów do czynów. Ten niepozorny weteran wojenny wygląda na równego gościa, ale zadaje się z niewłaściwymi ludźmi. Tak bardzo niewłaściwymi, że jego sen o zwykłym amerykańskim życiu – żonie, dzieciakach, domu – oddala się z każdym dniem. Tak to już bywa, gdy jest się zabójcą do wynajęcia. Jednak jak tu nie śnić o lepszych dniach i odmiennym losie, kiedy żyje się w Cleveland, najbardziej przygnębiającym (według „Forbesa") mieście Stanów Zjednoczonych?

W Los Angeles wszystko jest inne: światło, kolory, ludzie. Wyjazdowa robota okaże się jednak punktem zwrotnym w życiu Barry'ego nie dlatego, że chciałby po prostu zmienić klimat. Traf chce, że tropiąc swą ofiarę, trafi do niewielkiej szkoły aktorskiej. A tam nieoczekiwanie połknie typowo kalifornijskiego bakcyla: od tej chwili Barry kiler będzie śnił o tym, by zostać Barrym aktorem. No i zabijanie ludzi (w czym jest świetny) przestanie mu się podobać.

TROCHĘ INNY BANDYTA

Mieliśmy już na ekranie płatnych zabójców z problemami i wyraźnym kryzysem osobowości. Pamiętam Johna Cusacka w „Zabijaniu na śniadanie" („Grosse Pointe Blank", 1997), który próbował leczyć chandrę na szkolnym spotkaniu po latach, albo Pierce'a Brosnana rozpaczliwie pragnącego się z kimś zaprzyjaźnić w filmie „Kumple na zabój" („Matador", 2005). Lista jest oczywiście dłuższa. Z kolei hasło „bandzior zakochany w show-biznesie" uruchamia natychmiast inne skojarzenie – „Dorwać małego" („Get Shorty", 1995), czyli brawurową ekranizację ironicznej powieści Elmore'a Leonarda. Tam gangstera, który odkrył w sobie żyłkę do pracy w Hollywood, grał John Travolta. (Później zresztą, w „Be Cool", ten sam bohater, czyli Chili Palmer, próbował swych sił w przemyśle muzycznym).

Bill Hader, który wymyślił serial „Barry" dla HBO i który zagrał w nim główną rolę, zdecydowanie odcina się od tych ostatnich asocjacji. Ma rację. W ekranizacjach prozy Elmore'a Leonarda źródłem komizmu było spostrzeżenie, że show- biznes to branża ludzi bezwzględnych i okrutnych, w której brak skrupułów jest gwarancją sukcesu. Mafijne „metody zarządzania" sprawdzają się więc doskonale. Opowieść Hadera idzie w innym kierunku. Jego bohater wiodący życie nieciekawe (wiem, dziwnie to brzmi, biorąc pod uwagę krwawy fach) i bezcelowe (do czego można dojść, zabijając ludzi za pieniądze?) niespodziewanie ujrzy szansę na nowy początek. Na odrodzenie.

Gdyby była to po prostu zwyczajna komedia kryminalna, sympatycznego Barry'ego pewnie czekałoby gładkie wejście w świat wielkich produkcji i przygody u boku postaci skrojonych tak, by zagrać je mogli ekstraklasowi aktorzy. Krótko mówiąc – hollywoodzka bajka. Taką bajką (choć nie kryminałem) była sympatyczna i zabawna „Ekipa" („Entourage"), także serial wyprodukowany przez HBO, mocno inspirowany doświadczeniami jego producenta, Marka Wahlberga.

eprasa.pl 7f4145e991

W „Barrym” też mamy kpiny z Los Angeles, miasta, w którym każda kelnerka to niespełniona aktorka, a co drugi przechodzień pieści w wyobraźni pomysł na filmowy hit. Tyle że wszystko dzieje się z dala od prawdziwych sukcesów, z dala od czerwonych dywanów. Miejscem, w którym kiler Barry dozna

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

olśnienia i zapragnie odmienić swój los, nie jest plan superprodukcji, ale nędzna sala amatorskiego teatrzyku na przedmieściach. Tutaj gromada osobników tyleż ambitnych, co nieutalentowanych pobiera lekcje od trzeciorzędnego weterana aktorstwa pozującego na mędrca pokroju co najmniej Stanisławskiego. Aktor ów, niejaki Cousineau, to świetna kreacja aktorska Henry’ego Winklera, niegdyś gwiazdy sitcomu „Happy Days”. Od pierwszej sceny wyczuwamy doskonale, że żaden z niego aktorski guru, tylko zwykły naciągacz.

Hollywood to jednak Hollywood. Także na najniższym stopniu piramidy show-biznesu królują ambicja i zawiść, choć stawką nie są miliony dolarów, lecz podebranie roli koleżance z tego samego kursu aktorskiego. Życiowym marzeniem zaś jest trafienie w orbitę zainteresowań wpływowego agenta (szczerze mówiąc – jakiegokolwiek agenta), a rólka w reklamówce pasty do zębów jest już himalajami sukcesu, wręcz Oscarem dla ubogich. Spokojnie, nie jest to obraz malowany tylko czarnymi barwami, amatorzy z przedmieścia oddają się również dyskusjom o sztuce, a w wolnych chwilach wychodzą razem na piwo. Można się z nich podśmiewać, można im współczuć, można i ich zrozumieć – po prostu pragną czegoś więcej.

ŚMIESZNIE I GORZKO

Tak też stanie się z Barrym – przypadkowo pojawi się na scenie i niespodziewanie usłyszy, że ma potencjał. Od tej pory nie będzie już tym samym człowiekiem. W dodatku poczuje miętę do pretensjonalnej (i jak się zdaje, dość głupiutkiej) początkującej, choć niemłodej aktorki, w której tak naprawdę podziwu godny jest jedynie upór. Nowi przyjaciele przyjmą Barry’ego ciepło i wyzwolą w nim marzenia o innym życiu. Nie wiedzą przecież, że zajrzał do ich teatru, szukając gościa, którego miał sprzątnąć.

No właśnie, my tu gadu-gadu o aktorstwie, a przecież lekcje u pana Cousineau to tylko zajęcie po godzinach dla Barry’ego. Wciąż jest zabójcą do wynajęcia, a pierwsza robota w Los Angeles szybko pakuje go w kłopoty. Było to bowiem zlecenie od czeczeńskiej mafii, które w dodatku (za sprawą samych zleceniodawców zresztą) mocno się skomplikowało. Żeby oczyścić atmosferę, do miasta przybywa niejaki Fuches (Stephen Root), gość, który jest szefem Barry’ego (przyjmuje zlecenia na mokrą robotę i zapewnia stosowne alibi, gdy trzeba). Fuches to mistrz wciskania kitu, bezczelny kanciarz, niepoprawny optymista, a wkrótce także autor śmiałego pomysłu, który na wszystkich ściągnie jeszcze większe kłopoty.

Wspomniana czeczeńska mafia to właściwie komedia w komedii: galeria przezabawnych typów. Nękany kłopotami rodzinnymi boss w śmiesznym sweterku, jego gejowski przyboczny (pyszna rola Anthony’ego Carrigana, znanego dotąd głównie jako zabójca Victor Zsasz w serialu „Gotham”) i gromada niemiłosiernie tępych tłuków od rozbijania czaszek. Na wyżyny komizmu wspina się ten wątek w dwóch miejscach – kiedy do Ameryki przybywa wyczekiwany z utęsknieniem legendarny kiler z Czeczenii oraz kiedy osiadłe w Kalifornii towarzystwo zaczyna budować tradycyjną drewnianą czeczeńską machinę do zadawania tortur.

Wątek miłosny (sędziwy nauczyciel aktorstwa zadurzy się w korpulentnej pani detektyw) dołoży kolejne okazje do śmiechu. Wszystko to jednak jest komedią ludzką, czarną i ironiczną, daleką od łatwych śmichów-chichów z sitcomów. A także trochę thrillerem i trochę traktatem o aktorstwie (Barry najbardziej wiarygodny jest jako aktor wtedy, gdy wyrzuca z siebie autentyczną traumę mordercy).

Całość ma gorzką wymowę i przypomina klimatem produkcje braci Coen. Zarówno te, w których byliśmy napominani: jeden fałszywy krok wystarczy, by wpaść w spiralę prowadzącą do ekstremalnego zła i samozniszczenia, jak i te łagodniejsze, jak choćby film „Co jest grane, Davis?” („Inside Llewyn Davis”, 2013), o którym nieustannie myślałem, oglądając serial „Barry”. Davis, bohater tamtej opowieści, jak może pamiętacie, był pieśniarzem, ale bardzo średnio utalentowanym, zaś jego życie naznaczone było klątwą ambicji nie do spełnienia. Bill Hader w „Barrym” uderza w podobne struny. Kpiąc z gromadki nieudaczników, opowiada jednocześnie o człowieku, który im bardziej desperacko chce odmienić swe życie, w tym większe kłopoty wpada. Nic dziwnego, kiedy ma się na sumieniu rzeczy niewybaczalne. Nowy serial HBO to przede wszystkim opowieść o złudzeniach. Pięknie wyglądają jedynie we wnętrzu naszej głowy. Potem w zębach zgrzyta już tylko piasek.

★★★★★☆

„BARRY”, SEZON 1
USA 2018

wyst. Bill Hader, Henry Winkler, Stephen Root, Sarah Goldberg, Anthony Carrigan, HBO

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. GRAŻYNA MYŚLIŃSKA/FORUM

Z Hubertem „Spiętym" Dobaczewskim, liderem Lao Che
rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Zgódźmy się na siebie

Język obcy to wiedza o społeczeństwie
Trudno się połapać
W zbiorowym szaleństwie.*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ: Czy w szkole, tak jak większość, spałeś na lekcjach wiedzy o społeczeństwie?

HUBERT DOBACZEWSKI: Jestem z rocznika 1974. Za komuny WoS była rodzajem lekcji wychowawczej, na której albo się spało, albo grało w statki. Nauczyciel coś opowiadał o Sejmie… to było nużące i słabe. W '89 roku poszedłem do technikum. Polska się zmieniła, a nauczyciele nie za bardzo wiedzieli, o czym mają mówić, a powinni nas uczyć, na czym polega demokracja. Tytuł płyty jest takim puszczeniem oka. Nie czuję się dydaktykiem i lekcji WOS-u bym nie poprowadził, ale na płycie dzielę się moimi spostrzeżeniami na temat społeczeństw. Nauczyciel kojarzy mi się z kimś narzuconym przez system. Ja, w sposób nieagresywny, opowiadam o swoich spostrzeżeniach, odczuciach. Jeśli ktoś się z nimi nie zgadza, to ma do tego prawo.

Już sama okładka przedstawiająca drut kolczasty złożony z odwróconych do siebie znaków wiktorii stanowi mocny przekaz. Tę symbolikę można odczytywać jako stwierdzenie, że wolność jednych zabija wolność innych.

Okładkę stworzył Paweł Ryżko. Dla mnie jest to przesłanie mówiące, że jest zwycięstwo i jest porażka, jest solidarność międzyludzka i są antagonizmy. Międzynarodowy znak zwycięstwa został spolszczony przez Wałęsę, ale to przesłanie ma dla mnie wymiar kosmopolityczny. Te problemy występują wszędzie na świecie. Nastał czas, kiedy ludzie muszą się zastanowić, czy chcą się ze sobą dogadać, czy podziały będą się nasilały. Polityka jest na tyle obecna w naszym życiu, że wychodzi nam z lodówki. Nie każdy ma na to ochotę.

Uchodźcą jestem.
Zmuszony uchodzić jestem za kogoś,
Kim nie jestem.*

Twoje teksty zainspirowały podziały występujące w Polsce i na świecie. Po której jesteś stronie?

Nie dzielę świata na zasadzie pół to my, a drugie pół to oni. Jednocześnie nie jestem w stanie odciąć się od tego, gdzie mieszkam. Tu jest taka, a nie inna rzeczywistość. Generalnie ludzie ustawili się do siebie bokiem albo wręcz plecami. To jest problem dzisiejszych czasów. Zamaszyste ruchy często powodują nieodwracalne konsekwencje. Nie chcę uciekać od odpowiedzialności, ale zachować zdrowy dystans, by móc się przyjrzeć temu, co dzieje się wokół mnie. Często idzie się za tłumem, za wiatrem mody.

Jeszcze w 2005 r. nagrałeś z Lao Che album o powstaniu warszawskim. Staliście się liderami patriotycznego nurtu w muzyce rockowej.

eprasa.pl 7f4145e991

Nagrywając „Powstanie", nie myśleliśmy o patriotyzmie. W Polsce występują różne definicje patriotyzmu, nierzadko sprzeczne ze sobą. Dyskusja trwa. Nas zafascynowała ludzka, uniwersalna solidarność. Jej eksplozja w obliczu dramatycznych wydarzeń. Od wielu lat nie gramy na koncertach piosenek z tej płyty. Wygasła iskra świeżości. Po nas inni muzycy brali ten temat na tapetę. Nie śledziłem tego, zamknąłem ten rozdział, dlatego nie czuję się liderem tego ruchu. Raczej mogę uchodzić za pioniera. Teraz bardziej mnie interesuje to, co siedzi we mnie.

Na gwałt potrzebny winny!
Kto winny?
Inny.*

Co sprawiło, że zająłeś się akurat tym tematem? Solidarność międzyludzka przejawia się również w innych obszarach naszego życia.

Zaczynałem granie w kapelach metalowych. Wykonywaliśmy wszystkie odmiany agresywnego metalu, wykrzykując angielskie teksty. To była taka nieokreślona muzyka świata. W miarę, jak dojrzewałem, teksty stawały się dla mnie coraz ważniejsze. W okolicach '99 r. odkryłem płyty zespołów Izrael, Kult, Homo Twist i Świetliki. Były na nich świetne, mocne przekazy. Dlatego z zespołem hiphopowym Koli chciałem w końcu stworzyć coś, co by było od początku do końca polskie. Tworząc album „Szemrany", wybieraliśmy sample z nagrań m.in. Orkiestry Ulicznej z Chmielnej. One były bardzo polskie i miały wpływ na to, co napisałem. Potem, już z Lao Che, zrobiliśmy album „Gusła". Tym razem chciałem, by teksty miały w sobie pierwiastek romantyczny, by płyta opowiadała guślarsko-chrześcijańsko-kresowe historie. Takie sienkiewiczowskie opowieści, których byłem zawsze fanem. Szukaliśmy kolejnego polskiego tematu i „Denat" [Mariusz Denst – G.B.] rzucił, żeby zrobić płytę-słuchowisko o powstaniu warszawskim. Lubię wplatać w teksty symbole zapożyczone z polskiej popkultury. Bawić się nimi, przeinaczać je.

Ja śnię o jaśnie-zjednoczeniu.
Religia we mnie nie wierzy,
Od moich pacierzy obraz Boga śnieży.*

Najnowszą płytę otwiera piosenka „Kapitan Polska". Czy masz już pretendenta do roli zbawcy naszej krainy?

Marzę o takiej postaci i modlę się o nią. Nie chodzi mi nawet o osobę, która doprowadzi do wielkiego pojednania. Wystarczy, że przesunie akcent na inne sprawy. Dzisiaj ludzie koncentrują się na rzeczach negatywnych. Szukają spraw, które jeszcze bardziej nas dzielą, antagonizują. Nie chodzi o to, by ktoś powiedział „dość". Wystarczy, by sprawił, że zszedłby z nas ten negatywny haj. Na świecie na razie nie ma takiej postaci. Nie widzę ani odpowiedniego do tej roli męża stanu, ani proroka. Tak czy siak jakiś zwrot musi nastąpić.

Bohaterowie twoich tekstów często wywodzą się z komiksów lub popularnych filmów. Weźmy nazwę Lao Che. To imię jednego z drugoplanowych bohaterów serialu o przygodach Indiany Jonesa.

Byłem dzieckiem, które mało czytało. Do dziś książki mi ciężko wchodzą i mimo wielokrotnych prób nie doczytuję ich do końca. Natomiast filmy i komiksy mocno działały na moją wyobraźnię. Pisanie tekstów traktuję jako tworzenie chmurek komiksowych. Ta krótka, niedopowiedziana forma zostawiająca pole do interpretacji bardzo mi się podoba. Ona jest we mnie tak mocno wdrukowana, że zapomniane cytaty z filmów i komiksów same mnie odnajdują. Weźmy piosenkę „Zbieg z Krainy Dreszczowców". Jej przeinaczony tytuł pochodzi z serialu animowanego dla dzieci „Porwanie Baltazara Gąbki". Dzisiejsza Ziemia przypomina mi Krainę Dreszczowców. Serialowy szpieg pochodził zaś z Krainy Deszczowców.

Wierny naród musi być,
Wierny naród.
Twardy orzeł do zgryzienia.*

Charakterystyczną cechą twoich tekstów są proste, a zarazem precyzyjnie celne rymy.

Teksty pisałem 10 miesięcy. To jest długi proces. Wzoruję się na Tuwimie. Jego rymy są do bólu proste i im krótsze, tym lepsze. Siła poezji leży w używaniu jak najmniejszej liczby słów, by uzyskać jak najszersze znaczenie, maksymalny ładunek emocji i informacji. Mam nadzieję, że moje teksty nie kojarzą się słuchaczom z rymami częstochowskimi. Ja je rzeczywiście „wysiedziałem". Przez cztery miesiące zastanawiałem się nad tematami. Pisałem przez kilka godzin dziennie, ale wszystko lądowało w koszu. Codziennie zapisuję rzeczy, które wpadają mi do głowy. Formułek czy szlagwortów mam kilka zeszytów. Tylko one same gwiazdki nie czynią. Wokół nich trzeba ułożyć jakąś fajną historię. Te skrawki zdań muszę połączyć w obraz komiksowy. Długo się wahałem, czy podjąć temat podziałów, ale nauczyłem się, że lepiej mi wychodzą teksty na tematy, które mnie absorbują.

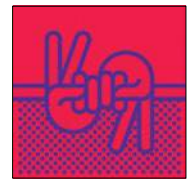

LAO CHE
„WIEDZA O SPOŁECZEŃSTWIE"
MYSTIC PRODUCTION
2018

Na płycie jest jakby nie pasująca do całości piosenka miłosna – „Spółdzielnia".

To wszystko jest przemyślane. Piosenka „Nie raj" jest manifestem osobistym. „Spółdzielnia" opowiada o dwóch osobach, czyli najmniejszej komórce społecznej, a potem z każdą z piosenek rozrasta się podmiot liryczny. Jest grupa muzyczna, pojawiają się narody, aż w końcu mamy społeczność ziemską. Ta płyta jest dykteryjką o jednostce, która styka się z różnymi społecznościami.

Śniłem,
By zbiec z globu niesolidarnych ludów,
Rzeczpospolitej obojga marudów.*

Wiele czasu spędzasz na podróżach z zespołem po Polsce. Jaka ona jest?

Polska mi się podoba. Duże polskie miasta mnie zachwycają. Mamy czym się pochwalić. To, co się zaś dzieje w ludziach, traktuję jako chwilowe przytkanie smogiem. To jest rzecz toksyczna, ale ulotna. Warto z tym walczyć, a jak nie, to zrobi to za nas wiatr. Ludzie mają w sobie boski kompas i on jest naszym nawigatorem. By go odnaleźć, należy przystanąć. Zastanowić się indywidualnie, a nie jednoczyć się pod podejrzanymi hasłami i sztandarami. Powinniśmy dać sobie prawo do pielęgnowania w sobie wszystkiego, czego zapragniemy. Jeden chce być patriotą, ale drugi ma prawo mieć to w dupie. Wszyscy mogą mieć rację w tym, co głoszą, co czują, i możemy się od siebie uczyć. Trzeba się zgodzić na siebie.

Tej nocy,
Ten raj, szeroki ma kadr.
Od może do może
Od Tatr do Tatr.*

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

**Cytaty pochodzą z piosenek z płyty „Wiedza o społeczeństwie".*

Płocki zespół Lao Che *wydał ósmą płytę o znamiennym tytule „Wiedza o społeczeństwie". Singlowy „Nie raj" dotarł na szczyt notowań radiowej Trójki, album był numerem jeden na liście najlepiej sprzedawanych płyt.*

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Utracona cześć Mariam

★★★★☆☆

REŻ. KHALED WALID BARSAOUI, KAOUTHER BEN HANIA
„PIĘKNA I BESTIE" („AALA KAF IFRIT") TUNEZJA 2017

wyst. Mariam al-Ferjani, Ghanem Zrelli, Noomen Hamda

Tunezja długo jawiła się jako najbezpieczniejsze i najbardziej przytulne z państw arabskich. Rządząca kasta dbała o pozory: trzymała naród na krótkiej smyczy, ale Zachodowi pokazywała uśmiechnięte, łagodne oblicze. Świat dał się nabrać, uwierzył w istnienie oazy zaludnionej przez zeuropeizowanych, gościnnych muzułmanów. Ludzie walili do Tunezji jak w dym, by (zależnie od zainteresowań) dumać w ruinach Kartaginy nad przemijaniem, prażyć się na plażach, dosiadać wielbłądów na skraju Sahary, spędzić zakontraktowaną noc w berberyjskim namiocie lub chłonąć księżycowe krajobrazy znane z „Gwiezdnych wojen".

Nadeszła jednak arabska wiosna, a z nią brutalne przebudzenie. Reżim okazał się skorumpowany i nieudolny, turystyczny raj przeistoczył się w wylęgarnię imigrantów oraz terrorystów. Masakry wczasowiczów byczących się nad Morzem Śródziemnym i zwiedzających światowej sławy muzeum rzymskich mozaik zakończyły epokę fałszywej niewinności.

„Piękna i bestie" problem islamskiego fanatyzmu i masowych migracji omija szerokim łukiem, ale i tak Fundacja Obrony Dobrego Imienia Narodu Tunezyjskiego (jeśli takowa istnieje) powinna wydać z siebie okrzyk zgrozy. Z filmu, opartego ponoć na prawdziwej historii, wynika bowiem, że północnoafrykańscy prymusi demokracji są wciąż na początku drogi. Stare reguły trzymają się mocno. Najgorzej znoszą to młodzi ludzie. Co z tego, że mają smartfony, oglądają te same filmy co ich rówieśnicy na Zachodzie, że studentki zakładają na imprezy kuse kiecki, skoro przed dziesiątą wieczorem muszą wrócić do akademika, zaś pocałunek to w świetle prawa „zgorszenie publiczne"?

W prywatnym szpitalu odmawiają przyjęcia zgwałconej Mariam, bo nie ma przy sobie dowodu osobistego. W państwowym łatwiej spotkać ekipę telewizyjną kręcącą materiał o bolączkach służby zdrowia, niż dostać się do lekarza. Policjanci radzą dziewczynie, by poszła do domu, odpoczęła i „przemyślała sprawę". Usłyszawszy, kto dokonał gwałtu, Tunezyjczycy odmawiają wsparcia, gdyż boją się kłopotów. Nawet na solidarność innych kobiet nie można liczyć, co najwyżej na współczujące: „Niech Bóg ci pomoże".

Zanim nadejdzie świt, Mariam przejdzie przyspieszony kurs dorosłości. Dowie się, że państwo istnieje tylko teoretycznie, zaś jego funkcjonariusze działają w myśl zasady mniejszego zła („albo my, albo terroryści"). Im bliżej końca, tym śmielej filmowcy dają wyraz swemu rozgoryczeniu. „Po co robiliśmy tę rewolucję, skoro nadal pozwalamy się poniżać?" – pytają ustami jednego z bohaterów. No cóż, łatwiej zmienić system niż ludzi. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PLAYER ONE"

Steven Spielberg zekranizował powieść SF wydaną także w Polsce (w roku 2012). To opowieść o przyszłości, w której ludzkość znajduje ucieczkę od ponurej rzeczywistości w wykreowanym przez komputery sztucznym świecie OASIS. Po śmierci jego twórcy rozpoczyna się wyścig. Kto przejmie kontrolę nad wirtualną rzeczywistością? Jeden z graczy (zgodnie z wolą zmarłego geniusza) czy złowroga korporacja? (Nasza recenzja w poprzednim numerze „Do Rzeczy"). ©℗ *Piotr Gociek*

• *„Player One", USA 2018, reż. Steven Spielberg, wyst. Tye Sheridan, Olivia Cooke, Ben Mendelsohn*

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- *„Paweł, apostoł Chrystusa", reż. Andrew Hyatt, USA 2018*
- *„Maria Magdalena", reż. Garth Davis, Wielka Brytania 2018*
- *„Lato 1993", reż. Carla Simón, Hiszpania 2017*
- *„Tomb Raider", reż. Roar Uthaug, USA 2018*

eprasa.pl 7f4145e991

Luzak w przedszkolu

Francuski ideał mężczyzny? Seksowny i zabawny. Takiemu nicponiowi żadna burżujka się nie oprze. Do czasu, gdy odkryje, że w życiu liczą się również zaradność i odpowiedzialność. Na takich stereotypach zbudowana jest komedia „Daddy Cool" (zbieżność tytułu ze szlagierem Boney M. nieprzypadkowa).

Dylemat głównego bohatera da się streścić w jednym krótkim zdaniu: „Jak się zestarzeć, nie doroślejąc". Dziwnym trafem Adrien związał się z kobietą, która mocno stąpa po ziemi i robi karierę jako autorka komiksów (pardon, powieści graficznych). Po kilku latach Maude znudziły się ekscesy i balowanie przy muzyce Daft Punk, więc zapragnęła wystawić męża na wycieraczkę.

Niestety, ten ani myśli się wyprowadzać, po jego stronie są prawo oraz sympatia rodziny i znajomych. Aby odzyskać płynność finansową, otwiera domowe przedszkole, w którym stosuje niekonwencjonalne metody wychowawcze. Jednocześnie próbuje odzyskać względy Maude.

Intryga szyta jest grubymi nićmi, lecz od produkcji tego typu nie oczekujemy przecież kartezjanizmu. Gorzej, że film z każdą minutą traci wigor, końcówka zaś każe wątpić w zapewnienia Francuzów, że raczej zginą, niż ulegną wpływom amerykańskiej popkultury. A o tym, że nic tak nie łączy ludzi jak wspólne mieszkanie, wiedzieliśmy już skądinąd. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. MAXIME GOVARE
„DADDY COOL"
FRANCJA 2017

wyst. Laurence Arné, Vincent Elbaz, Grégory Fitoussi

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WSZYSCY LUDZIE KRÓLA. I PREZYDENTA

★★★☆☆☆

REŻ. MATTHEW VAUGHN
„KINGSMAN: ZŁOTY KRĄG"
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Taron Egerton, Colin Firth, Mark Strong, Julianne Moore

W kontynuacji niespodziewanego przeboju „Kingsman: Tajne służby" (ponad 400 mln dol. wpływu) świat sekretnych strażników światowego pokoju mocno się rozszerza. Poznajemy bowiem amerykański odpowiednik brytyjskiej organizacji superagentów i na ekranie pojawiają się kierowani przez Jeffa Bridgesa bezczelni, zuchowaci kowboje. Obydwie służby zwierają szeregi przeciw królowej handlu narkotykami (Julianne Moore), która jest tyleż szalona, co okrutna (wrogów przerabia na mielone mięso), ma też własny plan rzucenia świata na kolana. Podobnie jak w pierwszej części wiele tu komiksowej przemocy i mocno stylizowanych scen walk, tyle że wszystko jest bardziej spektakularne, droższe i z większym rozmachem. Paradoksalnie ten pastisz kina spod znaku Jamesa Bonda najzabawniejszy jest wtedy, gdy zamiast na efekty specjalne zwracamy uwagę na dialogi aktorów z imponującej obsady.

MIĘDZY NAMI, ZABÓJCAMI

★☆☆☆☆☆

REŻ. JESSE V. JOHNSON
„PAN WYPADEK"
WIELKA BRYTANIA 2018, IMPERIAL

wyst. Scott Adkins, Ray Stevenson, Ashley Greene

Jedyną zaletą tej produkcji jest to, że trwa tylko 105 minut. A przecież mogłaby dłużej. Tytułowy „Pan Wypadek" to zabójca do wynajęcia, specjalizujący się w robotach upozorowanych na nieszczęśliwe wypadki. Pracuje dla specyficznej firmy, która zatrudnia typów dużo bardziej obleśnych i bardziej sadystycznych od niego. Taka branża. Wszystko układa się dobrze dopóty, dopóki pewnego wieczora przedstawiciel jednego z klientów nie zapragnie zabić naszego bohatera i to zanim Pan Wypadek dowie się, że ktoś sprzątnął jego eksdziewczynę. Ta słaba podróbka „Johna Wicka" i pełnych czarnego humoru wczesnych filmów Guya Ritchiego nie ma za grosz uroku dzieł, z których zrzyna. Są filmy B-klasowe, które przypominają, jak fajną zabawą potrafi być kino. Są i takie, które po prostu obrażają inteligencję widza. „Pan Wypadek" to ten drugi przypadek. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „FAR CRY 5"

★★★★☆☆

Seria strzelanek „Far Cry" to marka sama w sobie, na tle konkurencji zawsze wybijająca się dopracowaną linią fabularną. Podobnie jest w przypadku piątej części produkcji Ubisoftu, która zabiera nas w sam środek opanowanego przez fanatyków religijnych stanu Montana. W roli szeryfa, któremu odcięto powrotną drogę do domu, musimy wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę. „Far Cry" jak zwykle zachwyca grafiką, liczbą pojazdów i broni. Pojedynki z sektą Josepha „Ojca" Seeda nie należą do najłatwiejszych, a eksploracja lasów i miast przynosi frajdę. Co zawodzi? Wszechogarniające poczucie wtórności. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PS4, XONE, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ubisoft*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 7f4145e991

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Prawo po lwowsku

Ta książka zrobiła międzynarodową karierę jako „East West Street". „Ulica Wschodnio-Zachodnia" brzmiałaby raczej dziwacznie, autorowi zaś chodziło o ulicę w niegdyś polskiej, a dziś ukraińskiej Żółkwi, łączącą się zarówno z życiem przodka autora „Powrotu do Lwowa", jak i twórcy pojęcia „zbrodnia przeciw ludzkości", profesora prawa międzynarodowego, Hersza Lauterpachta.

Innymi bohaterami książki Philippe'a Sandsa są prokurator i adwokat Rafał Lemkin, dla którego „zbrodnia przeciw ludzkości" była „ludobójstwem", oraz – ukazany w opozycji do nich – inny prawnik, niemiecki: Hans Frank. Ich wszystkich łączy Lwów, który po latach odwiedza Sands, rozczytujący się w eseju Józefa Wittlina „Mój Lwów" i usiłujący zrozumieć przeszłość i tego miasta, i swoich bohaterów, i swojej rodziny. A więc i swoją.

Autor książki jest mieszkającym w Anglii wybitnym prawnikiem o żydowskich korzeniach sięgających m.in. i Lwowa, i Żółkwi. W swoją, miejscami bardzo osobistą, opowieść wplótł historie ludzi, którzy swoją pracą przyczynili się do zorganizowania procesów norymberskich, najsłynniejszych sądowych postępowań karnych prowadzonych przeciw zbrodniarzom III Rzeszy.

Philippe Sands opowiada oczywiście i o polskim Lwowie. Nie zawsze sprawiedliwie. Pisząc np. o prof. Juliuszu Makarewiczu, nieustannie podkreśla jego nacjonalizm i prawicowe poglądy polityczne. A był Makarewicz fantastycznym człowiekiem i arcylwowianinem, na pewno zasługującym na więcej niż ewidentnie pogardliwe określenie go przez autora „Powrotu do Lwowa" jako „mistrza przetrwania". Ten wieloletni senator II Rzeczypospolitej Katedrę Prawa na Uniwersytecie Lwowskim objął już w roku 1907.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Miał wtedy 35 lat i wymieniany był wśród najwybitniejszych prawników swego czasu. W 1919 r. został członkiem Komisji Kodyfikacyjnej, na początku lat 30. współtworzył polski Kodeks karny, od jego nazwiska zwany Kodeksem Makarewicza. Należał do Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Amerykańskiej Akademii Nauk w Bostonie, przez cały czas pracując na lwowskiej uczelni, związany z nią – rzec można – nierozerwalnie.

Katedrę Prawa Karnego prowadził nawet po aneksji Lwowa przez Sowietów w roku 1939. Dopiero po przekształceniu Uniwersytetu Jana Kazimierza w zukrainizowaną uczelnię sowiecką rozporządzeniem władz pozbawiony został stanowiska i pracy. Podczas następnej, niemieckiej okupacji prof. Juliusz Makarewicz w swoim własnym lwowskim mieszkaniu prowadził wykłady i seminaria w ramach tajnego nauczania. Po ponownym zajęciu miasta przez Armię Czerwoną w pierwszych dniach stycznia 1945 r. został aresztowany i wywieziony do obozu w Donbasie. Po licznych interwencjach polskiego świata nauki we wrześniu zwolniono go z łagru i zezwolono na powrót do Lwowa. Mimo że to nie była już Polska, nie chciał opuścić miasta i w 1947 r. podjął tam pracę na Uniwersytecie im. Iwana Franki. Był ostatnim polskim profesorem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Lwowskiego. Zmarł w roku 1955, pochowany został na cmentarzu Łyczakowskim.

Opowiadano, że w trakcie rewizji w jego mieszkaniu skonfiskowano mu maszynę do pisania. Po powrocie z łagru zażądał jej zwrotu, okazało się jednak, że w maszynie przerobiono czcionki polskie na rosyjskie. Oddał więc ją do warsztatu, by bukwy wymieniono z powrotem na alfabet łaciński, i z rachunkiem za wykonaną usługę poszedł do komendy NKWD, żądając zwrotu pieniędzy. Może to drobiazg, ale po pierwsze – trudny do uwierzenia, a po drugie – jakże wymowny i charakterystyczny dla postaci prof. Makarewicza, którego brytyjski autor ewidentnie nie docenił.

Podobnie jak nie wzbudzi uznania polskiego czytelnika sposób przedstawienia w „Powrocie…" przedwojennego Lwowa, daleki od wszystkich naszych sentymentów związanych z tym jakże miłym polskiemu sercu grodem. Jednak to może i ciekawe, w końcu nie wszystko zaczynać trzeba i kończyć na Szczepciu i Tońciu. Kiedy jednak autor wydziwia nad słowami francuskiego sędziego, który mówił o Polsce jako głównej ofierze hitleryzmu, chce się zapytać: Co w tym takiego dziwnego? No jak to? – odpowie ktoś. A Żydzi? To oni przecież przede wszystkim padli ofiarą ludobójstwa z lat II wojny światowej. Oczywiście, ale skoro mówimy o p a ń s t w a c h, to ośmielam się zauważyć, że podczas Holokaustu Izraela jeszcze nie było, nie tylko na mapie. ©℗

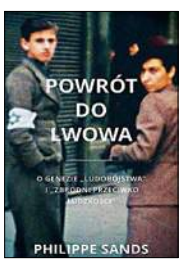

★★★★☆☆

PHILIPPE SANDS „POWRÓT DO LWOWA. O GENEZIE »LUDOBÓJSTWA« I »ZBRODNI PRZECIWKO LUDZKOŚCI«" INSTYTUT HISTORII NAUKI IM. L. I A. BIRKENMAJERÓW POLSKIEJ AKADEMII NAUK, WARSZAWA 2018

eprasa.pl 7f4145e991

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Jak z obrazka

Ja w sprawie komiksowych superbohaterów. Czasy się zmieniają, PRL trzymał nas z dala od tego przejawu kultury masowej, czyniąc z rzadka wyjątki dla parodii (przezabawna seria „Orient Men" Tadeusza Baranowskiego). Po 1989 r. fala wezbrała i także nad Wisłą można było czytać zeszyty o Supermanie czy Batmanie. A od czasu, kiedy herosi w trykotach gremialnie przenieśli się do kin, jesteśmy już całkiem na bieżąco, bo hity Marvela trafiają na nasze ekrany równo z amerykańskimi premierami.

Jednak to, co się dzieje w kinach, nie oddaje bogactwa, różnorodności i ewolucji obrazkowych opowieści, które doczekały się już własnych dekonstruktorów, rewizjonistów i arcydzieł. Kto zna takie dzieła jak „Strażnicy" („Watchmen") czy „Batman: Powrót Mrocznego Rycerza", wie, o czym mówię. Pole walki rozszerzyło się niesłychanie, dziś w ramach podgatunku (bo przecież komiks oraz powieść graficzna to dużo więcej niż historie o superbohaterach) mieszczą się rzeczy najrozmaitsze, niekiedy całkiem szalone.

Dwie takie propozycje pojawiły się właśnie w Polsce nakładem Egmontu. „Moon Knight: Z martwych" to reaktywacja bohatera, który pojawił się w komiksach Marvela w połowie lat 70. Obdarzony mocami przez egipskiego boga księżyca Marc Spector przemierza nocami ulice Nowego Jorku, tropiąc zło w rozmaitej formie. Jest skrzyżowaniem detektywa z czarnego kryminału i specjalisty od spraw paranormalnych (jakim był choćby Dylan Dog). Oprócz inteligentnego scenariusza zwraca uwagę strona graficzna: klimatyczny, niemal monochromatyczny świat.

„Czarny Młot: Wydarzenie" (zacznijcie od części pierwszej – „Tajna geneza") to już czyste szaleństwo i jeden z najbardziej oryginalnych komiksów ostatnich lat. Z początku zdaje się, że będzie to pastisz, potem przychodzi dezorientacja: mieszają się opowieści, zmienia się co chwilę strona graficzna. Cierpliwości, wszystko to zacznie układać się w fascynującą całość i okaże się, że komiks o superbohaterach może być jednocześnie opowieścią o starości, o rodzicielstwie, o zdradzonych przyjaźniach, relacjach człowiek – maszyna i zawiedzionej miłości. A wszystko to na tle zmagań w skali galaktycznej. W sumie – Nagroda Eisnera dla najlepszej nowej serii roku 2017. ©℗

★★★★☆☆
WARREN ELLIS, DECLAN SHALVEY „MOON KNIGHT: Z MARTWYCH"
EGMONT

★★★★★☆
AUTORZY RÓŻNI „CZARNY MŁOT. WYDARZENIE", T. 2
EGMONT 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nie taki Krzyżak straszny, nie taki Prus i Jaćwing dziki – powieść historyczna z XIII stulecia o początkach ekspansji rycerzy zakonu w Polsce. Autora znamy z rozgrywających się w połowie XX w. cykli „Trzy armie" oraz „Elbing 1945".

TOMASZ STĘŻAŁA „WOJNA BOGÓW"
BELLONA

Były egzorcysta w mocnym i szczerym wywiadzie prowadzonym przez Tomasza Terlikowskiego opowiada o swoich doświadczeniach, z których dobitnie wynika, że ci, którzy opowiadają o złu bezosobowym, po prostu nie mają racji.

KS. PIOTR GLAS „DEKALOG. PRAWDZIWA DROGA W CZASACH ZAMĘTU"
ESPRIT

Telefon zmienia nasz mózg i zabija koncentrację, a opowieści o multitaskingu to... No właśnie, tylko opowieści. Niby śmichy-chichy, a sprawa poważna, bo wywód amerykańskiej pisarki jest spójny i niepokojący. Smartfon twój wróg!

CATHERINE PRICE „JAK ZERWAĆ ZE SWOIM SMARTFONEM"
SONIA DRAGA

Kolejna dobra powieść, która otrzymuje nowe życie dzięki telewizyjnej ekranizacji. Serial od 5 kwietnia w AMC, poczytać można już o losach zaginionej arktycznej wyprawy Franklina (statki „Erebus" i „Terror") w wersji horror. ©℗

poleca Piotr Gociek

DAN SIMMONS „TERROR"
VESPER

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Testament" (Czwarta Strona) – siódmy tom kryminalnego cyklu, którego bohaterem jest Joanna Chyłka.***
2. ***Małgorzata Musierowicz „Ciotka zgryzotka" (Akapit-Press) – 22. już tom cyklu „Jeżycjada", jedynego w swoim rodzaju fenomenu literackiego.***
3. ***Nela „Nela na wyspie rajskich ptaków" (Burda Publishing Polska) – literatura edukacyjna dla najmłodszych czytelników, kolejny tom popularnej serii.***
4. ***Michael Wolff „Ogień i furia" (Prószyński i S-ka) – Biały Dom Trumpa od środka. Szkoda, że rzecz oparta głównie na plotkach, które trudno zweryfikować.***
5. ***Justyna Kopińska „Z nienawiści do kobiet" (Świat Książki) – reporterka „Wyborczej" piętnuje patologie polskiego wymiaru sprawiedliwości.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 5 do 18 marca 2018 r.)

eprasa.pl 7f4145e991

Giganci przyjadą do Polski

30 czerwca na Stadionie Narodowym wystąpią Beyoncé i Jay-Z

FOT. DUANE PROKOP/GETTY IMAGES

Polska jest w tym roku na trasie tournée kilku gwiazd największego formatu. Nim zaplanujecie wyjazd, lepiej sprawdźcie stan konta, bo niektóre wejściówki są w cenie tygodnia all-inclusive w trzy-, czterogwiazdkowych kurortach.

Sporo wysupłać będą musieli fani The Rolling Stones. Biorąc pod uwagę wiek Micka Jaggera i jego kolegów z zespołu oraz częstotliwość koncertowania w Polsce, lipcowy koncert w Warszawie może być ostatnią szansą do zobaczenia grupy na żywo w Polsce przed zasłużoną emeryturą. Stonesi wystąpią na Stadionie Narodowym 8 lipca. Pod koniec ubiegłego tygodnia można jeszcze było kupić ostatnie bilety. Wejściówki – od 850 zł do prawie 5 tys. zł.

W gorszej sytuacji są miłośnicy Metalliki. Ci mogli kupić bilety taniej (od 240 zł; najdroższe kosztowały ok. 10 tys. zł), ale rozeszły się one błyskawicznie. W ramach trasy promującej album „Hardwired... To Self-Destruct" (z 2016 r.) zespół zagra 28 kwietnia w Tauron Arenie w Krakowie. Na wejściówki trzeba polować w Internecie, konkursach lub przepłacać u koników. Podobnie jest w przypadku Eda Sheerana. Bilety na koncert 11 sierpnia na Narodowym wyprzedały się w godzinę, więc zorganizowano drugi koncert dzień później. Tych wejściówek też już nie ma w oficjalnym obiegu.

W tym roku nad Wisłę przyjedzie jedno z najsłynniejszym małżeństw show-biznesu. Beyonce i Jay-Z wystąpią na Stadionie Narodowym 30 czerwca. W momencie zamykania tego wydania „Do Rzeczy" dostępne były jeszcze ostatnie bilety. Najtańsze po 570 zł.

Łatwiej zdobyć wejściówki będzie fanom Jamesa Blunta. Brytyjski specjalista od romantycznych ballad wystąpi w Hali Torwar w Warszawie 12 maja. Lokomotywą tegorocznego Open'er Festival będzie Bruno Mars, który zagra w Gdyni 7 lipca. Fanów muzyki elektronicznej z pewnością ucieszy wiadomość, że na innym z polskich festiwali – Music Power Explosion – wystąpi jeden z najpopularniejszych DJ-ów na świecie – DJ Tiësto. Z tej okazji 13 lipca wrocławski stadion zamieni się w wielki klub, a oprócz muzyki widowisko stworzą efekty pirotechniczne i laserowe. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Odkrywanie siebie samego

Ten, który ocalił muzykę rockową przed samozagładą, oświadczył, że „najlepiej się czuje w niekomfortowych sytuacjach", i nagrał płytę na przekór swym wcześniejszym dokonaniom.

Ten zwolennik analogowych dźwięków, antycznych instrumentów i czarnych płyt przygotował album wyraźnie skonstruowany pod wymogi formatu CD. Zamiast garażowych brzmień i skromnej liczby współpracowników płyta przynosi syntetyczne brzmienia, a w sesjach wzięło udział 20 muzyków i trzy wokalistki. Jack skompletował retroinstrumentarium (m.in. clavinet, conga, bongosy, vocoder, moog) i bawiąc się nim w oparciu o hiphopowe rytmy, stworzył funk spod znaku Parliament-Funkadelic. Momentami przypomina to The Clash z okresu „Combat Rock", Prince'a z lat 80., Becka z „Odelay", a gitarowe solówki White'a są jakby wyjęte z jammów z sesji Jamesa Browna.

Jest to najdziwniejszy album Jacka White'a. Tyle że pieszczoch krytyków, porzuciwszy twórczą eksplorację bluesa, wkroczył do krainy, którą dopiero odkrywa. Jak dziecko z nadmierną liczbą foremek stawia na oślep babki, które w żaden sposób nie tworzą jednolitej całości. Pomiędzy electro-funkowymi pulsacjami znajdziemy trzy dziwacznie deklamowane utwory, antytrumpowski freestyle, a na zakończenie kołysankę. Muszę przyznać, że mimo tych wszystkich gorzkich słów słuchałem płyty z przyjemnością. Jednak od Jacka White'a oczekuję znacznie więcej. ©℗

★★★★☆☆

JACK WHITE „BOARDING HOUSE REACH" THIRD MAN

★★★★☆☆

ADAM MAKOWICZ „SWINGING IVORIES" POLSKIE RADIO

Recital pianisty zarejestrowany w listopadzie ubiegłego roku. Obok własnych kompozycji Makowicz wykonuje standardy Gershwina, Ellingtona, Portera, Garnera i Arlena. Idealnym dodatkiem do muzyki będzie koniak klasy XO. ©℗

★★★★★☆

PIOTR WYLEŻOŁ „HUMAN THINGS" WARNER

Trzeci album we wznowionej serii „Polish Jazz". Pianista wspomagany m.in. przez amerykańskiego saksofonistę Dayna Stephensa nagrał album przepełniony wysmakowanymi harmoniami i często mrocznymi nastrojami. Inspirujące. ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Jak wytropiłem rasistę

Nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, że w mojej okolicy mieszka sporo osób o innym niż tutejszy kolorze skóry. Ucieszyłem się, gdyż dzięki tej konstatacji mogłem się oddać ulubionej misji współczesnych mediów. Ruszyłem na poszukiwania rasizmu i rasistów.

Najpierw poszedłem do fryzjera. Owszem, może to Wola w Warszawie, a nie Soho w Londynie, ale mamy zakład fryzjerski prowadzony przez Hindusów. Znamy się dosyć dobrze, bo często tam zachodzę. Sam albo z synem. Bardzo lubię to miejsce z dość głupiego powodu – otóż nigdy nie ma tam żadnych klientów, więc można się ostrzyc bez czekania albo umawiania.

No właśnie – fakt, że lokalsi nie chodzą do Hindusa, by ułożyć sobie pukle, może być przejawem rasizmu. Zapytałem właścicieli, dlaczego nigdy nikogo u nich nie ma. Odpowiedzieli, że to efekt tego, że nie mówią po polsku, więc trudno im się dogadać z polskimi klientami (faktycznie rozmawialiśmy po angielsku). Jak wobec tego ich interes się kręci? Ano za sprawą innych Hindusów, którzy w pokaźnej liczbie mieszkają na Woli.

Inaczej ma się sprawa z małżeństwem Nepalczyków, którzy kilka lat temu otworzyli budkę z nepalskim żarciem. Ci z kolei byli tak oblegani przez wolskich smakoszy, że ostatnio do budki dorzucili restaurację pełną gębą, która – zwłaszcza w weekendy – jest zapełniona do ostatniego miejsca. Trudno się temu dziwić, bo jedzenie jest tam rewelacyjne. Jako stały i stary klient zagadnąłem Nepalczyków o przejawy rasizmu, ale chyba nie bardzo rozumieli, o co mi chodzi. Zapewnili, że są zadowoleni z polskich pracowników.

W mojej klatce mieszka z kolei rodzina Wietnamczyków. Nasze dzieci są w podobnym wieku i czasem się bawią na podwórku. Dzieciaki dogadują się świetne, a i ich rodzice czują się chyba w nowej ojczyźnie nie najgorzej. Mają dwa samochody, co raczej nie sytuuje ich na dole drabiny społecznej. Dzieci są świetnymi uczniami – jak to Wietnamczycy. A dobre oceny zbierają również z polskiego. Daj, Panie Boże, takich imigrantów.

Miałem nadzieję, że moje poszukiwania przyniosą rezultat i zdybię jakiegoś rasistę na opluwaniu i popychaniu ciemnoskórych. Sądząc z kolejnych doniesień mediów, takie sytuacje zdarzają się co chwila w zaściankowej Warszawie. Niestety, okazałem się dupą wołową, a nie dziennikarzem i moje śledztwo nie przyniosło spodziewanych rezultatów.

Ale zaraz, zaraz… Zeszłego roku w piaskownicy na naszym podwórku bawił się malutki Mulat. I popsuł mojemu synkowi frisbee. Najpierw chciałem zwrócić uwagę jego mamie, ale po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że ze względu na kolor skóry małego winowajcy może to zostać opacznie zrozumiane, więc dałem sobie spokój. A zatem to ja! Ja jestem rasistą! O tym, jak potraktowałem drugiego człowieka, przesądził jego kolor skóry. Białego na pewno bym ochrzanił. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Lokomotywy i trybiki

Coraz częściej wydaje mi się, że żyjemy w świecie bez półcieni. Albo absolutne zło, albo absolutne dobro. Wspaniali młodzi ludzie urodzeni już w Nowej Polsce wydają się nie pojmować, że świat pokoleń żyjących w PRL był o wiele bardziej skomplikowany, niż przychodzi im do głowy.

Po pierwsze starsze pokolenie nie miało wielkiego wyboru. Obywatele mogli się pogodzić z myślą, że w realnym socjalizmie dożyją do końca świata i jeden dzień dłużej, mogli wiać za wszelką cenę za granicę, mogli też próbować konspirować, ale to dotyczyło promila społeczeństwa. Nie oznacza to, że Polacy nic nie robili.

Bolą mnie próby mierzenia większości roczników 50+ jedną miarą

Jak w każdej zbiorowości istniały kanalie i cisi bohaterowie, bezwzględni konformiści i siłaczki na miarę swoich możliwości lub potrzeb. I podziały nie przebiegały ani pod względem przynależności partyjnej, ani wykonywanego zawodu.

Polska przeżyła nie tylko dzięki wyklętym czy spontanicznym uczestnikom robotniczych protestów. Front o poszerzanie marginesów wolności trwał przez cały czas Polski Ludowej, na przekór aparatczykom, pracownikom służby bezpieczeństwa czy po prostu niegodziwcom. Ktoś powinien upomnieć się o te niestrudzone nauczycielki historii, przemycające wiedzę swoim uczniom, o zaszczepiające nieprawomyślne idee bibliotekarki, o księży wyruszających z młodzieżą na Oazy, o dziennikarzy i pisarzy udających akceptację, ale jednocześnie obnażających prawdę. Gazety też były lepsze lub gorsze. W – zda się – do cna zindoktrynowanych oficynach wychodziły dobre książki, udawało się też za pomocą aluzji wyprowadzić w pole cenzurę w mediach. I nie robiły tego krasnoludki, ktoś ryzykował, ktoś bał się mniej od innych, ktoś testował reżim...

Ailuż ludzi brało się do cennych inicjatyw i choć przeważnie szybko je niweczono, coś zostawało. Podobnie jak z indywidualnej działalności gospodarczej, zwłaszcza rolniczej. Nie, nie była to zawsze walka czysta. Ceną bywała często moralna i ekonomiczna szara strefa… Jednak warunki były trudniejsze niż w czasach „najdłuższej wojny nowoczesnej Europy". A stawką było przetrwanie.

I dlatego tak bolą mnie próby mierzenia większości roczników 50+ jedną miarą. Mam nadzieję, że kiedyś zacznie się oceniać ludzi według osobistych zasług i win. Ponieważ myśląc schematycznie, należałoby Sobieskiego zlustrować za służbę dla Karola Gustawa, a Kmicica pozbawić wojskowej emerytury za czas współpracy z Radziwiłłem. ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

Szacunek dla klasy średniej

Stefan Sękowski

Współczesna burżuazja zasługuje na szacunek, godność i wolność. Bez tego klasa średnia u nas nie powstanie

Pojęcie klasy średniej to jedno z najbardziej pustych pojęć w ekonomii i socjologii. Co naukowiec, to definicja. Według różnych sondaży częścią klasy średniej czuje się ok. 60 proc. Polaków. Przedsiębiorcy, lekarze, adwokaci, dziennikarze, naukowcy – ci wszyscy, którzy nie korzystają z przywilejów odcinania finansowych kuponów, a jednocześnie żyją na na tyle dobrym poziomie, by nie czuć się „klasą niższą".

Może więc czegoś takiego jak „klasa średnia" nie ma? Na pewno nie może być tylko kategorią statystyczną – wtedy bowiem nie dowiemy się o niej niczego oprócz tego, że zarabia… jak na polskie warunki nieco lepiej niż „średnio". Nie może być także kategorią wyróżniającą osoby należące do jednej grupy zawodowej, posiadające podobne wykształcenie czy podzielające podobny styl życia. Klasa średnia to ci, którzy nie są rentierami i żyją z pracy swoich rąk (bądź umysłów), ale dysponują odpowiednim kapitałem, by pozostać niezależnym przez pewien czas, gdyby miała się im powinąć noga.

Wtedy wyjdzie nam, że w Polsce klasy średniej niemal nie ma. Nie wystarczy zarabiać nieco powyżej średniej krajowej: trzeba jeszcze coś posiadać. I od liczby „posiadających" należałoby jeszcze odjąć tych, którzy de facto nie są (jeszcze) właścicielami, ponieważ posiadają np. kredyt hipoteczny. Jeśli więc przekraczasz drugi próg podatkowy, chodzisz do opery i restauracji, ale i tak gros twoich zarobków idzie na spłatę domku pod miastem, to, niestety, lubisz styl życia kojarzony z klasą średnią, ale na pewno nie jesteś jej częścią, a pracownikiem najemnym lub zgoła nędznym „prekariuszem", którego – jak to celnie określił Pablopavo – od bezdomności dzielą trzy miesiące bez pensji.

TRUDNY KRAJ DLA BURŻUAZJI

A szkoda, bo bycie częścią klasy średniej jest nie tylko wygodne, lecz

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. FOTOLIA

także korzystne dla całego społeczeństwa. Daje poczucie niezależności, a jednocześnie nie skutkuje zupełnym odklejeniem od problemów, z którymi boryka się każdy. Tacy ludzie są często kreatywni, napędzają gospodarkę (duża część z nich to przedsiębiorcy), ale i w polityce stanowią potencjalnie głos rozsądku i umiaru: z jednej strony wiedzą, co to trud pracy, z drugiej są mniej podatni na wyborcze przekupstwa. Na takich ludziach – w innych okolicznościach historycznych – Arystoteles chciał oprzeć dobry ustrój. Niestety, tam, gdzie klasa średnia jest solidnie zakorzeniona (Wielka Brytania, Stany Zjednoczone Ameryki, Francja), powstawała przez setki lat. A my byliśmy długo państwem (czy też krainą za zaborów) rolniczym, opartym na archaicznych stosunkach społecznych; kapitalizm wykształcił się późno, pod koniec XIX w., i to głównie w Wielkopolsce, na Śląsku i w zachodniej Kongresówce. Gdy już zaczął rosnąć w dwudziestoleciu międzywojennym, przygniotła go II wojna światowa, rujnując liczne miasta i wsie, potem przyszedł PRL oparty na sojuszu robotniczo-chłopskim, w którym dla wyzyskiwaczy i posiadaczy miejsca nie było. Po 1989 r. nie wykorzystaliśmy – nikłego, ale jednak – kapitału, jaki został po realnym socjalizmie, by przez uczciwą reprywatyzację i prywatyzację doprowadzić do odtworzenia się klasy średniej: z kolei ta powstająca od zera jest dziś zaledwie w powijakach.

Co zrobić, by klasa średnia powstała? Warto spojrzeć na to, jakie warunki spełniały te kraje, w których ma ona istotne znaczenie. Zaskakującej odpowiedzi na to pytanie udziela ekonomistka Deirdre N. McCloskey w swojej książce „Burżuazyjna godność. Dlaczego ekonomia nie potrafi wyjaśnić współczesnego świata?", wydanej niedawno przez Instytut Misesa. Do XIX w. ludzie żyli średnio za odpowiednik trzech współczesnych dolarów dziennie (dokładniej chodzi o „dolary międzynarodowe"). Mniej więcej 200 lat temu rozwój zaczął szybować w górę i dziś na świecie zarabia się średnio 30 dol. dziennie. Za tym poszedł wzrost liczby ludności, spadek umieralności niemowląt, rośnie długość życia, a niemal każde pokolenie przynosi ze sobą kolejny przełomowy wynalazek. Co umożliwiło taki skok cywilizacyjny?

eprasa.pl 7f4145e991

Jak twierdzi McCloskey, przyczyną nie jest położenie geograficzne czy dostęp do surowców, ponieważ „mające niewiele zasobów naturalnych Hongkong, Singapur i Japonia, a także dysponująca jedynie ziemią i krowami Dania szybko stały się nowoczesne, podczas gdy przeważającej części mieszkańców Republiki Południowej Afryki to się nie udało". Nie są wytłumaczeniem także wojny, bo odpowiadają co najwyżej za czasowy dopływ bogactwa. Nie były nimi nawet cnota zapobiegliwości czy istnienie rynku – te bowiem funkcjonowały w jakiejś mierze zawsze, ale do boomu doszło jednak dopiero w XIX w.

KUPIEC, KTÓRY WZBOGACA SWÓJ KRAJ

Zdaniem McCloskey tajemnica tkwi w… retoryce – sposobie postrzegania i mówienia o burżuazji. Uznaniu, że przynależna jest jej godność i wolność, że ludzie mają prawo do tego, by działać i bogacić się, i że to jest dobre. „Pozbawiona godności wolność, jakiej doświadczał poza swoim miastem wędrowny handlarz w średniowiecznej Europie, Chinach, Azji Południowej czy Afryce, odziera działanie z poczucia wartości – sprawia, że staje się ono wprawdzie niestrudzonym, ale niskim i przepełnionym pogardą do siebie frymarczeniem". Z kolei „godność bez wolności daje status bez nadziei, czyli jeszcze jedno z wcieleń hierarchii zamierzchłych czasów, tak wyraźnie widoczne w opanowanych przez gildie kupieckie przeregulowanych miastach – Wenecji czy Lubece".

Musiał przyjść czas, w którym przestano gardzić finansistą, handlarzem czy producentem, w którym szlachcic już nie mógł utracić swego tytułu, gdy ktoś odkrył, że para się handlem. To dopiero uwolniło jej potencjał, a nastąpiło w oświeceniu, w czasach, kiedy Wolter z przekąsem pytał, czy pożyteczniejszy dla państwa jest „dobrze upudrowany szlachcic, wiedzący dokładnie, kiedy król wstaje, […] czy też kupiec, który wzbogaca swój kraj". Wtedy podejście to zaczęło wchodzić do kultury – przykładowo na początku XVIII w. niesamowicie popularna w Londynie była sztuka „The Conscious Lovers" Richarda Steele'a, pozytywnie ukazująca osoby zajmujące się handlem, zaś „Kupiec londyński" George'a Lillo zawiera m.in. frazę, że „jak imię kupca nigdy nie poniża gentlemana, tak też i nie wyklucza jego grzeczności". Na polskich ziemiach potrzeba było ponad stu lat, by na krótko zatriumfował pozytywizm sławiący pracę organiczną.

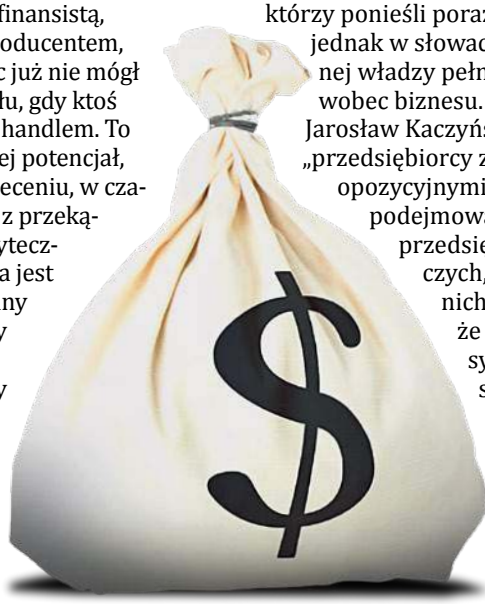

Z GODNOŚCIĄ I WOLNOŚCIĄ JEST KRUCHO

Jednak my, Polacy, wolimy romantyzm, choć są i wyjątki. Właśnie TVP wznawia serial – nakręcony, o dziwo, w PRL – „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy". Nie jest może porywający, ale na pewno ciekawy, pokazujący na przykładzie wielkopolskich pozytywistów, jak można łączyć miłość do ojczyzny z codzienną mrówczą pracą. Jednak to wyjątek – z „burżuazyjną godnością" jest w Polsce krucho, i nie tylko ze względu na kulturę. Chociaż w strategii Morawieckiego znalazło się dobrotliwe sformułowanie, że konieczne jest „podniesienie statusu przedsiębiorcy w społeczeństwie i przeciwdziałanie stygmatyzacji przedsiębiorców, którzy ponieśli porażkę biznesową", to jednak w słowach i czynach obecnej władzy pełno jest nieufności wobec biznesu. Jakiś czas temu Jarosław Kaczyński stwierdził, że „przedsiębiorcy związani z partiami opozycyjnymi dzisiaj nie chcą podejmować różnego rodzaju przedsięwzięć gospodarczych, zyskownych dla nich. Uważa bowiem, że wrócą dawne czasy", przebijając w ten sposób własnego brata, śp. Lecha Kaczyńskiego, który stwierdził, że „jeśli ktoś posiada pieniądze, to skądś je ma", insynuując ich niecne pochodzenie. Czy to zmiany w kwocie wolnej od podatku, czy wprowadzenie rozwiązania, wedle którego odprowadza się składki także od zarobków powyżej 2,5-krotności średniego miesięcznego wynagrodzenia (co posłanka PiS Joanna Lichocka określa jako walkę z „przywilejami establishmentu" – ta walka odbije się nam po latach czkawką, ale wtedy pani Lichocka nie będzie już posłanką), pokazują, że dla PiS „bogaczami" są już osoby, które zarabiają po 8 tys. zł na rękę. Tak się nie zbuduje klasy średniej. Tej nie buduje także „500+" – program mający niewątpliwie swoje zalety, ale będący jednak częścią rewolucji godnościowej skierowanej przede wszystkim do osób uboższych.

A jak jest z wolnością? O tym świadczą choćby takie ruchy jak ustawa o aptekach, która utrudnia prowadzenie działalności gospodarczej. Innym przykładem jest to, że zakaz pracy najemnej w niedzielę dotyczy akurat handlu. Są i argumenty na jego rzecz, ale to, że nie dotyczy np. kin czy restauracji, świadczy o tym, że handel traktuje się jednak jako coś pośledniego, czym nie powinno zajmować się w dzień święty. Chociaż gdy pomyśli się o tym, że są ludzie, którzy traktują chodzenie po sklepach nie jako czynność aprowizacyjną, ale rodzinną rozrywkę (nie rozumiem tego, ale są tacy ludzie), to ten argument sypie się jak domek z kart.

Z szacunkiem wobec zaczątków klasy średniej jest w Polsce krucho – co rusz pojawia się niechęć do ludzi, których jedynym grzechem jest to, że chcą dostarczyć innym jakieś dobra lub usługi i na tym zarobić

Z szacunkiem wobec zaczątków klasy średniej jest więc u nas krucho – co rusz pojawia się niechęć do ludzi, których jedynym grzechem jest to, że chcą dostarczyć innym jakieś dobra lub usługi i na tym zarobić. Oczywiście nie znaczy to, że mamy robić z każdego przedsiębiorcy współczesnego bohatera, bo to kończy się takimi aferami jak np. Amber Gold. Jednak raczkującej klasie średniej należy się szacunek, bo nie jest jej lekko, a z jej rozrostu możemy osiągnąć duże korzyści.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.

eprasa.pl 7f4145e991

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Hemingway i NKWD

Muszę przyznać, że nigdy nie przepadałem za Ernestem Hemingwayem. Wpłynęła na to lektura „Komu bije dzwon" i stanowisko, jakie pisarz zajął wobec wojny domowej w Hiszpanii. Uważałem go jednak za typowego lewicowego intelektualistę z Zachodu. Takiego samego jak tabuny innych pożytecznych idiotów.

Tymczasem z pasjonującej książki Nicholasa Reynoldsa dowiedziałem się, że prawda była o wiele ciekawsza. I bardziej ponura. Otóż Hemingway był agentem NKWD o pseudonimie Argo. Bolszewicy zwerbowali go w roku 1940. A więc w okresie, gdy obowiązywał pakt Ribbentrop-Mołotow!

„Całe życie podziwiałem Hemingwaya – pisze autor – kiedy więc przeczytałem, że powiązał się z NKWD, poczułem się tak, jakby ktoś walnął mnie łokciem w brzuch. Jak to możliwe? [...] Postacie jego powieści ucieleśniały tak wiele amerykańskich wartości, które wciąż pielęgnowaliśmy: prawdę, dzielność, niezależność, wytrwałość w obliczu przeciwieństw, stawanie w obronie słabszych. Jego głos był bez reszty amerykański i – rewolucyjny".

No właśnie... Do pracy dla sowieckich służb Hemingwaya zwerbował ukraiński Żyd i fanatyczny bolszewik Jacob Golos. Szef biura Intouristu, działacz Komunistycznej Partii USA i szef siatki NKWD w Nowym Jorku w jednej osobie. Ziarno trafiło na podatny grunt, bo – jak pisze Reynolds – „pisarz gotów był przymykać oczy na grzechy Stalina i krytykować amerykańską politykę zagraniczną".

Według zachowanej w sowieckim archiwum teczki agenta „Argo" Hemingway przystał na współpracę i podjął ją „z pobudek ideologicznych". A nie za pieniądze. Wkrótce po złożeniu tej deklaracji wyjechał zaś w wielką podróż do Chin. I tak zaczęła się wielka przygoda, być może ciekawsza niż wiele przygód bohaterów stworzonych przez Hemingwaya...

Nie chcę państwu zbyt dużo zdradzać, ale mogę zapewnić, że książkę czyta się niczym powieść sensacyjną. Tyle że tu nie ma happy endu. Hemingway nigdy nie zdobył się na potępienie komunizmu. Mało tego, do końca życia wspierał żarliwie rewolucję kubańską i Fidela Castro. Do końca życia uważał się również za „ideowego antyfaszystę" prześladowanego przez „wredne FBI". Jak się teraz okazuje – FBI miało swoje powody. ©℗

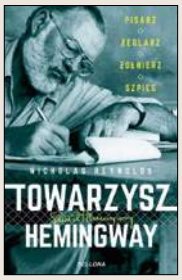

★★★★★★
NICHOLAS REYNOLDS „TOWARZYSZ HEMINGWAY" BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Sprawa majora Pawłowskiego

To była prawdziwa sensacja, gdy w kwietniu 1975 r. nagle zniknął Jerzy Pawłowski – ulubieniec całego kraju, wielokrotny medalista igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata, człowiek, któremu przyznano tytuł Szablisty Wszech Czasów. Media milczały na ten temat, a nazwisko szermierza w ogóle przestało być wymieniane. To zrodziło plotkę, że sportowiec został zastrzelony przez SB na Okęciu, gdy próbował uciec do USA. Od lat miał być bowiem amerykańskim szpiegiem, który za sowitą opłatą przekazywał na Zachód tajne informacje.

Nazwisko skazanego, jako zdrajcy, musiało zniknąć z mediów

Pogłoski o szpiegostwie potwierdziły się, gdy „Trybuna Ludu" zamieściła informację o prowadzonym przeciwko szabliście śledztwie. Pojawiły się również informacje, że Pawłowski został aresztowany i stanie przed sądem. Spodziewano się najwyższego wymiaru kary (zawodnik był majorem LWP), a sprawą dyskusyjną było tylko to, czy szermierza powieszą, czy rozstrzelają. Władze wybrały jednak inne rozwiązanie.

Niemal dokładnie rok po aresztowaniu, 8 kwietnia 1976 r., Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał Pawłowskiego na 25 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na 10 lat, przepadek mienia oraz degradację do stopnia szeregowca.

Był to dość łagodny wyrok (jak na zawodowego oficera), dlatego podejrzewano, że być może w przyszłości Pawłowski będzie potrzebny na wymianę szpiegów, inni twierdzili, że musiał w śledztwie zdradzić wiele tajemnic, za co kupił sobie życie. Nikt jednak nie przypuszczał, że cała działalność wywiadowcza szablisty była po prostu tragifarsą, a on sam miał na sumieniu również współpracę z organami bezpieczeństwa i kontrwywiadem PRL...

Rozpoczęła się propagandowa komedia w prawdziwie komunistycznym stylu. Nazwisko skazanego, jako zdrajcy, musiało zniknąć z mediów, co okazało się zadaniem karkołomnym.

„Akurat zbliżała się olimpiada w Montrealu – wspominał Janusz Atlas – i dla potrzeb statystyki robiono różne zestawienia medalowego łupu z przeszłości. A skoro usunięto nazwisko Pawłowskiego, to w żaden sposób to wszystko się nie zgadzało. Jak by nie liczyć, zdobyliśmy więcej medali, niż wypadałoby to z rachunków".

W zacieraniu śladów po Szabliście Wszech Czasów doszło do tego, że usunięto jego nazwisko z V księgi komiksu „Tytus, Romek i A'Tomek". Pierwotnie jego bohaterowie odwiedzili Muzeum Sportu i podziwiali tam „szablę mistrza Pawłowskiego", natomiast w kolejnym wydaniu książeczki była to już „szabla mistrza Zabłockiego". ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

Piotr Semka

Czerwony bóg NRD

Pomniki Stalina stały w komunistycznych Niemczech aż do 1961 r. – pięć lat dłużej niż w samym Związku Sowieckim. Kult „ukochanego Wodza ludzkości" w NRD pokazuje wystawa na terenie Miejsca Pamięci Narodowej Berlin-Hohenschönhausen

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

We wschodnich Niemczech generacje, które ponad 12 lat wyznawały niemal boski kult Führera, po upadku III Rzeszy płynnie przeszły do kultu „Wodza postępowej ludzkości". Młodzież wychowana w Hitlerjugend zmieniła brunatne koszule na niebieskie bluzy komunistycznego związku młodzieży Freie Deutsche Jugend. A marsze z okazji świąt NSDAP zamieniono na pochody ku czci „wodza postępowej ludzkości". Jedne i drugie odbywały się pod czerwonymi sztandarami – kiedyś ze swastyką, a po wojnie z wizerunkiem Stalina.

O kulcie „czerwonego boga" w powojennym NRD opowiada niezwykle ciekawa wystawa w ośrodku pamięci na terenie dawnego więzienia Stasi w Berlinie-Hohenschönhausen.

Przed głównym wejściem na wystawę natknąć się można na prawie pięciometrowy pomnik Józefa Stalina – dokładnie 4 metry i 80 centymetrów wysokości. Nie, to nie jest oryginał zdemontowany cichcem w ciągu jednej nocy w Berlinie w listopadzie 1961 r., ale wygląda tak samo. Gdy w 1951 r. sowiecki rzeźbiarz Nikołaj Tomski przygotowywał pomnik Generalissimusa w odlewni w Leningradzie, dla oszczędności odlano jeszcze drugi. Ten trafił do Ułan Bator – stolicy komunistycznej Mongolii. Pierwszy, berliński, został po demontażu po cichu przetopiony. Jednak jego brat bliźniak stał w mongolskiej stolicy aż do 1990 r. Potem, jako dziwadło z czerwonej epoki, trafił do jednej z dyskotek w Ułan Bator, aż w końcu pomnik kupił lokalny milioner. Teraz z okazji wystawy o kulcie Stalina w Berlinie jej organizatorzy wypożyczyli z Mongolii pomnik wodza. Niemieccy zwiedzający omijają go, nieco

eprasa.pl 7f4145e991

zakłopotani tym, jak odnieść się do tego straszydła z przeszłości.

CIEŃ MŚCIWEGO GRUZINA

Przez ponad trzy dekady XX w. cień Stalina wisiał nad Niemcami. Zaczęło się już pod koniec lat 20., gdy Komunistyczna Partia Niemiec (KPD) była jedną z pierwszych „bratnich partii", którą wyczyszczono z trockizmu i w której wprowadzono kult nowego wodza Rosji sowieckiej. Przy okazji odsunięto na dalszy plan Żydów z czołówki partii, np. Ruth Fischer i Arkadiego Maslowa. Namaszczony za zgodą Stalina nowy lider Ernst Thälmann uznał, że nie należy dawać konkurentom z NSDAP powodu do antysemickich ataków.

Kult Stalina kwitł w Komunistycznej Partii Niemiec na dużą skalę. Już w 1925 r. dzienniki KPD zamieściły całostronicowy wywiad ze Stalinem. Jego portrety otwierały czasopisma partii, a jego dzieła wydawano w wielotysięcznych nakładach. Na okładce „Rote Fahne" z listopada 1931 r. widnieje wyzywający wobec nazistów tytuł: „Unser Führer – Stalin".

Niewiele to pomogło jednak partii Ernsta Thälmanna, gdy Hitler zdobył władzę w 1933 r. Gestapo aresztowało większość aktywu partii, a liczni szeregowi członkowie masowo przeszli do NSDAP. W propagandzie III Rzeszy dyrygowanej przez Goebbelsa sowiecki dyktator zaczął być przedstawiany jako pachołek Żydów oraz inspirator czystek z lat 1937–1939. Na dwa lata ataki na Stalina wyciszono z racji paktu Ribbentrop-Mołotow, ale już po 22 czerwca 1941 r. demoniczny wizerunek Stalina odżył z całą mocą. Po klęsce Stalingradu złowrogi Gruzin zniknął z propagandy – jego miejsce zajęli bolszewicy z nożami, których widmo miało wzmocnić opór. Jednak postać mściwego satrapy mocno tkwiła w świadomości żołnierzy Wehrmachtu. Nieprzypadkowo wzbudzające lęk wyrzutnie „Katiusze" Niemcy nazywali organami Stalina.

BAŁWOCHWALSTWO

Gdy Rosjanie zajęli wschodnie Niemcy, ustawiane we wszystkich niemieckich miastach wielkie portrety władcy Kremla nie miały początkowo ideologicznego charakteru. Były raczej symbolem nowej władzy niż elementem

Stalin królował na okładkach prasy KPD już od końca lat 20.

promowania marksizmu. Wciąż nie było jasne, czy Niemcy będą zjednoczone za cenę neutralizacji.

Jeśli już wybijano na afiszach słowa czerwonego wodza, to te z 1941 r.: „Historia uczy nas, że Hitlerzy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki i państwo niemieckie zostają".

Stalin odwiedził Niemcy tylko raz, w czerwcu 1945 r., ale nawet nie Berlin, tylko Poczdam, gdzie odbyła się słynna konferencja pokojowa Wielkiej Trójki.

W 1949 r. Moskwa porzuca nadzieje na neutralizację Niemiec i powstaje wasalna Niemiecka Republika Demokratyczna z prezydentem Wilhelmem Pieckiem i szefem partii Komunistycznej SED Walterem Ulbrichtem. Obaj dobrze pamiętali masowe czystki wśród niemieckich komunistów w Moskwie w latach 1936–1939 i teraz dbali, jak mogli, by nie wypaść z łask. Ponad 12 lat pobytu w ZSRS nauczyło ich, że najlepszym sposobem na to jest bałwochwalczy kult wodza światowego proletariatu. Co ciekawe – propaganda NRD rezerwowała dla Stalina określenie „Führer" (przywódca) mimo narzucających się skojarzeń z Hitlerem.

Pierwszą okazją do okazania wierności były 70. urodziny „ukochanego wodza ludzkości" w grudniu 1949 r., czyli ponad dwa miesiące po powstaniu NRD. Ukuto wówczas hasło: „Stalin – niezawodny przyjaciel narodu niemieckiego". W kraju, w którym każda rodzina miała jakiegoś żołnierza w sowieckiej niewoli, a dziesiątki tysięcy kobiet zgwałcono, brzmiało to jak szyderstwo. Jednak nikt nie śmiał tego powiedzieć na głos. Nie bez powodu. W ciągu pierwszej dekady sowieckiej okupacji znów zapełniły się więzienia i obozy na bazie dawnych kacetów III Rzeszy. W pierwszych latach NRD sowieckie i NRD-owskie trybunały wykonały na więźniach politycznych, głównie socjalistach z SPD, ponad tysiąc wyroków śmierci. Sowieckie trybunały wojskowe skazały w tych latach 35 tys. osób na kary więzienia, jedna trzecia z nich otrzymywała wyroki 25 lat ciężkich robót. Im ostrzejszy szalał terror, tym silniejsza była propaganda.

Sposoby i formy uczczenia stały się przedmiotem oficjalnego współzawodnictwa. Miliony aktywistów próbowały wymyślić coś, co przebije inne organizacje komunistycznej partii SED i organizacji młodzieżowej FDJ. Na wystawie obejrzeć można model składu berlińskiego metra podarowany wodzowi przez kolejarzy z wschodniego Berlina i zdjęcie projektora dla planetarium w Stalingradzie wyprodukowanego przez firmę Carl Zeiss Jena. Zakłady deklarowały w imieniu robotników (i bez pytania ich o zdanie)

Pomnik Stalina – bliźniak berlińskiego pierwowzoru – przybył na wystawę aż z Mongolii FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 7f4145e991

„dobrowolne" nadgodziny w pracy, a uczniowie pisali życzenia urodzinowe dla Stalina i wypracowania szkolne o „niestrudzonym bojowniku o wolność i pokój". Na wystawie odsłuchać można wspomnienia leciwych już byłych NRD-owców, którzy opisują kult wodza w ich szkołach. W klasach NRD-owskich szkół powstawały na wzór ZSRS specjalne „Stalin-Ecke" – kąciki Stalina. Specjalnie wyznaczony uczeń pilnował, by przed portretem wodza stały zawsze świeże kwiaty i by nikt z uczniów nie zapomniał oddać pionierskiego salutu wizerunkowi tyrana.

W 1951 r. ponowną okazją do całej rewii pochodów ku czci Generalissimusa był Międzynarodowy Festiwal Młodzieży w komunistycznym Berlinie. To wtedy komsomolcy z Leningradu przywieźli w darze wspomniany wcześniej pomnik Stalina, który ustawiono na wielkim postumencie przy alei ku jego czci we wschodniej części miasta. Zaszczyt zgody na stworzenie pierwszego niemieckiego pomnika Stalina dla hutniczego miasta Riesa otrzymał rzeźbiarz Johann Friedrich Rogge. Starannie unikano wzmianek, że w czasach nazizmu był on autorem wielu popiersi Hitlera i innych herosów III Rzeszy. Wkrótce inni artyści nie zostali w tyle i popiersia Stalina ozdobiły dziesiątki NRD-owskich miast.

Jednak po cichu Niemcy dawali upust swojej nienawiści do satrapy. Na wystawie pokazano wydobyte z archiwów Stasi przechowywane jako dowody rzeczowe zniszczone portrety Stalina z wydłubanymi cyrklem oczami lub z obraźliwymi napisami. Jeden z portretów nosi ślady od kul – ostrzelał go pewien funkcjonariusz Volkspolizei w ataku furii.

Rzeźbiarz J.F. Rogge i jego dzieło. Parę lat wcześniej w III Rzeszy rzeźbił popiersia Hitlera FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gdy Stasi wykryło, że jeden ze wschodnioberlińskich karykaturzystów wykonał prześmiewczy rysunek Stalina dla pisma w Szwajcarii, gdzie go opublikowano, sąd skazał żartownisia na 25 lat więzienia.

5 marca 1953 r. Stalin zmarł i żałoba z powodu odejścia wodza ludzkości znów była okazją do wielotygodniowych uroczystości.

Nowo zbudowane hutnicze miasteczko koło Frankfurtu nad Odrą – tworzone od zera tak jak polska Nowa Huta – otrzymało nazwę Stalinstadt. Początkowo miasto miało nazywać się Karl-Marx-Stadt, ale właśnie zmarł Stalin i nowa nazwa sama narzucała się Ulbrichtowi. W zastępstwie nazwę Karl-Marx-Stadt otrzymało saksońskie Chemnitz.

Nie minęły cztery miesiące od śmierci Generalissimusa, a w NRD wybuchło powstanie robotnicze. Ludzie pracy z furią palili portrety Stalina znalezione na trasie demonstracji.

SCHYŁEK KULTU

Na XX zjeździe KPZR, w lutym 1956 r., kierownictwo NRD kwaśno przyjęło referat sowieckiego przywódcy Nikity Chruszczowa z jego krytyką stalinowskiego kultu jednostki. Uchwały zjazdu wraz z deklaracją, że Stalin nie może już być uznawany za teoretyka marksizmu, wydrukowano drobną czcionką, ale bez komentarzy. Jednak pomników wodza przez kolejnych pięć lat nie ruszano. Trzeba było wyraźnego upomnienia z Moskwy, by Ulbricht nakazał, aby miasto Stalinstadt zmieniło nazwę na Eisenhüttenstadt, i polecił ciche zdemontowanie monumentów wodza. W ciągu jednej nocy, 13 listopada 1961 r., mieszkańcy berlińskiej Stalin-Allee szli spać ze starą nazwą, by obudzić się na Karl-Marx-Allee. Pomnik pod osłoną nocy zdemontowano, a później przetopiono. Ze spiżu wykonano rzeźby dla wschodnioberlińskiego zoo – w dzielnicy Friedrichsfelde – przedstawiające antylopę wapiti i goryla. Berlińczycy jeszcze długo po cichu opowiadali sobie, że nocny stróż obchodzący zoopark w okolicach północy słyszał, jak z rzeźby goryla dochodzić miał wściekły ryk upokorzonego ducha Stalina.

A władca NRD, Walter Ulbricht, choć zgodził się na koniec kultu krwawego Gruzina, to nie uznawał za stosowne, by przyznać się, że coś uległo zmianie. Gdy w trakcie wywiadu z jednym z zachodnich dziennikarzy lider SED został zapytany o koniec kultu jednostki, Ulbricht odparł bez mrugnięcia okiem: „U nas, w NRD, nie było i nie ma potrzeby destalinizacji, bo nigdy nie było u nas stalinizmu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

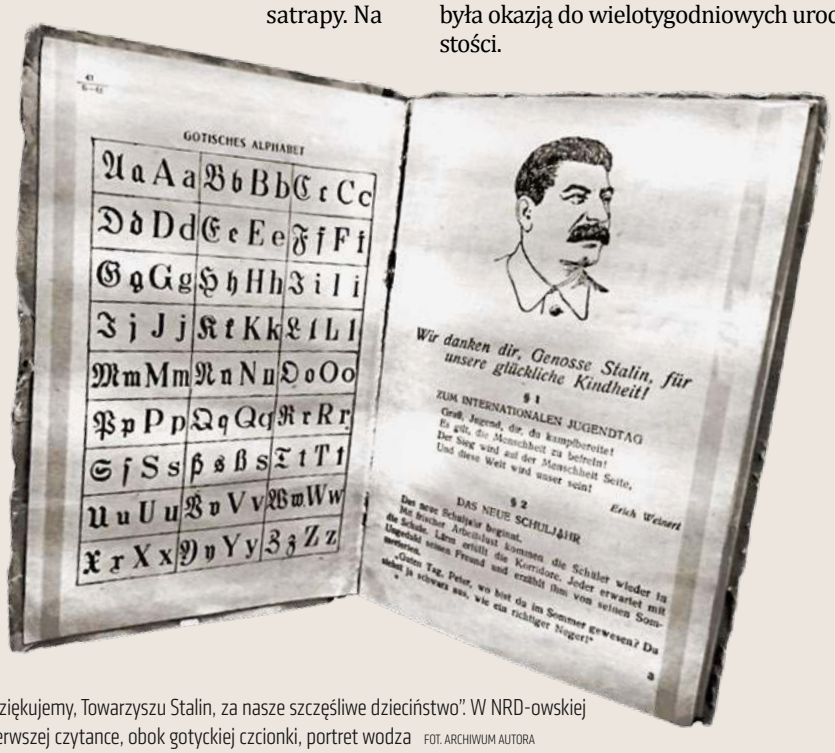

„Dziękujemy, Towarzyszu Stalin, za nasze szczęśliwe dzieciństwo". W NRD-owskiej pierwszej czytance, obok gotyckiej czcionki, portret wodza FOT. ARCHIWUM AUTORA

Wystawa „Czerwony Bóg – Stalin i Niemcy" znajduje się na terenie Miejsca Pamięci Narodowej Berlin-Hohenschönhausen i potrwa do 30 czerwca 2018 r. Szczegóły (po polsku) na stronie: www.stiftung-hsh.de/assets/Uploads/Flyer-GD-H-SH-Polnisch.pdf.

eprasa.pl 7f4145e991

HISTORIA

Skazy na książkach

Książka Piotra Zychowicza nie odkrywa niczego nowego o żołnierzach wyklętych. Autorowi najprawdopodobniej chodziło o wywołanie sensacji i zwyczajny lans

Danuta Siedzikówna „Inka"

Jan Bóryszewicz „Krysia"

Lisa Tarasiuk

Kazimierz Kamieński „Huzar"

Zbigniew Bagocha „Zbigniew"

Obchody Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Krakowie, 4 marca 2018 r.

90 RZECZY TYGODNIK LUCEORUM

12/2018

POLEMIKA Z KSIĄŻKĄ „SKAZY NA PANCERZACH"

LIGA REPUBLIKAŃSKA I FUNDACJA PAMIĘTAMY

Najnowsze publikacje dotyczące podziemia antykomunistycznego

FOT. TRAX

Piotr Zychowicz

Historia żołnierzy wyklętych ma blaski i cienie. Należy pisać o nich prawdę

Miłość jest ślepa

Kupą, mości panowie, kupą! – w ten sposób dodawali sobie animuszu bohaterowie „Trylogii" Henryka Sienkiewicza. Słowa te przyszły mi na myśl, gdy czytałem artykuł na temat mojej książki „Skazy na pancerzach" podpisany przez Kazimierza Krajewskiego, Tomasza Łabuszewskiego i Piotra Niwińskiego („Do Rzeczy", nr 12/2018).

Chociaż moi szacowni adwersarze zastosowali zasadę „trzech na jednego", to głównym autorem tekstu jest – jak mniemam – dr Kazimierz Krajewski. Charakterystyczny dla tego badacza pełen jadu i inwektyw styl jest nie do podrobienia.

Artykuł dr. Krajewskiego to nie merytoryczna recenzja. To zlepek epitetów, niegodnych sugestii i uszczypliwości. Jest w nim bardzo dużo emocji i awersji. Za to mało argumentów. Obelgi zaś z reguły mają kamuflować bezsilność. Nie ten bowiem ma słuszność, kto głośniej krzyczy i wygraża, ale ten, kto potrafi swoje stanowisko bardziej przekonująco uargumentować.

Główna teza tekstu dr. Krajewskiego i jego kompanii jest prosta: Zychowicz, pisząc „Skazy na pancerzach", kierował się chęcią zysku. Otóż pudło, panowie. Nie o pieniądze tu idzie. Głównym motywem napisania książki była głęboka niezgoda na uprawianie historii w taki sposób, w jaki robi to Kazimierz Krajewski.

Tak, to właśnie dr Krajewski jest ojcem chrzestnym „Skaz na pancerzach". To po przeczytaniu jego prac uznałem, że muszę napisać tę książkę. Gdyby dr Krajewski potrafił w uczciwy sposób skonfrontować się z czarnymi kartami epopei żołnierzy wyklętych, gdyby potrafił zdobyć się na historyczny obiektywizm – „Skazy" nigdy by nie powstały.

O co chodzi? O patrzenie na historię ojczystą przez biało-czerwone okulary. Aby nie być gołosłownym – poniżej kilka przykładów.

„ŁUPASZKA" I „BURY"

W książce „»Łupaszka«, »Młot«, »Huzar«" (Warszawa 2002, współautor Tomasz Łabuszewski, s. 15–16) dr Krajewski tak pisze o odwetowym rajdzie 5. Brygady Wileńskiej AK na Litwę, do którego doszło 23 czerwca 1944 r.: „Zaatakowano wieś Dubinki, gdzie w ufortyfikowanym dworze mieściła się załoga policji litewskiej. Podczas uderzenia na wieś oprócz członków policji zabito jednak także osoby cywilne".

Czytelnik ma odnieść wrażenie, że w Dubinkach doszło do walki z owym „ufortyfikowanym" posterunkiem policji. W rzeczywistości do żadnej walki nie doszło, bo posterunku w Dubinkach w czerwcu 1944 r. nie było… Został zlikwidowany kilka miesięcy wcześniej. Żołnierze 5. Brygady chodzili od chału-

eprasa.pl 7f4145e991

py do chałupy i metodycznie mordowali wyrwane ze snu litewskie rodziny.

Kazimierz Krajewski napisał, że w Dubinkach „łącznie zginęło 27 Litwinów, w tym oprócz policjantów także kobiety i dzieci". Proporcje były jednak zupełnie inne. Polacy zgładzili w tej miejscowości dziewięć kobiet i dwanaścioro dzieci – łącznie 81 proc. wszystkich ofiar. A policjanta… ani jednego.

Kazimierz Krajewski nie napisał również o tym, że pacyfikacja Dubinek była tylko jednym z epizodów rajdu odwetowego. Żołnierze 5. Brygady podobnych zabójstw dokonali jeszcze w kilku miejscowościach, m.in. Reputanach i Ołkunach. A ofiar było w sumie co najmniej 66.

W Dubinkach 5. Brygada Wileńska AK zabiła cywilów – dziewięć kobiet i dwanaścioro dzieci FOT. WIKIPEDIA

POTOKA

Poważne zastrzeżenia budzi również zawarty w tej samej monografii (s. 157–158) opis spalenia białoruskiej wsi Potoka. Tu już nie zgadza się niemal nic. Kazimierz Krajewski i Tomasz Łabuszewski napisali, że 20 maja 1945 r. szwadron 5. Brygady Wileńskiej AK spalił tę miejscowość, rozstrzeliwując przy tym trzech mężczyzn i jednego wyrostka.

W rzeczywistości do ataku doszło dwa dni później, bo 22 maja. A wspomniana czwórka została zastrzelona podczas pierwszego najścia na Potokę 16 maja. Kto więc zginął 22 maja? Rodzina Gierasimczuków. Trójka dzieci – Gienia, Nina i Władzio – spłonęła żywcem w jednej z podpalonych przez polskich partyzantów chałup. A ich wujek Michał Gierasimczuk po kilku dniach zmarł z powodu rozległych poparzeń.

O tej przerażającej tragedii z książki Krajewskiego i Łabuszewskiego czytelnik się jednak nie dowie. Akcja na Potokę została przez autorów opatrzona następującym komentarzem: „Zaszła konieczność ukarania tamtejszej skomunizowanej ludności wysługującej się NKWD i władzom bezpieczeństwa". W jaki sposób NKWD wysługiwała się malutka Gienia Gierasimczuk – doprawdy trudno dociec.

Inny przykład to artykuł Kazimierza Krajewskiego „Kapitan Romuald Rajs »Bury« a Białorusini – fakty i mity" opublikowany w 2016 r. na łamach periodyku „Glaukopis" (nr 33, s. 93–115, współautor Grzegorz Wąsowski).

Tematem tekstu jest pacyfikacja pięciu wsi – Zaleszan, Wólki Wygonowskiej, Zań, Szpaków i Końcowizny. A także egzekucja białoruskich furmanów pod Puchałami Starymi. Mordy te pochłonęły ok. 80 ofiar i zostały dokonane na przełomie stycznia i lutego 1946 r. przez żołnierzy „Burego".

Mimo że IPN uznał te wydarzenia za „zbrodnie o znamionach ludobójstwa", dr Krajewski robi wszystko, by wybronić swoich bohaterów. Jak? Przerzucając odpowiedzialność ze sprawców na ofiary. I tak dowiadujemy się, że cywile – w tym malutkie dzieci! – którzy zostali spaleni żywcem w Zaleszanach, sami „narazili się na utratę życia i zdrowia". Dlaczego? Bo schowali się we własnych domach przed partyzantami.

PUCHAŁY STARE

Podobnie rzecz się ma z 27 furmanami rozstrzelanymi pod Puchałami Starymi. Doktor Krajewski napisał, że cywile ci byli sami sobie winni. Rzekomo bowiem rozmawiając z żołnierzami „Burego", zwierzyli się ze swej miłości do komunizmu. Jest to fantazja sprzeczna z logiką i znanymi źródłami historycznymi.

Nie inaczej jest w przypadku pacyfikacji Zań. Kazimierz Krajewski stwierdził – tak, domyślają się państwo – że winę za tragedię ponoszą mieszkańcy tej miejscowości. Uzbrojeni Białorusini mieli bowiem otworzyć ogień do nadchodzących partyzantów. Ci odpowiedzieli ogniem i zbłąkane kule trafiły białoruskich cywilów.

To nieprawda. Wiadomo, że do polskiego oddziału strzelał jeden Białorusin Władysław Antoniuk. Oddał on kilka strzałów i wszystkie były niecelne. Następnie rozsierdzeni tym partyzanci wkroczyli do Zań, oddzielili Polaków od Białorusinów i tych drugich rozstrzelali. W sumie ponad 20 osób, w tym dzieci. Pacyfikacja była bestialska. Jedna dziewczyna otrzymała postrzał w otwarte usta.

„Z zeznań większości mieszkańców Zaleszan wynika – napisał Kazimierz Krajewski – że partyzanci »Burego« strzelali także do kobiet i dzieci uciekających z płonących zabudowań, a swoje ofiary wrzucali do ognia. Nie dajemy wiary tym relacjom. Uznajemy je za nieprawdziwe, dyktowane zapotrzebowaniem propagandy komunistycznej, a także głęboką niechęcią czy wręcz nienawiścią świadków do partyzantów".

Napisanie czegoś takiego to dla historyka kompromitacja. Praca badacza polega bowiem na konfrontowaniu ze sobą źródeł rozmaitej proweniencji. Doktor Krajewski źródła, które nie pasowały mu do z góry ustalonej tezy, po prostu odrzucił.

Zdumiewające jest stwierdzenie, że relacje ocalałych Białorusinów są kłamliwe, bo ofiary „darzyły głęboką niechęcią" swoich oprawców.

Czy dr Krajewski uznaje zatem, że kłamliwe są relacje Polaków ocalałych z ludobójstwa na Wołyniu? Czy

eprasa.pl 7f4145e991

uznaje, że kłamliwe są relacje Polaków ocalałych z Auschwitz? Czy uznaje, że kłamliwe są relacje Polaków ocalałych z łagrów?

Doktor Kazimierz Krajewski stosuje zupełnie inne kryteria wobec polskich uczestników wydarzeń, a inne wobec uczestników niepolskich. Jest to metoda niedopuszczalna. Historyk musi być bowiem bezstronny.

Za każdym razem, gdy dr Krajewski pisze o zbrodniach popełnianych przez podziemie, stara się je usprawiedliwić, pomniejszyć ich skalę i okrucieństwo lub przerzucić odpowiedzialność na ofiary. O tych ostatnich pisze z niechęcią i pogardą. Empatię zachowuje zaś tylko dla ofiar polskich. Z czysto ludzkiego, moralnego punktu widzenia jest to niedopuszczalne.

TESTAMENT BOBRZYŃSKIEGO

W świetle przytoczonych wyżej przykładów zarzuty wysunięte pod moim adresem przez dr. Krajewskiego brzmią jak żart. Oskarża mnie on bowiem o… brak etyki, manipulacje czy wręcz kłamstwa.

To pomówienia. Żadnych manipulacji – w przeciwieństwie do prac Kazimierza Krajewskiego – w mojej książce nie ma. Są za to oczywiście drobne błędy. Każdy autor doskonale wie, że przy pisaniu tak obszernej pracy trudno ich uniknąć.

Dwie z takich pomyłek Kazimierz Krajewski mi wytknął. Raz pomyliłem imię partyzanta, innym razem w ślad za autorami tomu źródeł „Wyklęci. Podziemie zbrojne 1944–1963" (Warszawa 2013, s. 44–45) przytoczyłem nieco skrócony fragment partyzanckiego wspomnienia.

Są to jednak niewielkie, techniczne błędy, które w żaden sposób nie wypaczają podstawowych faktów historycznych. Zbrodnie, których dotyczą obie relacje, wydarzyły się bowiem naprawdę.

Jeden z czytelników tekstu dr. Krajewskiego – nawiasem mówiąc, nasz wspólny znajomy – zadzwonił do mnie po jego przeczytaniu. Był zdumiony. „Czy on w ogóle czytał twoją książkę?" – zapytał. Jest to pytanie, które nurtuje również mnie. Momentami można bowiem odnieść wrażenie, że historyk polemizuje z zupełnie inną książką.

Doktor Krajewski zarzuca mi, że nie napisałem, iż oparłem się na badaniach innych historyków – a ja w książce wyraźnie napisałem, że oparłem się na badaniach innych historyków.

Doktor Krajewski zarzuca mi, że z niecnych pobudek zrezygnowałem z aparatu naukowego – a w książce wyraźnie piszę, że „Skazy" nie mają charakteru naukowego, są publicystyką historyczną.

Doktor Krajewski zarzuca mi, że wpisuję się w mit komunistycznej propagandy mówiący o zbandyceniu powojennej konspiracji – a ja w swojej książce z tym mitem się w zdecydowany sposób rozprawiam.

Doktor Krajewski zarzuca mi, że nie piszę, iż zbrodnie podziemia były marginesem potępianym i tępionym przez dowództwo – ja w swojej książce wyraźnie piszę, że zbrodnie podziemia były marginesem potępianym i tępionym przez dowództwo.

Naprawdę nie wiem, na co liczył dr Krajewski. Że nie pamiętam, co napisałem we własnej książce? A może na to, że czytelnicy „Do Rzeczy" nie sięgną po „Skazy" i ograniczą się tylko do przeczytania jego połajanki? Doprawdy trudno to zrozumieć.

Na koniec pozwolę sobie na taki sam zabieg, na jaki pozwolił sobie dr Krajewski. Czyli spróbuję zastanowić się nad motywami mojego adwersarza.

Jeżeli chodzi o atak na „Skazy na pancerzach", sprawa jest jasna – jest to odwet za to, że ośmieliłem się polemizować z Kazimierzem Krajewskim na kartach książki i wyrazić własne zdanie. To wyraźnie rozsierdziło historyka.

Ciekawsze jest jednak pytanie: Dlaczego dr Krajewski nie potrafi w obiektywny, bezstronny sposób pisać o zbrodniach dokonywanych przez podziemie? Pierwszy powód jest oczywisty i powszechnie znany w środowisku naukowym. Otóż badacz ten zbyt blisko związał się ze środowiskami kombatanckimi. Ba, sam – chociaż urodził się w 1955 r. – jest działaczem kombatanckim.

ŻARLIWY PATRIOTA

Doktor Krajewski piastuje funkcję prezesa Okręgu Nowogródek Światowego Związku Żołnierzy AK. A to w zasadzie wyklucza historyczny obiektywizm. Posiadając tak bliskie powiązania z weteranami, historyk siłą rzeczy stara się bowiem pisać w taki sposób, aby spełniać ich oczekiwania. Jest to forma autocenzury.

Ważniejszy wydaje mi się jednak drugi powód. Jak państwo pamiętają, dr Krajewski przypisał mi najgorsze możliwe intencje. Ja nie zamierzam mu odpowiadać w podobnie obelżywy sposób.

Uważam więc, że głównym motywem postępowania Kazimierza Krajewskiego jest… miłość. Tak, właśnie miłość. Doktor Krajewski jako żarliwy patriota i amator podziemia po prostu z całej duszy miłuje swoich chłopców z lasu. I właśnie ta miłość uniemożliwia mu trzeźwy osąd i nakazuje zamiatać pod dywan fakty, które mogłyby rzucić cień na obiekty jego afektu.

Tego samego wymaga również od innych. A jeżeli ktoś – tak jak niżej podpisany – tego wymagania nie spełnia, dr Krajewski wpada w pasję. I obiektu swojej miłości broni jak lew, posuwając się nawet do uderzeń poniżej pasa. Wcześniej podobne zabiegi jak wobec mnie stosował wobec Pawła Rokickiego, autora znakomitych „Glinciszek i Dubinek".

Takie zjawisko w naszej debacie publicznej to nic nowego. Pisał o nim już w 1879 r. Michał Bobrzyński, jeden z przedstawicieli konserwatywnej krakowskiej szkoły historycznej: „»Historyk powinien przystępować z miłością do pisania dziejów swojego narodu« – jest to frazes, który niczego nie dowodzi, niczego nie wyjaśni, a który ma historykowi służyć tylko za pozór do sprzeniewierzenia się swojemu posłannictwu. Co ma tu do czynienia miłość? Miłość jest ślepa. Miłość przysłoniłaby tylko historykowi bystrość i przenikliwość jego wzroku, ograniczyła widnokrąg jego myśli, zniżyła niezmiernie stanowisko. I to miłość ta ma być potrzebna tylko wówczas, jeśli się pisze dzieje własnego narodu. A zatem jest to miłość, która zakryć ma prawdę.

Ci, którzy miłości od historyka żądają, nie wahają się też, wcześniej czy później, zażądać, ażeby o ujemnych stronach przeszłości albo milczał, albo je osłaniał, usprawiedliwiał".

Ja przed takim żądaniem potrafię się nie ugiąć. A Kazimierz Krajewski nie potrafi. I to jest istotą naszego sporu. Jako polski konserwatysta uważam się za ideowego spadkobiercę prof. Michała Bobrzyńskiego i całej krakowskiej szkoły historycznej. Podobnie jak mój adwersarz darzę wielkim szacunkiem żołnierzy wyklętych. Ale na pierwszym miejscu stawiam prawdę i bezstronność.

PIOTR ZYCHOWICZ „SKAZY NA PANCERZACH" REBIS

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Daniel Kawczynski przemawia podczas uroczystości wręczenia nagród im. Żabińskich dla Polaków ratujących Żydów podczas II wojny światowej, Warszawa, 18 września 2017 r.

FOT. WOJTEK RADWAŃSKI/AFP PHOTO/EAST NEWS

MARCIN MAKOWSKI: Siłą rzeczy wiele mówi się ostatnio na temat relacji dyplomatycznych pomiędzy Polską a Izraelem albo Polską a USA, zapominając przy tym o europejskim podwórku i stosunkach z Wielką Brytanią. Jak pana zdaniem będzie wyglądać nasza współpraca po brexicie?

DANIEL KAWCZYNSKI: Wyjście Wielkiej Brytanii z Unii niewiele pod tym względem zmienia. Unia jako twór polityczny stworzony po II wojnie światowej powoli przeżywa swoją epokę. Jestem przekonany, że za naszego życia zobaczymy jeszcze inne „exity" i świat się po nich nie zawali. Dzisiaj my przecieramy szlaki i jestem absolutnie przekonany, że wyjdziemy na tym dobrze.

Polska też powinna się szykować?

Każde społeczeństwo musi podejmować tak ważne decyzje suwerennie, ale z rzeczywistością nie da się boksować w nieskończoność. Przez kilkadziesiąt lat próbowaliśmy zmienić Unię. Nie wyszło. Tymczasem ok. 95 proc. światowego PKB pochodzi spoza obszaru Unii Europejskiej. Kraje takie jak Brazylia, Indie, Indonezja, Chiny to jest przyszłość wymiany handlowej, na którą musimy być gotowi. Musimy myśleć globalnie.

I nie da się takiej wymiany prowadzić skutecznie wewnątrz Unii, która ma większą siłę nacisku jako wspólnota niż jej poszczególni członkowie?

Moim zdaniem to fałszywe założenie. Przecież każde z państw członkowskich ma swoje własne priorytety, inaczej definiuje długoterminowe interesy. Ułożenie ich we wspólną całość to często długotrwały i żmudny proces. Idea pt. „Razem mamy większą siłę przebicia" nie zawsze przekłada się na pragmatykę dyplomacji. Niech pan spojrzy na Szwajcarię, która wynegocjowała prawie tak samo dobre relacje handlowe z Chinami jak Unia. Dlaczego? Ponieważ mogła to robić suwerennie i na własnych zasadach. Nie ma w polityce ważniejszej wartości niż suwerenność, która działa również od dołu. To ludzie mogą nas wybrać i odwołać, podczas gdy nie mają żadnego wpływu na wybór liderów wspólnoty europejskiej, którzy de facto mają ogromny wpływ na ich życie.

I po zbawiennych skutkach brexitu wszyscy nagle otworzą oczy, a Bruksela zadrży w posadach?

Oczywiście tak się nie stanie, ale jesteśmy na prostej drodze do stworzenia dwóch Europ. Jednej, która zamieni się w rodzaj superpaństwa ze wspólną

eprasa.pl 7f4145e991

walutą oraz polityką zagraniczną, i drugiej, która będzie ze sobą współpracować w dziedzinie handlu i obronności, ale resztę kompetencji pozostawi rządom narodowym. W Wielkiej Brytanii ludzie mieli już po prostu dosyć unijnych biurokratów, którzy nie ponosili właściwie żadnej odpowiedzialności za swoje decyzje, usprawiedliwiając sens swojego istnienia poprzez centralizację coraz większej władzy we własnych rękach. Przez kilkadziesiąt ostatnich lat staraliśmy się, aby Unia powróciła do swoich ekonomicznych korzeni. Dziwi mnie, dlaczego politycy nie wyciągają wniosków dotyczących podstaw kryzysu wspólnoty europejskiej poprzez obserwację sukcesu idei NATO.

Mówi pan o sojuszu północnoatlantyckim w samych superlatywach, ale przynależenie do niego również wpływa na wyzbycie się części suwerenności. Załóżmy, że kraje bałtyckie zostają jutro zaatakowane. Wielka Brytania musi im wtedy ruszyć z pomocą, a być może interes narodowy podpowiadałby zdystansowanie się od walki. Czym to się różni od idei unijnych?

Prostą rzeczą – w przypadku sojuszu dokładnie wiemy, na co się piszemy, i mamy świadomość zaciągniętych zobowiązań. W każdym momencie możemy również się z nich wycofać, jeśli tak zażyczą sobie nasi wyborcy. Dlaczego do tej pory nie miałem od żadnego z nich skargi na NATO, a nieustannie napływają zażalenia na urzędników unijnych? Ponieważ zysk ze wspólnej obrony, np. przed zakusami Rosji, jest dosyć oczywisty i leży w interesie nas wszystkich. Natomiast dofinansowywanie niemieckich stoczni czy ratowanie z tarapatów finansowych Grecji już takie oczywiste nie jest. Niedługo Polacy przekonają się o tym w bolesny sposób. Wasza gospodarka rośnie tak szybko, że w ciągu pięciu lat z beneficjenta zamienicie się w płatnika, który dorzuca pieniądze do wspólnej kasy. Kiedy przyjdzie ten moment, wszystko się zmieni, ponieważ politycy będą musieli wytłumaczyć społeczeństwu, że ich podatki są dobrze wydawane. Gdy czasy wzrostu się skończą, a dług publiczny zacznie rosnąć, takie tłumaczenia przerodzą się w ekwilibrystykę.

Straszny z pana pesymista.

Raczej realista. Weźmy inny przykład – Nord Stream 2. Gdyby Unia faktycznie gwarantowała bezpieczeństwo gospodarcze i energetyczne za koszt oddania części suwerenności, to pół biedy. Jednak przecież jej największy gracz – Niemcy – zupełnie wprost lobbuje za gazociągiem, który leży w interesie Rosji i zagraża bezpieczeństwu energetycznemu centralnej i wschodniej Europy. Równocześnie Niemcy lobbują przeciw lokalizacji stałych baz wojskowych NATO w Polsce.

Pana zdaniem Berlin działa przeciwko interesowi innych członków Unii?

Myślę, że to prostsze. Wykorzystując siłę Unii, Berlin działa przede wszystkim w swoim interesie. Ani relokacja baz z ich terytorium, ani dostawy gazu i paliw przez Europę Środkową takimi interesami nie są.

Z Danielem Kawczynskim, brytyjskim parlamentarzystą
rozmawia Marcin Makowski

Próbowaliśmy zmienić Unię. Nie wyszło

To znaczy?

NATO to najskuteczniejszy sojusz międzypaństwowy w historii świata, który do tej pory idealnie wywiązał się ze swojej roli – obrony państw członkowskich przed agresją z zewnątrz – jednocześnie nie przypisując sobie coraz większego zakresu kompetencji. Gdy brexit już się w pełni dokona, Wielka Brytania będzie szóstym państwem zaangażowanym w obronę Starego Kontynentu, który jednocześnie nie jest członkiem Unii. Pozostałe państwa to Kanada, USA, Turcja, Norwegia i Islandia – w większości potężne armie oraz strategicznie ulokowane bazy. Tak zaprojektowany sojusz, który umie ograniczyć swój apetyt do kontrolowania każdego aspektu wydatków zbrojnych własnych członków, równocześnie w 100 proc. wypełnia powierzoną mu rolę, którą Unia chce dublować chybioną, a wręcz niebezpieczną ideą „armii europejskiej".

Podczas rozdania Nagrody im. Żabińskich w Warszawie w zeszłym roku stwierdził pan, że Niemcy powinni wypłacić Polsce reparacje wojenne. Nadal podtrzymuje pan to stanowisko?

Oczywiście. Ta sprawa ciągnie się niezałatwiona przez dekady i nawet po odzyskaniu przez Polskę suwerenności ciąży na wzajemnych relacjach. Również bycie członkiem Unii Europejskiej niespecjalnie w odzyskaniu należności pomogło. Sądzę, że kwestia reparacji powinna być rozstrzygnięta przez niezależny i międzynarodowy sąd. Często rozmawiam na ten temat z posłem Arkadiuszem Mularczykiem i nie potrafię przejść do porządku dziennego nad niesprawiedliwością, która dotknęła Polskę, w której się urodziłem i której czuję się w obowiązku bronić. W zamian Niemcy rozgrywają przy okazji reparacji inne państwa Wspólnoty, np. Grecję, byłą Jugosławię czy Włochy, które domagają się analogicznych i należnych odszkodowań.

eprasa.pl 7f4145e991

Gdzie tutaj dobre intencje sojuszniczego Berlina? To skandal, że tamtejsi politycy zrobią w białych rękawiczkach wszystko, byle nie zadośćuczynić sprawiedliwości. Członkowie mojej rodziny zostali zamordowani przez Niemców, ich armia równała z ziemią polskie miasta – dzisiaj niektórzy wolą po prostu zagłuszyć temat, mówiąc o zagrożeniu rządów prawa w Polsce.

Pana zdaniem nie ma podstaw, aby czuć zaniepokojenie stanem polskiej demokracji?

Nie ma. Polska jest wolnym krajem, ludzie wybrali obecny rząd, który pomimo trudnych reform nadal utrzymuje wysokie poparcie. Tam, gdzie trzeba, Sejm, Senat i prezydent czuwają nad przestrzeganiem konstytucji, były przecież weta Andrzeja Dudy. Ustawy przegłosowywane są w sposób zgodny z prawem. Jeśli Polacy uznają, że coś idzie w złym kierunku, to nie będą potrzebować rezolucji unijnych, aby wyrazić swoje niezadowolenie podczas wyborów samorządowych, parlamentarnych, a później prezydenckich. Naprawdę nie jesteście niczyim podwładnym, żeby trzeba było wam mówić, co jest dla was dobre.

Czy pana zdaniem zamieszanie dyplomatyczne wokół nowelizacji ustawy o IPN może utrudnić proces domagania się reparacji? Czy te dwie sprawy są ze sobą połączone?

Problemy dyplomatyczne z USA i Izraelem na pewno nie pomogą, ale chyba najwyższa pora, aby reszta świata postarała się zrozumieć także polską perspektywę. Tak jak wspomniałem, brat mojego dziadka został rozstrzelany wraz z rodziną za ukrywanie Żydów, w podobny sposób ucierpiały dziesiątki tysięcy polskich rodzin. Nie ma chyba nikogo w Polsce, kto nie straciłby kogoś w trakcie wojny wywołanej przez Rzeszę Niemiecką. Jak zauważył premier Morawiecki, „Arbeit Macht Frei" to nie są polskie słowa i nie Polacy powinni przepraszać za Holokaust oraz obozy zagłady. Żadne państwo nie straciło również procentowo tak wielu obywateli jak Polska. Żadne naciski i zła prasa nie zmienią historii.

Jeśli mamy argumenty historyczne, a prawda jest po naszej stronie, w jaki sposób w ogóle doszło do sytuacji, w której Kneset oskarża Polskę o negowanie Holokaustu, a Stany Zjednoczone domagają się poprawek do ustawy pozwalającej ścigać za przypisywanie polskiemu państwu zbrodni niemieckich?

Nie wiem, jak do tego doszło, ale jestem przekonany, że Polska nie może się teraz wycofać. Bez względu na to, jak silna będzie presja, trzeba zachować obecną linię i bronić własnego prawa do pamięci historycznej. Szczególnie w obliczu przerażającej kampanii oszczerstw, filmików w stylu „polski Holokaust", pisaniu o „polskich obozach". Polska ma dzisiaj niezwykle ważną rolę do odegrania w odkłamywaniu mitów o II wojnie światowej. Mówiłem na ten temat jakiś czas temu w Izbie Gmin, gdy mieliśmy debatę na temat Holokaustu.

Polska ma moralny obowiązek walczyć w obronie swoich interesów, a jednym z nich jest pilnowanie, aby nikt nie zakłamywał przeszłości

I jakie były reakcje?

Niestety, w wielu przypadkach negatywne albo przedstawiające zakłamany obraz przeszłości. Nieustannie walczę w tej sprawie, interweniowałem nawet u dyrektora generalnego BBC, aby pod żadnym pozorem nie mówić o obozach zagłady bez przymiotnika „niemieckie". Polska ma moralny obowiązek walczyć w obronie swoich interesów, a jednym z nich jest pilnowanie, aby nikt nie zakłamywał przeszłości, ponieważ z takich sytuacji rodzi się później podważanie aktualnej pozycji międzynarodowej danego państwa. Izrael odrobił tę lekcję. Często jeżdżę na spotkania z uczniami w moim okręgu na temat polskiej historii i widzę, o jakiej skali problemu mówimy. Młodzież nie ma pojęcia na temat prawie tysiąca lat wspólnej historii polsko-żydowskiej, wie bardzo niewiele na temat II wojny, autentycznych strat i cierpień swojego sojusznika. Dlatego nie wolno zostawić tej sprawy samej sobie. Również w Wielkiej Brytanii postanowiliśmy coś z tą niewiedzą zrobić, co roku wysyłając tysiące uczniów na wyjazdy edukacyjne do Auschwitz.

Tylko czego podczas takiej podróży dowiadują się oni o współczesnej Polsce? Izraelska młodzież też odwiedza nasz kraj, ale często nie wychodzi poza kontekst ziemi, na której dokonała się Zagłada.

Oczywiście wyjazdy są tak pomyślane, aby pokazywać również bogactwo kultury i historii kraju, zwiedzać np. Kraków, ale nikt nie weźmie na siebie odpowiedzialności Polski za przekazywanie prawdy o swoich dziejach. Czasami w polityce trzeba grać twardo, choć krótkodystansowo upór może sporo kosztować. Ustawa o IPN to jeden z tych momentów.

Czy sądzi pan, że polscy politycy dobrze komunikują motywacje leżące za nowelizacją ustawy za granicą? Może tutaj mamy największy problem? „Prawo moralne w nas", ale komunikacja daleko w polu?

Na pewno można to robić lepiej, ale naiwnością jest uważać, że przekona się opinię publiczną w weekend. Przecież obecny stan rzeczy to dziesiątki lat zapóźnień komunikacyjnych, fałszywa wizja historii z czasów PRL itd. Jest jednak prawdą, że polscy politycy muszą nabrać nieco odwagi. Od dawna proponuję każdemu, że zorganizuję w brytyjskim parlamencie publiczne spotkanie na temat ustawy, zapraszam wszystkich parlamentarzystów, aby próbowali wytłumaczyć, o co walczą. Brakuje niestety anglojęzycznego PR-u i poważnej międzynarodowej współpracy polskiego rządu z Polonią i przyjaciółmi Polaków.

A co, jeśli nawet nasi sojusznicy, Amerykanie, mają problem ze zrozumieniem tych racji?

Trudno. Może trzeba tłumaczyć cierpliwiej i skuteczniej? Przypomnieć, jak zachowała się Polska w głosowaniu na forum ONZ za uznaniem Jerozolimy stolicą Izraela? Zarówno Londyn, jak i Warszawa będą się w wielu aspektach nie zgadzać z polityką Waszyngtonu i odwrotnie, ale tutaj wracamy do punktu wyjścia naszej rozmowy. Na tym polegają ciężar i przewaga suwerenności, że każde państwo na własną rękę szuka porozumienia ze swoimi partnerami i robi to na swoich zasadach. Ostatecznie na tym polegają dyplomatyczna niezależność oraz dojrzałość i wierzę, że Polska będzie konsekwentnie kroczyć właściwą drogą. ©℗

Daniel Kawczynski – członek Partii Konserwatywnej, pierwszy brytyjski parlamentarzysta urodzony w Polsce. Były specjalny doradca premiera Davida Camerona.

eprasa.pl 7f4145e991

Dżihadyści nadciągają

Witold Repetowicz

Upadek Państwa Islamskiego w Iraku i Syrii już doprowadził do masowych powrotów dżihadystów, a także ich żon i dzieci do Europy. Irak zapowiada, że tych, których nie powiesi za zbrodnie popełnione w służbie PI, odeśle do krajów ich pochodzenia. A Europa i organizacje humanitarne nie chcą, by Irak kogokolwiek wieszał

W Syrii tysiące dżihadystów znalazło się w rękach Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF). Tutaj nie ma mowy o żadnych egzekucjach, bo syryjscy Kurdowie starają się dbać o swój wizerunek na Zachodzie i znieśli karę śmierci. Jednak inwazja turecka na Afrin spowodowała, że SDF nie mają ani środków, ani motywacji do tego, by schwytanych terrorystów pilnować. Europejscy „foreign fighters" są też w Turcji, która może ich znów wykorzystywać do szantażu wobec Europy. Ponadto setki rosyjskojęzycznych dżihadystów z byłego ZSRS wracają nie do siebie, lecz na Ukrainę.

Ocenia się, że do Państwa Islamskiego w Syrii i Iraku dołączyło ok. 40 tys. ochotników z zagranicy, w tym ok. 6,5 tys. z Europy i ok. 3,4 tys. z Rosji. Jednak poza mężczyznami, których celem była walka z Irakijczykami i Syryjczykami oraz wysadzenie się w powietrze, jechały tam także kobiety, chcące wyjść za mąż za islamskiego wojownika, urodzić mu dzieci i wychować je na porządnych dżihadystów. Według raportu The Soufan Center, opublikowanego w październiku ubiegłego roku, 4 tys. kobiet i dzieci wyjechało z krajów Unii Europejskiej do Syrii i Iraku, z Rosji zaś (oraz innych krajów byłego ZSRS) co najmniej 4,5 tys. Do tej liczby należy jednak dodać dzieci, które urodziły się już tam, na miejscu. A rodziło się ich sporo. Według niektórych szacunków, aż 5 tys. dzieci urodziło się ze związków miejscowych kobiet z „foreign fighters". Niektóre z tych sierot są „pół-Europejczykami" i ich matki starają się wyjechać z nimi do Europy. Przy czym to, czy ich ojcowie naprawdę zginęli, czy też będą chcieli w przyszłości dołączyć do swych pociech, pozostaje kwestią otwartą.

UKRAIŃSKI AZYL

Wbrew oczekiwaniom znaczna część tych zagranicznych bojowników nie zginęła w walkach, a co najmniej 1,2 tys. spośród tych, którzy wyjechali z krajów Unii Europejskiej, wróciło do nich. Według International Center for Counter-Terrorism tylko 14 proc. „foreign fighters" pochodzących z UE zginęło, a 30 proc. zdołało już wrócić. Do Rosji powróciło ok. 900 dżihadystów i podobna liczba wróciła również do Turcji, z której wyjechało do Syrii i Iraku ok. 1,5 tys. osób. Kilkaset osób związanych z Państwem Islamskim przedostało się również na Ukrainę.

Obecność ludzi związanych z Państwem Islamskim na Ukrainie nie jest ani niczym nowym, ani zaskakującym. Niestety, jest to bardzo groźne dla Polski. Już w 2015 r. pojawiały się doniesienia o dżihadystycznych oddziałach walczących w Donbasie przeciwko Rosjanom i mających ścisłe powiązania z Państwem Islamskim. Natomiast po tym, jak siły irackie, kurdyjskie i syryjskie przetrąciły „kalifatowi" kręgosłup i zaczął się exodus części jego bojowników oraz kobiet i dzieci, znaczna część rosyjskojęzycznych ekstremistów islamskich wybrała Kijów zamiast Moskwy, Petersburga, Kaukazu czy postsowieckich republik środkowoazjatyckich. Powód jest bardzo prosty. Po pierwsze, nikt ich na Ukrainie nie ściga. Po drugie, mając rosyjskie obywatelstwo, mogą bez trudu dostać się na Ukrainę z Turcji, nie potrzebują bowiem wiz. Po trzecie, wrogie relacje z Rosją powodują, że Ukraińcy nie dysponują danymi na temat przybyszów, które posiada Rosja. Żadnych danych nie przekazuje Ukraińcom również Turcja, co wynika ze współpracy rosyjsko-tureckiej i chęci destabilizacji Europy przez oba te państwa. Powracający z Syrii i Iraku dżihadyści nie traktują bowiem Ukrainy jako ostatecznego celu podróży. Miejsce to idealnie się do tego nadaje, zważywszy na chaos i korupcję tam panujące, jak również na fakt, że ukraińska straż graniczna nie używa elektronicznych baz danych. W lipcu ubiegłego roku Reuters opisywał przypadek Marata

eprasa.pl 7f4145e991

Nurmagomedova, obywatela Federacji Rosyjskiej, pochodzącego z Dagestanu, który po dwóch latach spędzonych w Państwie Islamskim „rozczarował się" i postanowił wrócić. W Rosji czekałoby go 15 lat więzienia, więc wybrał bezpieczną Ukrainę.

Raport o przyjazdach osób związanych z Państwem Islamskim z Turcji na Ukrainę pojawił się też w sierpniu 2017 r. na portalu ukraińskiej telewizji Hromadśke. Stwierdzono w nim, że to, co przekonuje rosyjskojęzycznych dżihadystów Państwa Islamskiego do przyjazdu do tego kraju, to kwestia językowa oraz przekonanie, że na Ukrainie nie grozi im ekstradycja i kraj ten jest przyjazny dla muzułmanów. Hromadśke cytuje przedstawiciela społeczności Nogajów w Turcji, używającego pseudonimu Abu Mansur, który stwierdził, że „Ukraina jest tymczasową przystanią dla tych, którzy utknęli w Turcji", mając oczywiście na myśli osoby marzące o życiu w kalifacie pod surowym prawem szariatu. „Abu Mansur" stwierdza dalej, że nikt z tych ludzi nie myśli oczywiście o pozostaniu na Ukrainie. Wobec zniszczenia Państwa Islamskiego w Syrii i Iraku próba ponownego przedostania się tam nie wchodzi w grę. Zostaje więc wędrówka do Europy. Przez Polskę.

NIKT NIE CHCE TERRORYSTÓW

Co najmniej kilkuset rosyjskojęzycznych terrorystów Państwa Islamskiego może w najbliższym czasie dołączyć do tych, którzy już na Ukrainie są. Jednak niewykluczone, że wykorzystując słabość ukraińskiej kontroli granic, będą tam się chcieli przedostać również obywatele innych krajów Europy, którzy przyłączyli się do Państwa Islamskiego. Na przykład ci, którzy zostaną pozbawieni obywatelstwa państw, z których wyjechali na dżihad. Na razie kroki takie stosuje tylko Wielka Brytania. Jest to oczywiście podejście racjonalne, ale tylko dla Wielkiej Brytanii. Osoby te nie rozpłyną się bowiem w powietrzu, zwłaszcza jeśli pozbawienie obywatelstwa wiąże się z uzyskaniem statusu bezpaństwowca (gdyż było to jedyne obywatelstwo), a w Europie osoby te zostawiły rodziny. Ponadto do końca lipca 2017 r. Wielka Brytania pozbawiła obywatelstwa tylko 152 osoby spośród 850, które ruszyły do Państwa Islamskiego. W tym czasie tylko ok. 15 proc. z nich zginęło, a ok. 400 wróciło do Wielkiej Brytanii, przy czym zatrzymano jedynie garstkę.

Brak spójnej polityki europejskiej wobec powracających „foreign fighters" powoduje, że tak czy inaczej będą oni chcieli się przedostać na nasz kontynent, np. przez Ukrainę i Polskę do Niemiec. Niemcy bowiem poniekąd również są przyjazne wobec islamskich ekstremistów, w tym dżihadystów powracających z wojny w Syrii i Iraku. Nie chodzi o to, że kraj ten ich popiera, chodzi o to, że jest wobec nich bezradny ze względu na swoją polityczną poprawność.

Gdy w lipcu 2017 r. Linda Wenzel, 17-latka z saksońskiego Pulsnitz, została zatrzymana w Mosulu przez wojsko irackie, Niemcy oraz obrońcy praw człowieka zaczęli lamentować, że grozi jej kara śmierci, a irackie sądy na pewno nie będą uczciwe. Linda, o której pisałem dla „Do Rzeczy" w październiku, była oskarżona o to, że była snajperką oraz że należała do specjalnego kobiecego komanda Al-Chansa, czyli policji obyczajowej zmuszającej Irakijki w Mosulu do przestrzegania surowych zasad obyczajowych i bezlitośnie je karzącej za jakiekolwiek „przewinienia". Postępowanie przeciwko Lindzie odbywało się za zamkniętymi drzwiami ze względu na to, że jest nieletnia. Zapewniono w nim natomiast udział przedstawicielom niemieckiej ambasady. Chociaż Lindzie groziła kara śmierci, to dostała tylko sześć lat i otwarta jest kwestia, czy odsiedzi je w Iraku, czy też w Niemczech. Jeśli w Niemczech, to zapewne zostanie ona szybko zwolniona i poddana kosztownym programom „rehabilitacji".

eprasa.pl 7f4145e991

Za pomocą materiałów propagandowych, m.in. tego typu zdjęć, Państwo Islamskie ściągało na dżihad do Syrii fanatyków z całego świata. Ci, którzy przeżyli, wracają teraz do swoich krajów

FOT. DABIQ/ZUMA/FORUM

Irackie władze zapewne chciały uniknąć międzynarodowego spięcia oraz zmasowanej krytyki i dlatego tak łagodnie potraktowały nieletnią niemiecką terrorystkę. Mniej szczęścia miała inna obywatelka Niemiec pochodzenia marokańskiego, która do Mosulu przyjechała z Mannheimu. Ona na irackiej szubienicy zawiśnie. W sądzie toczą się jeszcze sprawy przeciwko trzem innym Niemkom, natomiast w zeszłym roku powieszono obywatelkę Rosji. Władze Iraku nie zamierzają jednak dokonywać masowych egzekucji kobiet Państwa Islamskiego. Nie zamierzają również trzymać u siebie tych, wobec których nie znajdą dostatecznego powodu do zastosowania kary śmierci. Rzecznik prasowy irackiego premiera Saad al-Hadisi zapowiedział niedawno, że Irak zamierza koordynować z krajami pochodzenia repatriację osób zatrzymanych po pokonaniu Państwa Islamskiego, których nie uzna za winnych zbrodni na ludności cywilnej i irackich siłach bezpieczeństwa. Problem w tym, że Europa z jednej strony krytykuje egzekucje terrorystów, a z drugiej strony nie ma ochoty ich brać z powrotem do siebie.

Niedawno grupa kobiet związanych z Państwem Islamskim, mających obywatelstwo francuskie, która została zatrzymana przez Syryjskie Siły Demokratyczne po wyparciu terrorystów z Rakki, pozwała francuski rząd za odmowę repatriacji ich oraz ich dzieci. Dotyczy to m.in. 33-letniej Emilie König, pochodzącej z katolickiej, bretońskiej rodziny. Ta rodowita Francuzka wyjechała na dżihad do Syrii już w 2012 r. i podejrzewana jest, że potem zwerbowała jeszcze ok. 200 kobiet, namawiając je do przyjazdu do Państwa Islamskiego. Teraz chce wracać do domu, tak jak Linda Wenzel, ale Francja jej nie chce. Nie chce jej nawet jej ojciec, który jest policjantem. Tylko że syryjscy Kurdowie też jej nie chcą. Zwłaszcza że gdy ich oddziały pokonały Państwo Islamskie, Europa o nich zapomniała i odwróciła głowę, gdy Turcja zaatakowała Kurdów w regionie Afrin. Teraz kurdyjscy żołnierze jadą walczyć z Turkami i złapanych dżihadystów nie ma kto pilnować. Rezultat jest łatwy do przewidzenia. Na przykład 24 lutego grupa terrorystów uciekła z więzienia SDF. Natomiast na początku stycznia SDF poinformowały o złapaniu znacznej liczby zagranicznych terrorystów, próbujących przedostać się do Turcji i dalej, do Europy. W grupie tej był Thomas Barnouin alias Abu Mohamed al-Fransi, który współorganizował zamachy we Francji.

Dziwan Chalil z kurdyjskich służb bezpieczeństwa w Syrii mówił natomiast w grudniu w wywiadzie dla dziennika „The Times", że kilkuset brytyjskim „foreign fighters" udało się wydostać z Syrii do Turcji. Tymczasem Turcja nie ściga dżihadystów, a jedynie część z nich umieszcza w obozach internowania, by móc ich ponownie wykorzystać w przyszłości. Ci terroryści, którzy byli wcześniej aresztowani w Turcji za organizowane zamachy, często są zwalniani. Na przykład pod koniec stycznia turecki sąd uniewinnił 18 podejrzanych o zorganizowanie zamachu w stambulskiej dzielnicy Sultanahmet. Zginęli tam wówczas głównie zagraniczni turyści.

W rękach SDF jest obecnie ok. 500 „foreign fighters" z ok. 40 krajów. Natomiast w Iraku postępowanie toczy się przeciwko ok. 100 terrorystom pochodzącym z Europy. Jeśli zostaną uznani za winnych, to zapewne zawisną; jeśli nie, to Irak będzie chciał ich odesłać tam, skąd przybyli. Niedaleko Mosulu, w obozach internowania, przebywa też ok. 1,4 tys. członków rodzin terrorystów Państwa Islamskiego, pochodzących z zagranicy, w tym z Europy Zachodniej.

EUROPEJSKIE GUANTANAMO

Na razie dwustronnie uzgodniona repatriacja objęła tylko obywateli Federacji Rosyjskiej. Niedawno Irak wydalił do Rosji 27 dzieci oraz cztery kobiety. Kilkakrotnie kobiety i dzieci, pochodzące głównie z Czeczenii, przekazywał Rosjanom również SDF. Inne kraje chowają głowę w piasek, pouczając jedynie Kurdów i Irakijczyków o tym, że mają przestrzegać praw złapanych więźniów, i potępiają karę śmierci.

Niechęć państw europejskich do przyjmowania do siebie z powrotem swoich obywateli, którzy wybrali życie w „kalifacie", jest zrozumiała. Europejskie sądy, zwłaszcza w Niemczech, nie radzą sobie z „foreign fighters", bo nie współpracują ani z organami syryjskimi, ani kurdyjskimi (SDF), a nawet irackimi. Postępowanie dowodowe, przy braku pomocy prawnej, jest trudne do przeprowadzenia, bo śledczy oczywiście nie pojadą ani do Iraku, ani tym bardziej do Syrii.

Kobiety i dzieci dżihadystów mogą być bombą zegarową. Zwłaszcza jeśli za parę miesięcy lub parę lat ujawnią się ich tatusiowie

Nic zatem dziwnego, że nie słychać zbyt dużo o wyrokach skazujących, a czasem wręcz przeciwnie – można usłyszeć o wyrokach uniewinniających. Kobiety i dzieci dżihadystów mogą być natomiast bombą zegarową. Zwłaszcza jeśli za parę miesięcy lub parę lat ujawnią się ich tatusiowie.

Być może rozwiązaniem problemu byłoby stworzenie europejskiego Guantanamo oraz odebranie wszystkich dzieci matkom dżihadystkom i oddanie ich do anonimowej adopcji, ale do tego trzeba rewolucyjnej zmiany w podejściu europejskich polityków. Wątpliwe, by byli do tego gotowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Teresa Stylińska

Błyskawiczny wybór Martina Selmayra na stanowisko sekretarza generalnego Komisji Europejskiej budzi wiele wątpliwości. Chodzi głównie o sposób działania Unii Europejskiej

Selmayr – szara

Sprawa Martina Selmayra i jego przeprowadzony ukradkiem, błyskawiczny awans najlepiej pokazują, dlaczego musimy odejść z Unii Europejskiej – skonstatował bez ogródek brytyjski dziennik „Daily Telegraph" dzień po wydarzeniach, które jak mało co wzburzyły ostatnio Brukselę. Akredytowani przy Unii dziennikarze piszą o nich dużo i otwarcie, ale przedstawiciele unijnego establishmentu, w tym komisarze, choć chętnie dzielą się opiniami, jak jeden mąż zastrzegają sobie anonimowość. Czynią tak, nawet jeśli zajmują wysokie stanowiska i teoretycznie nie powinni się niczym przejmować, a to samo w sobie świadczy, że – jak powiedziała dziennikowi „De Telegraaf" holenderska eurodeputowana Esther de Lange – „ta sprawa śmierdzi".

Oto sekretarzem generalnym Komisji Europejskiej został ktoś, o kim się mówi, że jest najbardziej podziwianym i zarazem najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Brukseli. Ma możnych protektorów oraz przysięgłych wrogów, a przy tym władzę oraz wpływy o wiele większe, niż by to wynikało z jego dotychczasowego stanowiska: szefa gabinetu Jeana-Claude'a Junckera. Nic dziwnego, że niespodziewane wyniesienie Selmayra na najwyższe stanowisko w służbie cywilnej Komisji rodzi tak wiele pytań – zarówno o procedurę oraz okoliczności wyboru, jak i osobę kandydata.

ZABAWA W WYBORY

Margaret Thatcher, bardzo krytyczna wobec sposobu działania Unii Europejskiej, zwracała niezmiennie uwagę na jeden aspekt: o jej funkcjonowaniu decydują ludzie, którzy nie mają żadnej po temu legitymacji, bo nie pochodzą z wyboru. Ciekawe, jak nieżyjąca już pani premier odebrałaby sprawę Selmayra – żywy dowód na trafność tej opinii.

„Zamach stanu zaczął się 21 lutego o godzinie 9.39, kiedy do tysiąca dziennikarzy

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. ERIC VIDAL/REUTERS/FORUM

eminencja eurokracji

wysłano e-mail z wezwaniem na audiencję u Jeana-Claude'a Junckera o godzinie 10.30. Tak krótki czas sugerował, że musi to być coś ważnego, tym bardziej że Juncker prawie nie organizuje konferencji prasowych. Newsem okazał się niespodziewany awans Selmayra, jego szefa sztabu, na stanowisko sekretarza generalnego, któremu będzie podlegać 33 tys. osób zatrudnionych w Komisji. Dziennikarze byli zdumieni. Nic nie wskazywało na to, by 61-letni Alexander Italianer [poprzedni sekretarz Komisji – dop. red.] myślał o przejściu na emeryturę. [...] Juncker wręczył klucze do europejskiego domu eurokracie, który jest jego faworytem".

Tak wydarzenia w Berlaymont, siedzibie Komisji, opisał na łamach brytyjskiego pisma „The Spectator" francuski dziennikarz Jean Quatremer, doskonale zorientowany w niuansach funkcjonowania Unii. On i inni dziennikarze, zwłaszcza z portalu Politico, bez trudu ustalili, co wydarzyło się za zamkniętymi drzwiami sali posiedzeń Komisji. Okazało się, że najpierw Juncker zgłosił kandydaturę Selmayra na istotnie wakujące stanowisko zastępcy sekretarza generalnego. Druga kandydatka, Clara Martínez Alberola, zastępczyni Selmayra w gabinecie Junckera, wycofała się od razu i Selmayr został wybrany. Wówczas sekretarz Italianer niespodziewanie wyraził chęć ustąpienia ze stanowiska. Któż inny mógł zająć jego miejsce jak nie Martin Selmayr? Zabawa w wybory trwała zaledwie dziewięć minut!

Ten awans powinien przejść do historii jako majstersztyk manipulacji. Przeforsowano kandydata, który nie mógł liczyć na poparcie, a mimo to otrzymał je w całej rozciągłości. Jednym z kluczy do sukcesu były z pewnością ścisła tajemnica i działanie z zaskoczenia. Nawet komisarze dowiedzieli się o wszystkim tuż przed posiedzeniem. Ta superszczelna zasłona miała – zdaniem obserwatorów – nie dopuścić do tego, by przeciwnicy

eprasa.pl 7f4145e991

Selmayra zdołali się zmobilizować i udaremnić jego wybór. Kandydatura Clary Martínez była zaś tylko zasłoną dymną, dobrze przemyślaną, bo nikt nie może zarzucić Komisji, iż nie promuje kobiet.

POTWÓR Z BERLAYMONT

Wszystko to budzi masę pytań i zrozumiałych wątpliwości, dotyczących np. tego, czy cała operacja nie naruszała przepisów. Zdania na ten temat są podzielone, bo oprócz krytyków są i tacy, którzy uważają, że Juncker ma prawo organizować pracę w Komisji według swego uznania. Jednak nawet jeśli przepisy nie zostały złamane, to uchybiono dobrym obyczajom, ujawniając, co się stało, dopiero po fakcie.

W Brukseli wielu ludzi, i to z różnych szczebli, uważa zresztą, że problem stanowią nie tyle przepisy, ile sam Martin Selmayr: unijny aparatczyk, który u boku Junckera wyrósł na szarą eminencję Unii. Selmayr, co przyznają nawet jego wrogowie, jest zdolny, energiczny, pracowity i dobrze zorganizowany, choć mało doświadczony w administrowaniu, bo nigdy nie kierował żadną dyrekcją generalną. Cechuje go jednak ogromna żądza władzy, a arsenał środków, którymi się posługuje – od przecieków z poufnych rozmów do celowych przeinaczeń, nie mówiąc o obsadzaniu stanowisk wiernymi ludźmi – bywa nie do przyjęcia.

Zapewne wypada zaliczyć do niego sposób na obłaskawienie komisarzy, który – według Jeana Quatremera – nie pozostał bez wpływu na wynik głosowania. Selmayr nosi się z zamiarem poszerzenia zakresu przywilejów, jakimi cieszą się komisarze po zakończeniu kadencji. Chodzi m.in. o rodzaj zasiłku na okres przejściowy, w wysokości ok. dwóch trzecich miesięcznego uposażenia, który otrzymują przez dwa lata. Selmayr chciałby, by czas ten wydłużono do trzech, może nawet pięciu lat. Czy dlatego jego kandydatura przeszła jednogłośnie? Zaakceptowali ją nawet ci komisarze, którzy prywatnie mówią o nim bardzo krytycznie. „Wzięliśmy udział w bezbłędnie przygotowanym, zuchwałym skoku na władzę" – powiedział Quatremerowi jeden z, jak pisze autor, najważniejszych komisarzy. Dlaczego więc poparł awans Selmayra?

Martin Selmayr ma 47 lat, jest Niemcem, z wykształcenia prawnikiem. W Komisji, w której pracuje od 2004 r., był m.in. szefem gabinetu komisarz Viviane Reding. Prawdziwy skok na głęboką wodę wykonał, gdy poprowadził kampanię Junckera, zabiegającego o wybór na stanowisko przewodniczącego Komisji. Sukces okazał się prawdziwie wspólny. Selmayr otrzymał stanowisko szefa gabinetu Junckera i stał się jego przybocznym, co doskonale ilustrują zdjęcia z unijnych spotkań: gdzie Juncker, tam Selmayr. Mało wyrazista, banalna powierzchowność Selmayra kazałaby wątpić, czy słuszne jest powszechne przeświadczenie o jego makiawelicznych zapędach. A jednak ma opinię człowieka wszechwładnego i nie przypadkiem przylgnęły do niego wymowne przydomki: „Rasputin" i „potwór z Berlaymont".

KTO JEST SZEFEM KOMISJI?

Dla Junckera, który – zdaniem znawców spraw unijnych – jest już zmęczony pełnieniem obowiązków, Selmayr jest bardzo wygodny. Wspomaga go nie tylko w sprawach praktycznych – takich jak decyzja, któremu z komisarzy pozwolić na spotkanie z Junckerem, a kogo trzymać przed drzwiami – lecz także koncepcyjnych. Podobno to Selmayr wpadł w swoim czasie na pomysł, by unijnym negocjatorem w rozmowach o brexicie został Michel Barnier. I nie przypadkiem: to ważne i eksponowane zadanie ma wypromować Barniera, a to jego właśnie Selmayr upatrzył sobie ponoć na następcę Junckera. Barnier, jak się uważa, jest na tyle słaby i uległy, że może odpowiadać komuś takiemu jak Selmayr.

Ta decyzja, podjęta ponoć bez konsultacji z komisarzami, doprowadziła zresztą do ostrego konfliktu między Selmayrem a bułgarską komisarz Kristaliną Gieorgiewą, która w rezultacie odeszła z Komisji do Banku Światowego. Jak dotąd jest jedyną, która otwarcie skrytykowała Selmayra i jego szefa, mówiąc, że ten team „działa toksycznie".

Faktem jest jednak, że jest to team zgodny i skuteczny, ale przy tym – zdaniem Politico – w działaniu tak brutalny, że aż nadto uprawnione są skojarzenia z „House of Cards". Niektórzy, nie bez złośliwości, zastanawiają się nawet, kto jest faktycznym szefem Komisji. „Selmayr dobrze służy Junckerowi. A może na odwrót?" – powątpiewał Jean Quatremer. Jeszcze jaśniej wyraził to pewien przedstawiciel Komisji, przypominając, że Irlandka Catherine Day, która była sekretarzem generalnym do 2015 r., w obronie unijnych zasad umiała przeciwstawić się przewodniczącemu Komisji. „Jednak – dodał – jak Martin może to zrobić, skoro to on jest przewodniczącym?".

Jakie reperkusje może mieć „Selmaygate"? Teoretycznie poważne, skoro na ostatnim spotkaniu z kierownictwem Europejskiej Partii Ludowej Juncker oświadczył, że jeśli Selmayr straci stanowisko, to on sam odejdzie wraz z nim. Trudno to widzieć inaczej niż jako ostrzeżenie, bo sprawa ma być nadal badana i nic nie wskazuje na to, by miała umrzeć śmiercią naturalną. Podczas ostatniego brukselskiego szczytu odnieśli się do niej nawet najważniejsi ludzie Unii – Angela Merkel i Emmanuel Macron. Pani kanclerz, pytana przez dziennikarzy, bagatelizowała fakt, że Selmayr to kolejny Niemiec na wysokim unijnym stanowisku, ale prezydent Francji wspomniał o potrzebie zachowania „równowagi geograficznej".

Sprawa Selmayra na pewno nie poprawi reputacji Unii, i tak w ostatnim czasie nie najlepszej. Jeśli nie Juncker i komisarze, to przynajmniej eurodeputowani mają tego świadomość. W debacie w Strasburgu nie oszczędzali teamu Juncker-Selmayr. „Szef pana gabinetu – do przewodniczącego Komisji zwrócił się Guy Verhofstadt – dokonał tego, co w tej izbie nie udało się jeszcze nikomu: zjednoczył cały parlament". Istotnie, przedstawiciele wszystkich grup zgodnie jak nigdy dotąd podkreślali, że afera kompletnie odbiera Unii wiarygodność, euroscepty-kom daje do ręki potężną broń, komisarzy zaś ośmiesza, bo dali Selmayrowi nowe stanowisko, choć parę minut wcześniej żadnemu z nich nie przyszłoby to nawet do głowy. György Schöpflin z Węgier ujął to jasno: Czy Komisja, która ignoruje zasady, ma prawo pouczać innych, czy to w Unii, czy też poza nią? Gdy prawi kazania o naruszaniu prawa, dlaczegóż miano by jej słuchać?

Niektórzy, nie bez złośliwości, zastanawiają się nawet, kto jest faktycznym szefem Komisji. „Selmayr dobrze służy Junckerowi. A może na odwrót?" – powątpiewał Jean Quatremer

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. FOTOLIA

NIE WOLNO POKAZYWAĆ, CO SIĘ BĘDZIE JADŁO

Jakiś czas temu klienci supermarketów w Polsce byli przerażeni tym, że w lodówkach zaoferowano połówki prosiaków. Szyneczkę to i owszem, zjadają, ale za nic nie chcą wiedzieć, z czego ona jest. Całkiem podobnie musieli myśleć ludzie w Neapolu, ale „problem" postanowili rozwiązać systemowo. Od teraz rzeźnikowi, który wystawi martwe zwierzę w witrynie sklepu, grozi mandat 500 euro. Urzędnicy wyjaśniali, że taki widok powoduje u wielu osób złe samopoczucie. Wiadomo, lepsza parówka – bo jest z parówki.

OBRABOWANA BURMISTRZ HAGI

Władająca Hagą Pauline Krikke została okradziona, gdy czekała na przystanku na przedmieściu Schliderswijk, zamieszkałym przez wielu imigrantów i słynącym z niskiego poziomu bezpieczeństwa. Pani burmistrz próbowała o tym zajściu nie mówić, ale sprawa wydostała się do mediów. Pauline Krikke musiała odpowiedzieć dziennikarzom. Wybrała prosty sposób. – Po prostu byłam w złym miejscu w złym czasie – powiedziała. Niech no tylko przeczytają to polscy policjanci, o ile łatwiej będzie im umarzać dochodzenia. Może nawet zrobią pieczątkę: „Był w złym miejscu w złym czasie".

O JEDEN ŚLUB ZA DALEKO

Gdy w Oklahomie legalne stało się zawieranie małżeństw jednopłciowych, ślub wzięły 45-latka i 26-latka. Okazało się jednak, że to matka i córka – więc małżeństwo anulowano. Śledczy, którzy zajmowali się tą sprawą, odkryli, że wcześniej 45-latka poślubiła też własnego syna. Tamto małżeństwo także zostało anulowane, a kobieta miała wyznaczony 10-letni okres próbny. Teraz – za kolejne przestępstwo – pójdzie do więzienia na dwa lata.

WALUTA MIEJSKA

W Wenezueli jest tak źle, że do końca lutego ceny wzrosły tam już o ponad 6 tys. proc. Mieszkańcom ustalono limity wypłaty gotówki – jedna osoba może dziennie podjąć do 10 tys. boliwarów, co odpowiada mniej więcej 20 groszom. Nic więc dziwnego, że pojawiają się oddolne inicjatywy i wenezuelskie miasto Elorza zaczęło wydawać własne papiery wartościowe, którymi mieszkańcy mogą płacić za usługi oraz towary. Walutę nazwano na cześć tego samego bohatera niepodległościowego – José Andrésa Elorzy.

POLICJA NA WIDOKU

W ramach reform transportowych w Uzbekistanie zmienić ma się sposób działania policji na drogach. Funkcjonariusze drogówki nie będą mogli już chować się za drzewami i innymi przedmiotami podczas prowadzenia nadzoru nad kierowcami. Za stanie z radarem w zaroślach grozić im będzie teraz degradacja, a nawet zwolnienie z pracy. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Włosi dorzynają watahę

Gdy weźmiecie do ręki to wydanie „Do Rzeczy", włoski prezydent Sergio Mattarella rozpocznie konsultacje w sprawie tworzenia rządu, co wcale nie musi się udać. Marcowe wybory zakończyły się patem.

Włoski polityczny establishment, zblatowane z nim media, podobnie jak sponsorzy w Brukseli i Berlinie, popełnili fatalny błąd. Zlekceważyli potężny głos protestu i desperację gnębionego podatkami oraz nachalną pedagogiką społeczną narodu.

Oto efekty: najniższa w historii frekwencja i klęska partii, które przez ćwierć wieku dominowały we włoskiej polityce. Forza Italia Berlusconiego i lewicowa Partia Demokratyczna otrzymały kilkanaście procent głosów, czyli spadły do drugiej ligi. Co szczególnie upokarzające, naród oddał głosy na błazna, czyli Ruch Pięciu Gwiazd komika Beppe Grillo (32 proc. głosów), i to pod niezbyt eleganckim hasłem „Vaffa" – „Wyp…". Przy czym demonizowana w całej Europie Lega (dawniej Liga Północna) dzięki hasłom antyunijnym i obietnicom wysłania nielegalnych imigrantów do domu stała się pierwszym ugrupowaniem włoskiej prawicy.

Jak wynika z sondaży sprzed kilku dni, gdyby wybory powtórzyć, polityczny establishment pogrążyłby się w niebycie, a błazen Grillo i demon Salvini z Legi dostaliby grubo ponad połowę głosów.

Takie rozwiązanie, do którego i tak może dojść bez rozpisania nowych wyborów, grozi Italii rządami Króla Maciusia Pierwszego, wojną z Unią, a nawet nową Osią, tym razem Rzym – Moskwa. Włosi najwyraźniej wolą skoczyć w przepaść, niż dać się dalej wodzić za nos. Jedno jest jasne: w Italii krachem skończyły się rządy jaśnie oświeconych i wszystkowiedzących arogantów. Zostawili po sobie spaloną ziemię. I nikt nie wie, co teraz będzie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 7f4145e991

Maciej Pieczyński

Dzieci płonące żywcem bezskutecznie błagały o pomoc. Tragedii w Kiemierowie najwyraźniej winne są niedbalstwo, samowola urzędnicza i korupcja

Rosja płonie

Centrum handlowe Zimniaja Wisznia (Zimowa Wiśnia) w Kiemierowie, na zachodzie Syberii, płonęło przez kilkanaście godzin. Oficjalne dane mówią o 64 ofiarach śmiertelnych i 16 zaginionych. Ochroniarz nie tylko zignorował sygnał o wybuchu pożaru, lecz także wyłączył system ostrzegania. Był przekonany, że to kolejny fałszywy alarm. Sygnał miał wcześniej wielokrotnie włączać się bez powodu, co drażniło właścicieli sklepów. Tak czy inaczej, sygnalizacja pożarowa praktycznie nie zadziałała. O tym, że Zimowa Wiśnia płonie, odwiedzający dowiedzieli się, widząc na własne oczy kłęby dymu i ognia. Pożar wybuchł na czwartym piętrze, gdzie znajdowała się część rozrywkowa dla najmłodszych. W trzech salach kinowych właśnie rozpoczął się seans filmu animowanego „Sherlock Gnom". Drzwi do dwóch z trzech sal kinowych były zamknięte. To częsta praktyka. Chodziło o to, by nie wpuszczać widzów bez biletów. Pośrednio to efekt polityki fiskalnej państwa. Jeśli w kinie jest więcej widzów niż oficjalnie sprzedanych biletów – co może oznaczać, że bileterzy sprzedawali miejsca nielegalnie – właścicielom grozi kara. Jednak w Zimowej Wiśni zamknięte były nie tylko główne wyjścia, lecz także wyjścia ewakuacyjne. Gdy wybuchł pożar, dzieci znalazły się w potrzasku. Najwięcej ciał odnaleziono przy samych drzwiach – ofiary bezskutecznie próbowały się wydostać. W rosyjskich mediach jest mnóstwo wstrząsających opisów, jak najmłodsi przez telefon czy Internet kontaktowali się ze swoimi bezsilnymi rodzicami i bliskimi, prosząc o pomoc, a gdy ta nie nadchodziła – żegnali się z życiem.

BEZSILNOŚĆ DZIECI I RODZICÓW

Trzynastoletnia Maria Moroz napisała na swojej tablicy, na portalu społecznościowym vKontakte: „Płoniemy. Kocham was. Wszystkich. Być może, żegnajcie". Zrzut ekranu, na którym widać te kilka opublikowanych słów i zdjęcie profilowe łagodnie uśmiechniętej Maszy, zaczął błyskawicznie rozprzestrzeniać się w Internecie. Powstało nawet fejkowe konto dziewczynki.

„O 16.11, tuż po wybuchu pożaru, z kina dzwoniła do mnie moja siostrzenica Wika. Mówiła, że wszystko płonie, drzwi są zablokowane, że nie może wyjść, nie może oddychać. Mówiłam jej: »Wika, ściągaj wszystko, zatykaj nos ubraniem«. Odpowiedziała mi: »Przekaż mamie, że ją kochałam. Przekaż wszystkim, że ich kochałam«. Potem rozłączyła się. Próbowałam się do niej dodzwonić, był sygnał, ale nikt nie odbierał" – tę historię „Komsomolskiej Prawdzie" opowiedziała krewna jednej z ofiar. Bezsilność rodziców, którzy nie byli w stanie pomóc swoim dzieciom, opisała Irina Krawcowa w swoim reportażu na portalu Meduza. Aleksander i Olga Lillewali stracili w płomieniach trzy córki. Dwie miały 11 lat, ich młodsza siostra – 5. Aleksander kupił córkom bilety na „Sherlocka Gnoma" i popcorn, odprowadził do sali kinowej i czekał trzy piętra niżej na koniec seansu. Gdy wybuchł pożar, próbował samodzielnie dostać się kina.

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. SPUTNIK/EAST NEWS

Wbiegł na czwarte piętro, upadł, nieomal stracił przytomność, dusząc się od dymu. „Córka cały czas do mnie dzwoniła. Ja tylko krzyczałem jej do słuchawki, żeby próbowała wydostać się z sali, ale nic nie mogłem zrobić – przede mną był tylko ogień" – opowiada Aleksander. Wrócił na dół po pomoc. Jak twierdzi, już prowadził ze sobą grupę strażaków na feralne czwarte piętro, gdy otrzymali informację, że w innej części budynku wybuchło kolejne ognisko pożaru, i pozostawili go samego.

ZANIEDBANIA I KORUPCJA

Od samego początku pojawiały się różne wersje przyczyn tragedii – spięcie instalacji elektrycznej, przypadkowe podpalenie… Niezależnie od iskry zapalnej dla większości komentatorów oczywiste są przyczyny systemowe. Teoretycznie bezpieczeństwo w Zimowej Wiśni powinno zostać sprawdzone dwa lata temu. Jednak to liczące 23 tys. mkw. powierzchni centrum handlowe, mieszczące się w budynku dawnej fabryki cukierków, zgodnie z rosyjskim prawem traktowane jest jako tzw. mały biznes, a to, poza ulgami podatkowymi, oznacza również „wakacje od nadzoru" („nadzornyje kanikuły"), czyli zmniejszoną częstotliwość kontroli technicznych. W efekcie przez trzy lata żadna państwowa czy miejska służba nie mogła sprawdzić systemu bezpieczeństwa na terenie centrum. Tymczasem były sygnały o problemach z instalacją. Cztery miesiące przed tragedią przez dwa dni w Zimowej Wiśni nie było prądu. Tydzień przed pożarem w jednym z pomieszczeń centrum miał pojawić się dym. Według informacji „Nowej Gaziety" straż pożarna radziła, by podłączyć kamery w oddzielnych sklepach Zimowej Wiśni do jednego, scentralizowanego systemu monitoringu. Właściciele obiektu odmówili. Zgodnie z rosyjskim prawem strefy zabaw dla dzieci powinny być zlokalizowane nie wyżej niż na drugim poziomie (czyli pierwszym piętrze – rosyjska numeracja nie uwzględnia parteru). Tymczasem cały czwarty poziom był zagospodarowany właśnie pod kątem atrakcji dla dzieci. Według komentatorów chodzi o to, żeby rodzice, wybierając się ze swoimi pociechami, np. do kina na film animowany, po drodze przemierzyli wszystkie piętra – a nuż najmłodsi „naciągną" ich na jakieś wydatki… Aleksiej Tarasow, komentator „Nowej Gaziety", pisze wprost: właściciele kiemierowskiego centrum handlowego złamali prawo, bo interesuje ich tylko biznes, a nie bezpieczeństwo. Na ponurą ironię zakrawa fakt, że Denis Sztengiełow, właściciel Zimowej Wiśni, kilka miesięcy przed pożarem udzielił wywiadu pod tytułem „Oszczędzamy pieniądze, wypalając trawę" („My ekonomim dieńgi, wyżygaja polianu").

Zdaniem Antona Goriełkina, parlamentarzysty z Kiemierowa, jedną z przyczyn tragedii była korupcja. „Centrum handlowe zostało oddane do użytku w 2013 r. Główny podpis pod pozwoleniem na użytkowanie złożył zastępca mera miasta. Zamknąć oczy na jawne problemy z bezpieczeństwem mógł moim zdaniem tylko w jednym przypadku – jeśli oczy zamknięto mu pieniędzmi" – pisze Goriełkin na swoim blogu. I dodaje: „U nas w Kiemierowie jest jeszcze kilka centrów handlowych, zbudowanych w podobny sposób z g…wna i pałek: tani plastik, labirynty korytarzy i zagmatwana struktura właścicielska w dokumentach […]. Pieniędzmi z korupcji nie da się kupić życia dzieci". Aleksiej Nawalny, który zasłynął przecież walką z korupcją, nazwał władze obwodu kiemierowskiego „konglomeratem przestępców", „prawdziwymi bandytami, który myślą tylko o swoim interesie".

WŁADZE GROŻĄ ZAKAZAMI

Dwa dni po tragedii oburzeni mieszkańcy Kiemierowa wyszli na ulice, domagając się rozliczeń. Z demonstrantami spotkał się wicegubernator obwodu Siergiej Cywiliew. Ojcu trójki dzieci, które spłonęły żywcem, zarzucił, że „robi sobie PR na tragedii". Przez dwa dni niezależne media zarzucały państwowym środkom przekazu, że próbują przemilczeć pożar w Kiemierowie, żeby nie psuć Putinowi inauguracji prezydentury. Rzecznik prezydenta Dmitrij Pieskow pytanie o odpowiedzialność władz nazwał „niewłaściwym". W końcu cała audycja kremlowskiego programu „Czas pokaże" została poświęcona tej tragedii. Jej uczestnicy otwarcie krytykowali urzędnicze zaniedbania, korupcję, chciwość, nieodpowiedzialność. Po dwóch dniach Kreml ogłosił żałobę narodową, także najwyraźniej pod presją opinii publicznej. Putin pojawił się w Kiemierowie. Komentatorzy są zgodni: w tej sytuacji władze federalne, aby uciszyć niezadowolenie, wezmą się – przynajmniej na pokaz – za kontrolę bezpieczeństwa w tego typu obiektach. Niezależni publicyści ironizują, że państwo, które straszy cały świat pociskami nuklearnymi, pręży militarne muskuły i szczyci się statusem mocarstwa, które przed każdym jest w stanie się obronić, nie potrafi ochronić własnych obywateli, którzy mogą czuć się niepewnie, nawet wychodząc na zakupy do centrum handlowego. A to nie pierwszy taki pożar. W ciągu ostatnich 15 lat w Rosji doszło przynajmniej do 11 pożarów, w których zginęło po kilkadziesiąt osób. W 2003 r. w moskiewskim akademiku spłonęło żywcem 44 studentów. Trzy lata później w moskiewskim szpitalu płomienie pochłonęły 46 osób. W 2009 r. 156 ofiar pochłonął pożar w permskim klubie Chromaja Łoszad.

Zdaniem znanego politologa Iwana Preobrażeńskiego władze rosyjskie zaczną teraz wszystkiego zakazywać, byle pokazać, że walczą z przyczynami i skutkami tragedii. „A zakazywać trzeba bezprawia, obojętności i samowoli wszystkich, którzy mają choć trochę władzy – od prezydenta do biletera w kinie. Tej władzy, która nie jest w stanie obronić naszych dzieci, a w tym samym czasie grozi całemu światu bombą atomową, trzeba w ogóle wszystkiego zakazać" – pisze Preobrażeński.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. AP/EAST NEWS

Korupcjogenne dotacje

Tomasz Cukiernik

Afery korupcyjne na szczytach władzy w krajach Europy Środkowo-Wschodniej mają jeden wspólny mianownik: unijne dotacje

Jan Kuciak, słowacki dziennikarz, został zastrzelony w swoim mieszkaniu prawdopodobnie dlatego, że odkrył powiązania członków rządu z lewicowej partii SMER-SD z włoską mafią. Ta zajmowała się m.in. wyłudzaniem unijnych funduszy na rolnictwo i na inwestycje w energię słoneczną.

Sposobów na nielegalne pozyskanie dotacji rolnych od UE jest wiele: farmerzy zgłaszają do wypłat większe powierzchnie pól, niż posiadają, albo wnioskują o dopłaty do zasiewów czy hodowli, których nie ma. Sama słowacka agencja zajmująca się przyznawaniem dotacji działa w sposób bardzo nieprzejrzysty, pozwalający ukryć korupcję. W pewnym momencie okazało się, że skala wyłudzeń sięga miliardów euro. – Fundusze Unii Europejskiej przynoszą ze sobą na Słowację korupcję – mówił już na początku 2016 r. Richard Sulik, słowacki europarlamentarzysta, lider największej partii opozycyjnej Wolność i Solidarność, były przewodniczący słowackiego parlamentu. – OLAF [Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych – przyp. red.] działa bardzo, bardzo powoli i ma zbyt małą władzę. Spotkałem się z szefem OLAF Giovannim Kesslerem, który powiedział mi, że jedyne, co może zrobić, to informować rządy krajowe. To bardzo głupia procedura, jeśli rząd krajowy, który jest winny korupcji… ma być o tej właśnie korupcji informowany – zaznaczył.

ZARABIA ZNAJOMY KRÓLIKA

W związku z zabójstwem dziennikarza od razu do dymisji podali się minister kultury, sekretarz Rady Bezpieczeństwa i doradczyni premiera Roberta Fico. Niektórzy politycy domagali się odwołania całego rządu, a na ulice słowackich miast wyszli zwykli ludzie, by żądać przywrócenia elementarnego poczucia sprawiedliwości. – Jest wiele powiązań, podejrzeń, teorii […], ale morderstwo zwiększyło niezadowolenie społeczne z korupcji na poziomie rządowym – mówi Radovan Ďurana, analityk z Instytutu Badań Gospodarczych i Społecznych w Bratysławie. – 50 tys. ludzi na ulicach maszerowało, domagając się nie tyle właściwego śledztwa w sprawie morderstwa, ile bardziej zmian na scenie politycznej, by było więcej przejrzystości, a mniej korupcji – podkreśla. Pod presją manifestacji z urzędu zrezygnował podejrzany w kilku sprawach korupcyjnych minister spraw wewnętrznych, a zaraz po nim premier Fico.

W sąsiednich Czechach o wyłudzenie unijnych funduszy oskarżeni są sam obecny premier tego państwa Andrej Babiš, jednocześnie przedsiębiorca (drugi najbogatszy Czech) i założyciel partii ANO, oraz Jaroslav Faltýn, poseł i przewodniczący Klubu Parlamentarnego ANO. Holdingowi Agrofert Babiša zarzuca się zdefraudowanie dekadę temu unijnych subwencji w wysokości 50 mln koron (ok. 2 mln euro), za które nielegalnie wybudował wielofunkcyjne centrum konferencyjne Bocianie Gniazdo w Olbramovicach. Babiš

eprasa.pl 7f4145e991

miał dokonać pozornych zmian właścicielskich w spółce tak, by inwestycja wbrew prawu kwalifikowała się do otrzymania dotacji przewidzianych dla małych i średnich firm. Według raportu OLAF we wniosku o dotację podano fałszywe dane i zatajone informacje, a dotacja nigdy nie powinna zostać udzielona. Babiš zaprzecza takim zarzutom. Jego i posła chroni immunitet parlamentarny.

W lutym światło dzienne ujrzał inny raport OLAF, z którego wynika, że István Tiborcz, zięć premiera Węgier Viktora Orbána, zamieszany jest w zorganizowany mechanizm przestępczy, którego celem było wyłudzenie unijnych dotacji.

Chodzi o projekty dotyczące budowy oświetlenia ulicznego przez firmę, której współudziałowcem jest Tiborcz. OLAF zarekomendował Komisji Europejskiej odebranie Węgrom ponad 40 mln euro wydanych na te projekty. Elios Innovatív Ltd. stała się spółką z obrotem wielu milionów euro w ciągu zaledwie kilku lat. – Jej sukces leży głównie w wygrywaniu państwowych kontraktów, większość z nich finansowanych przez Unię Europejską – mówi dr Balázs Váradi, ekspert Budapeszteńskiego Instytutu Badań Politycznych. Według Direkt36, węgierskiego centrum dziennikarstwa śledczego, „było kilka innych zamówień publicznych, których warunki okazały się korzystne dla Elios Innovatív". – Łącznie spółka wygrała 19 publicznych projektów oświetleniowych, z których w co najmniej ośmiu przypadkach Elios był jedynym oferentem mimo tego, że na Węgrzech jest co najmniej 10–12 doświadczonych firm, które posiadają środki finansowe umożliwiające wykonanie dużych publicznych projektów oświetlenia. Przetargi często zawierały warunki, takie jak wysokiej wartości prace referencyjne, których żadna inna węgierska firma nie mogła spełnić – zaznacza dr Váradi.

Jak wykazało śledztwo Direkt36, Győző Orbán, ojciec premiera Węgier, jest właścicielem spółki Nehéz Kő Ltd., która dostarcza materiały budowlane pod projekt budowy linii kolejowej w rejonie Balatonu. Współfinansowana w 79 proc. przez UE inwestycja kosztuje 72,4 mld forintów węgierskich (232 mln euro), czyli 16,9 mld forintów węgierskich (54 mln euro) więcej, niż pierwotnie planowano.

Spółka górnicza i inne przedsiębiorstwa, których właścicielami są członkowie rodziny Orbánów, w ostatnich latach szybko się rozwijały. Direkt36 ujawnił, że zaangażowanie firm tej rodziny w kilka państwowych projektów, w tym budowę autostrad, linii kolejowych i systemów kanalizacyjnych, przyczyniło się do ich wyjątkowej prosperity.

Także firmy dwóch braci Viktora Orbána korzystają na państwowych inwestycjach współfinansowanych przez Brukselę. Pieniądze zostały im przyznane przez system dotacyjny zarządzany przez węgierski rząd. Tak więc w działaniach członków rodziny Orbánów jest wyraźny konflikt interesów, na co OLAF także zwrócił uwagę w swoim raporcie. – Największym na Węgrzech wykonawcą programu budowy dróg była firma Duna Aszfalt Kft., spółka, która tak naprawdę zaczęła prosperować krótko po dojściu Fideszu do władzy – dodaje dr Váradi.

DOTACJE ALBO DOBROBYT

Nie lepiej jest w innych krajach. Pod koniec 2017 r. na podstawie danych OLAF Prokuratura Antykorupcyjna oskarżyła Liviu Dragnea, przewodniczącego rumuńskiej Izby Deputowanych i jednocześnie prezesa rządzącej Partii Socjaldemokratycznej, o zdefraudowanie przed laty unijnych dotacji o wartości 20,6 mln euro. To najbardziej wpływowy polityk w Rumunii, który nieformalnie kontroluje obecny rząd. Nadużywając urzędu przewodniczącego rady okręgu Teleorman i wykorzystując poufne informacje, miał sfałszować dokumenty i doprowadzić do tego, że kontrolowana przez niego firma Tel Drum wygrała kilka ustawionych przetargów na budowę dróg współfinansowanych z kieszeni unijnego podatnika. Prokuratura podejrzewa ponadto, że Dragnea bezpodstawnie zawyżał rachunki za realizację tych inwestycji na kwotę 31,3 mln lei (6,8 mln euro). Polityk nie przyznaje się do winy i zaprzecza, że ma jakiekolwiek powiązania z firmą Tel Drum. Nie zamierza też podawać się do dymisji.

Na zachodzie kontynentu kradnie się podobnie. Problemem jest sam fakt istnienia korupcjogennych dotacji

O wyłudzenie unijnych dotacji podejrzewany jest nawet hierarcha rumuńskiego Kościoła ortodoksyjnego. Chodzi o ponad 1,3 mln lei rumuńskich (ok. 300 tys. euro), które w latach 2010–2016 abp Teodosie Petrescu i pięć innych osób otrzymało w ramach unijnych funduszy rolnych – głównie na nieistniejące winnice. Według krajowego urzędu antykorupcyjnego osoby te w celu uzyskania dopłat od rumuńskiej Agencji ds. Płatności i Interwencji w Rolnictwie miały wykorzystać fałszywe dokumenty.

Również w Polsce wyszło na jaw, że wyłudzane są unijne fundusze – m.in. od Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, Narodowego Centrum Badań i Rozwoju czy z urzędów pracy. Pod koniec lutego CBA ustaliło, że pracownicy wielkopolskiego oddziału agencji w zamian za łapówki pomagali rolnikom uzyskiwać dotacje na inwestycje w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich. Wysokość łapówek wyniosła co najmniej 73 tys. zł, za co rozdysponowano dotacje w wysokości 5,4 mln zł. Z kolei inni przedsiębiorcy rolni z pomorskiego oddziału ARiMR za 6 mln zł łapówki chcieli uzyskać kwotę dotacji na poziomie ok. 400 mln zł. W innych sprawach w celu wyłudzenia dotacji przedsiębiorcy prowadzili pozorne działania, takie jak zakupy niepotrzebnego sprzętu, zlecanie wykonania projektu, którego ukończeniem nie byli zainteresowani, czy zakładanie firm wydmuszek, które wnioskowały o fundusze w wielu miejscach na te same projekty, a istniejące od lat rozwiązania zgłaszano jako nowe, oryginalne i innowacyjne. Śledztwo w sprawie tego typu, dotyczącej kwoty ponad 23 mln zł, prowadzi prokuratura w Białymstoku. Z kolei 23 osoby zamieszane są w korupcję przy wyłudzaniu z Powiatowego Urzędu Pracy w Zawierciu (woj. śląskie) dotacji m.in. na prowadzenie działalności gospodarczej.

Powyższe przykłady jednoznacznie wskazują, że dotacje z UE mają niemały wkład w szerzenie się korupcji i malwersacji finansowych na najwyższych szczeblach władz publicznych. I nie jest to bynajmniej ułomność charakterystyczna dla naszej części Europy. Na zachodzie kontynentu kradnie się podobnie. Problemem jest sam fakt istnienia korupcjogennych dotacji. – Nie zbudujemy dobrobytu dotacjami – podkreśla Petr Mach, były czeski europarlamentarzysta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

Anty-Soros z Vegas

Piotr Włoczyk

Sheldon Adelson próbuje zamienić Azję w jedno wielkie Las Vegas, trzęsie amerykańską polityką i zwalcza wpływy George'a Sorosa

FOT. TYRONE SIU/REUTERS/FORUM

Kiedy Donald Trump w grudniu zeszłego roku ogłosił, że Ameryka uznaje Jerozolimę za stolicę Izraela, wielu widziało w tym przede wszystkim triumf Sheldona Adelsona. Ten 84-letni magnat kasynowy z Las Vegas, jeden z największych proizraelskich „jastrzębi" w USA i największy sponsor republikanów, od dawna zabiegał o to, by Ameryka przeniosła swoją ambasadę z Tel Awiwu właśnie do Jerozolimy.

Jednak Adelson, według „Forbesa" 21. na liście najbogatszych ludzi na świecie z majątkiem wycenianym na 38,5 mld dol., nie ogranicza swojego wsparcia dla Izraela jedynie do słów. Ostatnio, jak doniosła agencja AP, zdobył się na gest bez precedensu: zapowiedział gotowość sfinansowania budowy nowej ambasady. Amerykańskie placówki dyplomatyczne to niezwykle kosztowne budowle i eksperci szacują, że w tym przypadku cena przekroczy 500 mln dol. Departament Stanu sprawdza teraz, czy jest to w ogóle możliwe pod względem prawnym.

Nawet najbliżsi współpracownicy Adelsona uznają tę zapowiedź za kontrowersyjną, przyznając, że może to wyglądać jak „prywatyzacja" amerykańskiej polityki zagranicznej. – Martwię się, że obywatele mogą sobie pomyśleć, iż doszło do tego, ponieważ grupa ludzi – ewangelikalnych chrześcijan i Żydów – chciała, żeby tak się stało, a nie wynikało to z woli amerykańskiego rządu – powiedział „New York Timesowi" Morton A. Klein, szef Zionist Organization of America, fundacji finansowanej częściowo przez Adelsona.

Nawet gdyby jednak Adelson miał przelać pół miliarda dolarów na budowę ambasady, nie byłoby to dla niego wielkie wyrzeczenie. Właściciel 69 proc. udziałów w Las Vegas Sands, największej korporacji kasynowej na świecie, ostatnio zarabia tyle w niecały miesiąc (rok temu jego majątek szacowany był na 8 mld dol. mniej).

– Sheldon Adelson ma za sobą przynajmniej trzy różne kariery w biznesie, każda kolejna była bardziej spektakularna od poprzedniej. Chociaż ma na koncie dramatyczne upadki, na czele z utratą większości swojej fortuny w czasie kryzysu lat 2008–2009, to jednak zbudował prawdziwe kasynowe imperium – mówi „Do Rzeczy" Christina Binkley, dziennikarka „The Wall Street Journal", autorka książki „Winner Takes All" na temat biznesu kasynowego w Las Vegas. – Dokonał tego w wieku, gdy inni przechodzą zazwyczaj na emeryturę. Okazał się być mistrzem w tym biznesie.

eprasa.pl 7f4145e991

Dzisiejszy król Las Vegas w czasie ostatniego wielkiego kryzysu stoczył się na samo biznesowe dno (oczywiście w realiach miliarderów). Jeszcze w 2007 r. akcje imperium Sheldona wyceniane były po 140 dol. za sztukę. W szczycie kryzysu straciły niemal 99 proc. wartości. To wtedy Adelson, po zwołaniu rodzinnej narady, postanowił przelać na konto firmy miliard dolarów prywatnych pieniędzy, by ratować płynność finansową swojej korporacji.

Kryzys uderzył Adelsona w najgorszym momencie – akurat, gdy budował olbrzymie kasyna w Singapurze i Makau, przez co był potężnie zadłużony. W 2009 r. jego majątek wart był ok. 3 mld dol. Dzisiaj ma prawie 13 razy tyle. Jak podliczył „Forbes", od 2009 r. nikt w Ameryce nie zarobił więcej od niego. Prawdziwą kopalnią pieniędzy okazały się dla niego nowo otwarte kasyna w Azji, z których czerpie ponad 90 proc. przychodów.

Z PODŁOGI NA SALONY

Donald Trump wielokrotnie dawał wyraz temu, jak docenia wkład Adelsona w zwycięstwo republikanów w 2016 r. Amerykańska prawica nie miała wówczas hojniejszego sponsora. Jak wyliczyło Center for Responsive Politics, wsparł on wówczas prawicę kwotą ponad 82 mln dol. – To potężna, bardzo wpływowa postać w świecie sponsorów kampanii prawicowych polityków. Dzięki temu Adelson zapewnia sobie dostęp do najważniejszych ludzi w kraju – mówi „Do Rzeczy" prof. David Jackson, amerykański politolog.

Można jednak podejrzewać, że Trump nie czuje się najlepiej w otoczeniu Adelsona. Po pierwsze, czuły na punkcie swojego majątku amerykański prezydent jest 10 razy mniej bogaty od Adelsona, a po drugie, Trump swój dziesięciokrotnie mniejszy majątek zbudował na bazie wielomilionowej fortuny swojego ojca. Adelson tymczasem swoje imperium stworzył całkowicie od zera, dorastając w biedzie.

Urodził się w 1933 r. w żydowskiej rodzinie w Bostonie, gdzie jego rodziców przez lata stać było tylko na wynajęcie kawalerki. Adelson wspominał potem, że tylko rodzice spali na prawdziwym łóżku, a dla niego i rodzeństwa pozostawały materace na podłodze.

Jego ojciec pochodził z Litwy, a matka miała ukraińskie korzenie. Przygodę z prawdziwym biznesem zaczął już w wieku 16 lat, kiedy wynajął kilka maszyn do sprzedaży samoobsługowej. Zauważył, że lepiej je ustawiać na stacjach benzynowych niż w sklepach. Potem, po wojsku, zaczął szukać inwestorów dla małych firm, które miały problem z dostępem do kapitału. Z czasem został deweloperem i zaczął budować hotele. Stamtąd był już tylko krok do Las Vegas. Po drodze udało mu się świetnie wyczuć rynek i w 1979 r. zorganizował COMDEX – największe w USA cykliczne targi sprzętu komputerowego.

W 1989 r. na dobre rozpoczął budowę swojego kasynowego imperium. Kupił wówczas podupadłe kasyno Sands, które znajdowało się w samym sercu Las Vegas. Tak powstał biznesowy klejnot miliardera – Las Vegas Sands Corporation.

Po kilku latach Adelson postanowił zburzyć kasyno Sands, a zamiast niego zbudować kompleks rozrywkowy, który przyćmi wszystko, co do tamtej pory zbudowano w „mieście grzechu". W ten sposób w 1999 r. The Venetian otworzyło swoje podwoje dla najbardziej wymagających graczy, którzy chcieli tracić oszczędności życia w ultraluksusowych wnętrzach.

Gdyby Adelson miał przelać pół miliarda dolarów na budowę ambasady, nie byłoby to dla niego wielkie wyrzeczenie. Ostatnio zarabia tyle w niecały miesiąc

W Wenecji zbudowanej na pustyni znalazło się oczywiście miejsce na imitację kanałów, po których pływają gondole. To tam swoją główną siedzibę ma Adelson.

Dzisiaj jednak kasynowy miliarder tylko nieznaczną część swojej fortuny czerpie z Las Vegas. Od lat bowiem amerykańskie Sin City nie gra już pierwszych skrzypiec w gronie światowych stolic hazardu. Bardziej dochodowe stały się w tym biznesie azjatyckie miasta, jak choćby Makau czy Singapur.

Adelson świetnie to wyczuł. Kiedy w 1999 r. Makau przekazane zostało Chinom, miliarder z Las Vegas szybko zapewnił sobie licencję na prowadzenie biznesu na tym terytorium. „Byłem absolutnie, niepodważalnie, przemożnie, bez dwóch zdań przekonany, że będę tam w stanie wybudować drugie Las Vegas" – powiedział w rozmowie z „Forbesem", który wyliczył, że Adelson jest właścicielem nieruchomości o powierzchni odpowiadającej 21 Empire State Building.

Koszt budowy Sands Macao zwrócił się w mniej niż rok. Adelson nie poprzestał na jednym kasynie w Makau. Jednak inwestycja w olbrzymie The Venetian Macao, mające być kopią Wenecji z Las Vegas, zbiegła się akurat z początkiem kryzysu. Reszta nowo budowanych kasyn również zaczęła potężnie ciążyć imperium Adelsona. W samo Makau miliarder zainwestował wówczas ok. 12 mld dol.

Równocześnie kotwicą dla biznesu Adelsona była jego ogromna budowa w Singapurze. Marina Bay Sands, która szybko stała się firmowym znakiem Singapuru, kosztowała go ponad 5 mld dol. Kompleks z charakterystycznymi trzema wieżami, na których osadzono wielki pomost w kształcie statku, działa od 2010 r. W środku znajdziemy 2,5 tys. pokoi hotelowych, ponad tysiąc stołów do gry, 1,4 tys. jednorękich bandytów, muzeum sztuki i nauki.

Teraz Adelson ma na oku budowę kasyn m.in. w Japonii, Korei Południowej, a także w Hiszpanii.

Po wyjściu z finansowego dołka największym zmartwieniem miliardera stał się hazard w internecie. Adelson rozpoczął więc kampanię przeciw obstawianiu w sieci pod hasłem... ochrony dzieci, co się stało zresztą obiektem niezliczonych kpin.

W wywiadzie z „Forbesem" w 2009 r., gdy jego majątek skurczył się do 3 mld dol., Adelson zapowiedział, że jego celem jest powrót na trzecie miejsce najbogatszych w USA i przekroczenie granicy 40 mld dol. Podkreślał, że dzięki temu będzie mógł przekazywać więcej pieniędzy na wspieranie prawicowych inicjatyw, ale przede wszystkim na działania proizraelskie.

CZŁOWIEK PRAWICY

– Adelson jest bardzo aktywny po stronie republikanów, a także w izraelskiej polityce, co często jest jednak kontrowersyjne. Ta część działalności Adelsona przyniosła mu wielkie uznanie w obu tych krajach – mówi Christina Binkley. Propozycja sfinansowania budowy ambasady należy do najbardziej kontrowersyjnych projektów Adelsona.

W 2007 r. król hazardu z Las Vegas otworzył w Izraelu „Israel Hayom", która stała się największą gazetą w tym kraju, wspierającą mocno Beniamina Netanjahu.

Z racji swoich mocnych prawicowych przekonań Adelson nazywany jest Sorosem prawicy. Wszystkie inicjatywy, które finansuje, idą bowiem w poprzek wizji George'a Sorosa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z Janem Grzegorzem Prądzyńskim, prezesem Polskiej Izby Ubezpieczeń
rozmawia Jacek Przybylski

Nie chcemy powrotu do wojny cenowej

JACEK PRZYBYLSKI: Polscy ubezpieczyciele wypłacili w ubiegłym roku poszkodowanym i klientom 39,8 mld zł odszkodowań i świadczeń. To niemal 10 proc. więcej niż rok wcześniej. Z czego wynika tak duży wzrost dynamiki wypłat odszkodowań?

JAN GRZEGORZ PRĄDZYŃSKI: Z jednej strony to naturalny wzrost, np. kosztów medycznych, napraw pojazdów itp. Z drugiej strony mamy natomiast w OC komunikacyjnym niedoregulowanie w kwestii zadośćuczynień. W ostatni wtorek SN zdecydował o możliwości przyznania zadośćuczynienia osobom najbliższym ofierze wypadku w przypadku, gdy ta została ciężko i trwale poszkodowana. Musimy oczywiście poczekać na uzasadnienie, ale decyzja może spowodować kolejny wzrost wypłat z OC.

Jako jeden z nielicznych krajów europejskich nie ma jeszcze w pełni uregulowanej kwestii, np. zadośćuczynień. Brak regulacji sprawia, że zawsze może pojawić się wątpliwość, czy zakład ubezpieczeń proponuje odpowiednią kwotę. Dlatego część spraw kończy się w sądzie, który rozstrzyga o wysokości zadośćuczynienia. Większość krajów europejskich przyjęła już więc rozwiązania, które wprowadzają przejrzyste zasady – czy to w formie algorytmów, czy specjalnych tabel, w których określa się np., ile należy się rodzicom za śmierć dziecka lub jaką kwotę wypłacić dzieciom za śmierć rodziców. W Szwecji maksymalna wysokość zadośćuczynienia to zaledwie 5 tys. euro, a w Niemczech – gdzie właśnie wprowadzane są odpowiednie regulacje – maksymalna wysokość zadośćuczynienia to półtorakrotność średniego wynagrodzenia. Tymczasem w Polsce średnia wysokość odszkodowań to poziom kilkunastomiesięcznego wynagrodzenia. A trzeba pamiętać, że im wyższe zasądzane kwoty, tym wyższe koszty ubezpieczycieli, a co za tym idzie – tym również podwyżki OC, przeciw którym wielokrotnie narzekali kierowcy.

Na rynku pojawili się jednak nowi gracze, którzy oferują tańsze ubezpieczenia OC. Czy to zapowiedź powrotu do wojny cenowej na tym rynku?

Bardzo byśmy tego nie chcieli. Po 10 latach strat rynek OC wreszcie stał się rentowny. Niestety, w ramach obowiązującej w UE swobody świadczenia usług nawet takie ubezpieczenia jak obowiązkowe OC mogą być sprzedawane przez firmy, które nie są naszymi członkami, nie są też kontrolowane przez polski nadzór, potencjalnie stanowią więc duże ryzyko dla systemu ubezpieczeń. Obecnie analizujemy, co możemy zrobić i jak chronić rynek oraz poszkodowanych.

eprasa.pl 7f4145e991

A kiedy wreszcie OC nie będzie zależeć od stylu jazdy kierowcy?

W trakcie różnych prac nad OC komunikacyjnym czy ustawą o działalności ubezpieczeniowej apelowaliśmy o to, żeby ubezpieczyciele mieli dostęp do Centralnej Ewidencji Kierowców, co pozwoliłoby im sprawdzać np. to, ile dany kierujący ma mandatów za przekroczenie prędkości, i na podstawie tego szacować ryzyko. Z nieznanych nam powodów nie dostaliśmy na to zgody. Ubezpieczyciele muszą więc nadal szacować ryzyko głównie na podstawie szkodowości danego klienta.

A co z urządzeniami, które pozwalają monitorować styl jazdy kierowcy?

Zgadzają się na nie głównie ci klienci, którzy jeżdżą spokojnie, a ci, którzy szarżują, takich urządzeń nie chcą. Nie mamy jednak prawa zakładać, że jeśli ktoś odmawia ich używania, to jeździ źle.

Polacy niby nie lubią ryzyka, ale poza zakupem obowiązkowego dla kierowców OC nie ubezpieczają się zbyt chętnie. Tylko nieco ponad połowa Polaków kupuje polisy na domy i mieszkania, jeszcze mniej na życie czy OC w życiu prywatnym. Dlaczego?

Produkty ubezpieczeniowe są ściśle związane z zamożnością społeczeństwa. Im bardziej zamożne społeczeństwo, tym chęć wydawania pieniędzy na ochronę jest większa. W Polsce ciągle pokutuje również poczucie z minionej epoki, że to państwo weźmie za nas odpowiedzialność. Musimy mieć jednak świadomość, że nie wszystkie obszary naszego prywatnego życia są tak chronione, jak powinny. Świetnym przykładem jest opieka zdrowotna – teoretycznie wszyscy mamy ją bezpłatnie gwarantowaną przez państwo. Okazuje się jednak, że np. na endoprotezę trzeba czekać półtora roku, a na zabiegi okulistyczne nawet dłużej. A przecież jeśli po wypadku komunikacyjnym rehabilitacja nie nastąpi bezpośrednio po wyjściu poszkodowanego ze szpitala, to z każdym miesiącem jego szanse na powrót do pełnej sprawności maleją, a rozpoczęcie rehabilitacji po roku od wypadku oznacza, że dana osoba już na zawsze zostanie niepełnosprawna.

Prywatne ubezpieczenia zdrowotne nie są jednak zbyt popularne.

Wprawdzie polskie ustawodawstwo nie przewiduje prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych, jednak ponad 2 mln Polaków ma już tego typu ubezpieczenie. Niestety, w Polsce obowiązuje tzw. system ubezpieczeń suplementarnych, co oznacza, że płacimy dodatkowo za coś, za co już zapłaciliśmy w systemie państwowym. To najgorszy i jednocześnie najdroższy system, jaki może być. Ciągle zachęcamy więc Ministerstwo Zdrowia i członków rządu do rozmowy na temat prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych, ponieważ obserwujemy lepsze rozwiązania w innych krajach europejskich. Do tego potrzeba jednak woli politycznej i otwarcia na ten temat.

A może niechęć do branży ubezpieczeniowej wynika po prostu z kiepskiej reputacji tego sektora? Z różnych badań wynika, że niemal co trzeci Polak nie ufa firmom ubezpieczeniowym. Co robi PIU, aby uporać się z kryzysem wizerunkowym spowodowanym tzw. polisolokatami?

To PIU doprowadziło do stworzenia dobrych praktyk w zakresie ubezpieczeń inwestycyjnych, a następnie do porozumień z UOKiK, które odpowiadały na oczekiwania klientów. Natomiast reputacja branży ubezpieczeniowej jest spójna z reputacją rynku finansowego. Społeczeństwo nie ma o nas szczególnie złego zdania. A wręcz z naszych badań wynika, że nasz sektor kojarzy się ze stabilnością, z bezpieczeństwem czy opiekuńczością.

Problem nie leży więc w niechęci, lecz raczej w nieświadomości tego, co możemy zaoferować.

Apelujemy więc do resortu edukacji o wprowadzenie tematyki ubezpieczeń do nauczania. Już wspomina się o nich w ramach nauki przedsiębiorczości, ale to zbyt mały i wąski zakres, bo głównie na tych zajęciach mówi się o bankach. Tymczasem dla młodych ludzi ubezpieczenia to temat abstrakcyjny, bo choć licealiści już mogą mieć konto w banku i mogą sami zarządzać swoimi pieniędzmi, to polisy wciąż kupują jeszcze za nich rodzice. Efekty zmiany programu nauczania widzielibyśmy oczywiście dopiero za 15–20 lat, ale to jest kierunek, którym warto iść.

W 2019 r. ma ruszyć rządowy program Pracowniczych Planów Kapitałowych. Teoretycznie do PPK zostaną zapisani wszyscy pracujący. Jak duży wpływ PPK wywrą na rynek kapitałowy i ubezpieczeniowy?

Niewątpliwie istnieje potrzeba wprowadzenia tego typu rozwiązania, ponieważ demografia jest nieubłagana. Społeczeństwo się starzeje, więc już niedługo jedna osoba będzie pracowała na kilku emerytów. Tymczasem większość Polaków zaczyna oszczędzać zbyt późno, by godziwie żyć na starość, choć w 2060 r. tzw. stopa zastąpienia, czyli wysokość świadczenia emerytalnego w stosunku do ostatniego wynagrodzenia, wyniesie w Polsce zaledwie 29 proc.

Istnieje więc potrzeba, aby młodzi ludzie, którzy dziś dopiero zaczynają pracę, budowali własny kapitał na starość. PPK to dobry pomysł. Nie rozumiemy jednak, dlaczego ustawodawca nie uwzględnił ubezpieczycieli w fazie akumulacji. Naszym zdaniem to olbrzymi błąd z dwóch powodów. Żeby PPK spełniło swoje zadanie, musi być powszechne. Branża ubezpieczeniowa jest najlepiej przygotowana do tego, aby tę powszechność zapewnić. To my mamy bezpośrednie kontakty z przedsiębiorcami, bo przecież ubezpieczyciele prowadzą większość Pracowniczych Programów Emerytalnych. Oferujemy też wszystkie ubezpieczenia grupowe dla pracowników.

Wykluczenie ubezpieczycieli z fazy akumulacji jest więc niezrozumiałe i stanowi dziwne ograniczenie konkurencji pomiędzy podmiotami rynku kapitałowego. Nie ma żadnego powodu, aby tylko Towarzystwa Funduszy Inwestycyjnych mogły oferować PPK.

Czy utrata dodatkowego strumienia pieniądza może wpłynąć na zmianę pozycji sektora ubezpieczeniowego na rynku finansowym?

Nie. Mamy jednak nadzieję, że rząd lub parlament zmieni jeszcze zapisy dotyczące PPK i nie zdecyduje się oddać praktycznie całego systemu emerytalnego wyłącznie w ręce TFI. Wszędzie na świecie ubezpieczyciele są bowiem najbardziej pożądanym inwestorem instytucjonalnym, ponieważ w przeciwieństwie do banków ich kapitał jest stały i długoterminowy. Większość państw stara się więc, aby ubezpieczyciele mieli jak największy udział w gospodarce. W Polsce sektor ubezpieczeniowy jest trzecim największym inwestorem instytucjonalnym zaraz po bankach i inwestorach zagranicznych. Finansujemy wydatki publiczne na infrastrukturę, edukację czy zdrowie. Ubezpieczyciele w naszym kraju tylko podatku dochodowego płacą rocznie ponad 1,2 mld zł, tworzą 225 tys. miejsc pracy i ubezpieczają majątek firm wart w sumie aż 1,8 bln zł, czyli 60 proc. majątku polskich przedsiębiorców. Innymi słowy – bez ubezpieczeń współczesna gospodarka po prostu nie mogłaby funkcjonować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7f4145e991

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rejterada czy wielki manewr?

Jak uchwalać prawo, by nie narazić się na zarzut zmieniania go potem pod dyktando sił zewnętrznych? Czyli „reformowania własnych reform" pod naciskiem czy to Komisji Europejskiej, czy izraelskiego Knesetu lub/i Departamentu Stanu USA, czy parlamentu Ukrainy? Odpowiedź jest oczywiście banalnie prosta: trzeba je uchwalać z należytą rozwagą.

A jeśli się je uchwala bez należytej rozwagi, często w niesłychanym pośpiechu, po nocach, bez starannego wysłuchania wszystkich stron, to potem jest tak jak teraz. I trzeba wymyślać niestworzone historie, próbując udowodnić opinii publicznej, a zwłaszcza swoim zwolennikom, że krok wstecz krokiem wstecz nie jest. Rzecz jasna – krokiem wstecz w rozumieniu tego porządku politycznego, w imię którego te wcześniejsze zmiany z taką determinacją forsowano. A zatem, że właśnie tego rodzaju krokiem wstecz nie jest zgoda na opublikowanie do tej pory konsekwentnie niepublikowanych orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego. Że krokiem wstecz nie jest ograniczenie swobody ministra sprawiedliwości w wymianie prezesów i wiceprezesów sądów przez zmuszenie go do liczenia się w tej sprawie z opinią kolegium danego sądu, a jeśli ta będzie negatywna, to z opinią KRS. Że krokiem wstecz nie jest odebranie ministrowi sprawiedliwości i przekazanie prezydentowi RP prawa do zezwalania na dalszą pracę tym sędziom, którzy osiągnęli wiek przejścia w stan spoczynku. Że krokiem wstecz nie jest wycofanie się z zapisu, iż panie sędziny muszą przechodzić w stan spoczynku po ukończeniu 60 lat, na rzecz zapisu, że mogą to uczynić – podobnie jak panowie sędziowie – po ukończeniu 65 lat.

Jednak i to przecież nie koniec coraz pokaźniejszej listy kroków wstecz, które z uporem próbuje się przedstawić opinii publicznej jako kroki naprzód. Oto nagle prokurator generalny (i zarazem minister sprawiedliwości) odkrył niekonstytucyjność jednego z przepisów niedawno przyjętej nowelizacji ustawy o IPN, którą wcześniej Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało. A jak wiadomo, w sprawie tej samej nowelizacji wkrótce można się spodziewać całej serii, i to bardzo, bardzo długiej serii, kroków wstecz, które też z pewnością będą ogłaszane jako jeden wielki krok naprzód. Kroków wstecz w odniesieniu do zmian kwestionowanych w tej ustawie zarówno przez Izrael oraz USA, jak i Ukrainę.

No, chyba że obecna pilna „reforma reformy sądownictwa" i nie mniej pilna „reforma reformy IPN" to nic innego jak od dawna zaplanowany wielki manewr PiS. Polegający na zaordynowaniu najpierw zmian idących dalej, niż naprawdę zamierzano – po to, by z części z nich później pod presją się wycofać, dając w ten sposób dowód dobrej woli. Nie wiem, czy ktoś w to uwierzy, ale to dopiero byłaby strategia prawdziwie destrukcyjna dla powagi naszego państwa. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Rządy mniejszości

W świecie Zachodu mamy demokrację, a przynajmniej tak uczą w szkołach. W teorii demokracja to ustrój, w którym większość wybiera taki rząd, którego program spełnia postulaty tej większości. W praktyce większość wybiera polityków najlepiej prezentujących się w mediach, a prawie nikt nie zna programu partii wygrywającej wybory, może poza kilkoma ogólnymi hasłami.

Zatem, jeżeli obowiązujące prawo nie jest wynikiem świadomego głosowania większości, jak ono powstaje? Bardzo często nowe prawo jest wynikiem działania zdeterminowanej i aktywnej w mediach oraz na ulicy mniejszości lub danej grupy interesów. Nowe prawo z reguły określa, jakie zachowania są dozwolone, a jakie niedozwolone. I chociaż w uzasadnieniu danego aktu prawnego z reguły znajdujemy argumenty wskazujące na korzyści dla społeczeństwa lub jego dużej części, to w praktyce często beneficjentem danego prawa jest konkretna, niewielka mniejszość. Dlatego jeżeli milcząca i pasywna większość płaci cenę nowego prawa w postaci ograniczenia wolności wyboru, to w ocenie skutków regulacji powinno być określone, jakie grupy mniejszości odniosą największe korzyści.

Na przykład nowe taryfy celne wprowadzone w USA „mają być dobre dla Amerykanów", ale w praktyce konkretne i bardzo wymierne korzyści będą czerpać producenci towarów na rynkach chronionych nowymi taryfami celnymi. Koszty poniesie milcząca większość. Albo weźmy głośny ostatnio przykład wycieku danych z Facebooka. Jestem przekonany, że z 50 mln osób, których dane zostały wykorzystane w wyborach w USA oraz w wielu kampaniach reklamowych, tylko jednostki usuną swoje konta z Facebooka. Ewentualne nowe regulacje mogą być bardzo kosztowne dla Facebooka, natomiast korzyści z pewnością będą czerpać pewne firmy. Jakie? Przekonamy się, jak powstaną te regulacje. Większość, prawie 2 mld ludzi, będzie się biernie przyglądać temu spektaklowi i prawdopodobnie nawet nie zauważy zmian, albo będzie otrzymywać reklamy gorzej dopasowane do swoich zainteresowań i potrzeb.

Innym przykładem jest segregacja śmieci. Segregacja ma być korzystna dla środowiska, ale koszty tej regulacji płaci większość w postaci codziennej pracy, przy segregacji śmieci. Jednak bardzo mało wiemy o tym, kto jest największym beneficjentem. To firmy, które zarabiają na tym silnie regulowanym rynku. Gdyby płacono ludziom za segregację śmieci, rachunek byłby oczywisty. Za dodatkową pracę w domu powinniśmy otrzymywać wynagrodzenie. A przecież za wywóz segregowanych śmieci się płaci.

Nie jestem przeciw segregacji śmieci. Uważam jednak, że w uzasadnieniu nowych regulacji należy wskazać ich największych beneficjentów. Wtedy będzie powstawało lepsze prawo. ©℗

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

eprasa.pl 7f4145e991

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG 65Q8C

Są takie telewizory, które sprawiają, że gdy nadchodzi weekend, zamiast myśleć o wyjściu do kina, zaczynamy marzyć o wieczorze we własnym salonie.

Minimalistyczny design z wąskimi ramkami sprawia, że telewizor wygląda elegancko i śmiało może zajmować centralną pozycję w nowoczesnym salonie. Aby ułatwić ukrycie plątaniny kabli, z tyłu tego modelu znajduje się tylko gniazdo zasilania oraz wejście do modułu „one connect", w którym znajdują się gniazda USB, złącza HDMI, wejścia antenowe etc.

Kontrowersje może budzić pilot. Zniknęła z niego większość przycisków. Dzięki temu stał się on niezwykle elegancki, choć niektórzy klienci często skaczący po kanałach mogą uznać, że nie jest on do końca wygodny w codziennym użytkowaniu.

Obraz na zakrzywionym ekranie modelu QE65Q8C w wielu momentach wygląda po prostu rewelacyjnie. Dzięki bardzo wysokiej jasności ekranu telewizor wykonany w technologii QLED znakomicie zdaje egzamin w jasnych pomieszczeniach. Bogactwo kolorów i świetny kontrast mogą zachwycać. Nieco gorzej model ten radzi sobie w sytuacjach, gdy zupełnie wygasimy światła – wówczas można dostrzec minimalne smużenie przy bardziej dynamicznych scenach. Inżynierowie Samsunga muszą też popracować nad kątami widzenia. Aby cieszyć się imponującą jakością obrazu, najlepiej siedzieć na wprost ekranu – gdy patrzymy na niego pod większym kątem, wyraźnie spada bowiem nasycenie barw.

Wracając do zalet – graczy z pewnością ucieszy niskie opóźnienie sygnału. Po stronie plusów można za to wpisać jakość dźwięku, która wydaje się być lepsza niż standard w tej kategorii telewizorów. Nie jest to jednak poziom modeli z wbudowanym soundbarem, więc miłośnicy głębokich basów i tak muszą zainwestować w dodatkowe głośniki.

QE65Q8C to model zeszłoroczny. Dzięki temu jego cena za 65-calową wersję spadła już z 15 tys. zł do poziomu wyobrażalnego nie tylko dla najbardziej zamożnych. Koszt zakupu takiego telewizora wynosi obecnie ok. 9,5 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

PRZYJACIEL LITERATA

Pewien mój znajomy, popularny polski pisarz, nie rusza się z domu bez ciężkiego, przedpotopowego, można by rzec, laptopa. I to niezależnie od tego, czy jedzie w podróż służbową, na wakacje czy tramwajem na zakupy do centrum miasta. Pytany o to, po co wozi go ze sobą, skoro i tak na co dzień korzysta z funkcji smartfona: wysyła e-maile, bawi się gierkami, wreszcie siedzi na portalach społecznościowych, odpowiedział mi, że to na wypadek, gdyby dopadła go wena. Bo, jak mówił, musi wtedy koniecznie pisać, a stukanie całych rozdziałów maleńkimi literkami wyświetlanymi na ekranie telefonu byłoby cokolwiek uciążliwe. I chyba właśnie dla takich jak on – literatów, dziennikarzy – stworzono GOTYPE, czyli rolowaną, przenośną klawiaturę z głośniczkiem Bluetooth, którą po rozwinięciu można podłączyć dosłownie jednym kliknięciem do wszystkich smartfonów i tabletów o przekątnej ekranu do 10 cali. Dodam, że GOTYPE współpracuje z urządzeniami wyposażonymi zarówno w Androida, jak i system Windows, pasuje też pod iPhone'a i iPada. Wygodna podkładka przy klawiaturze umożliwia umocowanie telefonu lub tabletu pod odpowiednim kątem. GOTYPE można zamówić już na portalu Indiegogo za ok. 180 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BYLIŚMY PIERWSI

Dni kilka temu popularna na prawicy (przynajmniej od pewnego czasu) celebrytka Magda Ogórek ogłosiła, że to ona, a nie Antoni Macierewicz, pierwsza wymyśliła Wojska Obrony Terytorialnej. Od razu podniósł się straszny rwetes, bo – jak wiadomo – sukces ma wielu ojców, a trudno też przesądzić, kto ma rację – pomysł rodzimej odmiany amerykańskiej Gwardii Narodowej od lat w Polsce pojawiał się w wielu odsłonach. Jedno jest jednak pewne – lata wcześniej niż Amerykanie, bo już w 1938 r., polscy konstruktorzy wojskowi wymyślili „niezbędnik". Kto był w harcerstwie lub wojsku, ten wie, że chodzi o połączone ze sobą sztućce. Nasi sojusznicy zza wielkiej wody, a konkretnie z Portland, też pewne koncepcje w tym zakresie mają, a jedną z nich jest Morsel Spork. Amerykański niezbędnik, na którego produkcję twórcy zbierają pieniądze, jest atrakcyjny wizualnie i nieźle skonstruowany – dzięki miękkiej gumowej krawędzi zmieści się do naczynia o każdym kształcie. Morsel Spork to w części łyżka, w części widelec, którego waga to 20 g, a długość to 26,5 cm. Materiał, z którego został wykonany, sprawia, że jedzenie do niego nie przywiera, łatwo się więc go czyści. Gadżecik kosztuje 20 zł i można go zamówić na Kickstarterze. Bracia Amerykanie, za dwie baterie rakiet Patriot podpowiemy wam, jak do niezbędnika dodać jeszcze nóż :) ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl 7f4145e991

Z prof. Iwoną Hus, hematologiem z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Chorzy potrzebują leków dzisiaj

FOT. SŁAWOMIR DYNEK

KATARZYNA PINKOSZ: Dlaczego szpiczak jest chorobą tak trudną do zdiagnozowania?

PROF. IWONA HUS: Szpiczak rozwija się latami, przez długi czas u większości chorych może nie dawać w ogóle żadnych objawów. Często wykrywany jest przypadkowo, na podstawie badań krwi, w których stwierdza się np. bardzo wysoki wynik OB – powyżej 100. Lekarz rodzinny powinien wziąć pod uwagę, że może to być szpiczak, i skierować pacjenta do hematologa. Niestety, to badanie dzisiaj zlecane jest zbyt rzadko, często sam pacjent musi prosić o jego wykonanie. Jest to jeden z powodów późnego rozpoznania nowotworu, często już w zaawansowanym stadium.

Chorzy opowiadają, że wiele miesięcy błąkali się od lekarza do lekarza i żaden nie potrafił postawić właściwej diagnozy.

Dlatego że objawy są niespecyficzne. Choroba kostna, która jest jednym z najważniejszych powikłań szpiczaka, często jest zlokalizowana w kręgosłupie krzyżowo-lędźwiowym. Również tu najczęściej zlokalizowane są objawy choroby zwyrodnieniowej, która występuje znacznie częściej. Pacjenta boli w tzw. krzyżu, idzie do lekarza, ten zaleca leki przeciwbólowe, rehabilitację. Tak może długo wyglądać leczenie. Dopiero gdy nie przynosi poprawy, lekarz zleca wykonanie zdjęcia rentgenowskiego. Gdy widać na nim bardzo duży ubytek kostny, pada podejrzenie szpiczaka.

Innym objawem szpiczaka jest niewydolność nerek. Ona też może rozwijać się długi czas, zanim dojdzie do takiego stopnia uszkodzenia czynności nerek, że przestają pracować. Gdyby pacjent wcześniej miał wykonane oznaczenie stężenia kreatyniny we krwi, szpiczak mógłby być zdiagnozowany wcześniej. Niestety, zdarza się, że szpiczak zostaje zdiagnozowany, gdy dojdzie do niewydolności nerek i konieczne są dializy.

Na jakie objawy powinno się zwrócić uwagę?

Na uciążliwe bóle kości, kręgosłupa, żeber – jeżeli trwają długo, są silne, konieczne jest przyjmowanie leków przeciwbólowych, to zawsze trzeba zrobić zdjęcie RTG. Kolejnym niepokojącym objawem są nawracające infekcje. Szpiczak rozwija się z plazmocytów (komórek układu odpornościowego). Dochodzi do ich niekontrolowanego rozrostu, w wyniku czego prawidłowe komórki krwiotwórcze w szpiku zostają wyparte przez nowotworowo zmienione plazmocyty. Zmniejsza się liczba prawidłowych białych krwinek, dlatego pojawiają się zaburzenia odporności i częste infekcje. Jednak wiele osób często ma infekcje, ale nie z powodu szpiczaka. Innym objawem jest niedokrwistość – jednak również nie każdy, kto ma niedokrwistość, choruje na szpiczaka.

Szpiczak to trzeci pod względem częstości występowania nowotwór krwi. Taką diagnozę słyszy co roku 1,5–1,8 tys. osób w Polsce. Chorują głównie osoby starsze, po 65. roku życia.

Młoda osoba też może zachorować?

Tak. Są osoby, które zachorowały nawet ok. 30. roku życia, ale to są sytuacje bardzo rzadkie.

Nowotwory krwi to choroby niezawinione. Czy stylem życia można zapobiec zachorowaniu na szpiczaka?

Nie. To nie jest taki nowotwór jak rak płuca, gdzie można powiedzieć, że jeśli nie będziemy palić papierosów, to zmniejszymy ryzyko zachorowania. Nie ma również takich badań skriningowych jak w raku piersi czy szyjki macicy, by wcześnie go wykryć.

Jakie szanse ma dziś osoba, u której szpiczak zostanie zdiagnozowany?

W nowotworach litych, takich jak rak piersi czy prostaty, jest szansa, że gdy wcześnie usuniemy zmianę, to chory zosta-

Polska Grupa Szpiczakowa
Polskie Konsorcjum Szpiczakowe
Celgene

eprasa.pl 7f4145e991

nie wyleczony. W przypadku nowotworów krwi tak nie jest, choroba jest od razu uogólniona. Szpiczak na dziś pozostaje nieuleczalny. Można jednak za pomocą nowoczesnych terapii istotnie wydłużyć czas przeżycia.

Znam wielu chorych, którzy żyją już kilka, a nawet kilkanaście lat od diagnozy...

Do niedawna diagnoza oznaczała, że choremu pozostało ok. trzech lat życia. Obecnie pacjent ma szansę średnio na ponad siedem lat życia – od rozpoczęcia leczenia. Jeżeli choroba zostanie rozpoznana w stadium bezobjawowym, to jeszcze dłużej. Jednak to tylko statystyka, mamy pacjentów, którzy żyją znacznie dłużej. Wiele zależy od typu choroby. Obecnie jednak nawet chorzy z „gorszym" typem rokowniczym żyją dłużej. Nawet osoby starsze, które nie mogą być poddane agresywnemu leczeniu.

Szpiczak powoli staje się więc chorobą przewlekłą?

Tak, już teraz możemy powiedzieć, że szpiczak jest chorobą przewlekłą. Warto wspomnieć, że nowe metody leczenia są lepiej tolerowane przez pacjentów niż tradycyjna chemioterapia. U starszych osób nie możemy zastosować wysokodawkowanej chemioterapii chociażby dlatego, że organizm starszego człowieka nie będzie w stanie znieść działań niepożądanych.

Nowe terapie, takie jak leki immunomodulujące, inhibitory proteasomu czy w ostatnim czasie wprowadzone do leczenia szpiczaka przeciwciała monoklonalne, są na ogół dobrze tolerowane. Niestety, w Polsce nie ma dostępu do leków najnowszej generacji.

Chorzy w Polsce mają szansę być leczeni zgodnie ze światowymi standardami?

Jeśli chodzi o pierwszą linię leczenia, to polscy chorzy są dobrze leczeni. Problem zaczyna się, gdy choroba powraca, a to, niestety, stanie się wcześniej czy później. Leczenie opornej, nawrotowej postaci szpiczaka jest trudniejsze niż leczenie w pierwszej linii. W Polsce mamy dostęp tylko do tzw. nowych leków pierwszej generacji, czyli takich, które zostały zarejestrowane na początku lat dwutysięcznych. Nie ma natomiast dostępu do leków, które zostały zarejestrowane później i powinny być u chorych zastosowane. Leczenie w drugiej linii (czyli po pierwszej wznowie) nie jest już optymalne, ale najtrudniejsza jest sytuacja w przypadku chorych, którzy wymagają leczenia w trzeciej linii i kolejnych. Nie możemy w Polsce leczyć żadnymi z najnowszych leków, które są zalecane w trzeciej linii, czyli po drugiej wznowie.

W szpiczaku zawsze dochodzi do wznowy?

Tak. W pewnym momencie nowotwór przełamuje działanie leków. Od 2013 r. w Europie zostało zarejestrowanych sześć nowych cząsteczek, w Polsce nie mamy dostępu do żadnej z nich. Co gorsza, w miarę upływu lat leczenie w Polsce zamiast przybliżać się do międzynarodowych wytycznych, coraz bardziej się od nich oddala.

Jednym z leków nowej generacji jest pomalidomid, lek immunomodulujący, czyli zmieniający układ odpornościowy poprzez wpływ na limfocyty. Jest skuteczny u chorych, którzy wcześniej otrzymali leczenie bortezomibem i lenalidomidem (oba leki są dostępne w Polsce). To lek doustny, co ważne dla pacjentów, ponieważ mogą go przyjmować w domu, nie muszą przyjeżdżać do szpitala na wlewy dożylne. Spośród leków zarejestrowanych w ostatnich latach jest on najbardziej zaawansowany w Polsce w procesie refundacyjnym. Niestety, nic z tego na razie nie wynika dla pacjentów.

Innym bardzo potrzebnym lekiem, skutecznym w opornej/nawrotowej chorobie jest inhibitor proteasomu drugiej generacji – karfilzomib. Zupełnie nową grupą leków od niedawna stosowanych w leczeniu szpiczaka są przeciwciała monoklonalne, takie jak daratumumab i elotuzumab. Wyniki leczenia nimi są bardzo dobre. Najlepsze rezultaty daje leczenie skojarzone, np. daratumumabu z lenalidomidem i deksametazonem.

Dla pacjentów to nadzieja, że tak dużo się dzieje w leczeniu szpiczaka?

Tak, rzeczywiście, dużo się dzieje. Tyle że te nowe leki nie są dla pacjentów w Polsce dostępne. Czy pacjenta to pocieszy, że lek stanie się dostępny za rok czy za pięć lat? Problem jest tu i teraz. Chory potrzebuje leku dzisiaj. Nie pocieszy go to, że będzie dostępny za rok.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł powstał w ramach kampanii edukacyjnej „Wczesna diagnostyka szpiczaka plazmocytowego", prowadzonej przez Polską Grupę Szpiczakową i Polskie Konsorcjum Szpiczakowe, której partnerem jest firma Celgene sp. z o.o. Więcej informacji na temat kampanii na stronach: www.zdiagnozuj-szpiczaka.pl/ oraz www.hematoonkologia.pl.

Roman Sadżuga, prezes Polskiego Stowarzyszenia Pomocy Chorym na Szpiczaka

Nie poddajemy się

Szpiczaka zdiagnozowano u mnie 17 lat temu. Kilka miesięcy miałem problemy z uchem, brałem antybiotyki, ale nic nie pomagało. W pewnym momencie ból był nie do zniesienia, nie słyszałem już na to ucho. Znalazłem się w szpitalu. W kilka dni zostałem wyleczony, jednak pani doktor stwierdziła, że nie wypuści mnie ze szpitala, zanim nie zdiagnozuje, dlaczego OB wynosi u mnie aż 147. Zrobiła mi wszystkie badania, pobrała też szpik. Okazało się, że mam szpiczaka. Kilka dni potem moja 11-letnia córka pokazała mi w encyklopedii notkę o szpiczaku. Dwa zdania: nowotwór złośliwy krwi, przeżywalność: trzy–cztery lata. Miałem 38 lat. Nie dopuściłem do siebie myśli, że mogło mi zostać tak mało życia. Mówiłem sobie: „Nie dam się, muszę doczekać, aż obie córki skończą studia". Jesienią 2001 r. mój stan bardzo się pogorszył. Było kiepsko. W 2002 r. dostałem talidomid. Jestem ewenementem w skali światowej, bo ten lek nadal u mnie działa, nie powodując prawie żadnych poważniejszych efektów ubocznych. Normalnie funkcjonuję, często zapominam, że jestem chory. Od 13 lat prowadzę stowarzyszenie pomocy chorym na szpiczaka. Staramy się edukować pacjentów, pokazywać im, że z chorobą można żyć wiele lat. Gdy nowo zdiagnozowana osoba widzi, że inni żyją 5, 10, 15 lat, zaczyna wierzyć, że będzie dobrze. Walczymy też o to, by nowe terapie wchodziły w Polsce do leczenia. Z tym nie jest dobrze, od 2011 r. nie został zrefundowany żaden nowy lek do walki z tym nowotworem. Pojawiła się nadzieja dla pacjentów z nawrotowym szpiczakiem, ponieważ w zaawansowanym procesie refundacyjnym jest pomalidomid – czekamy na decyzję ministra zdrowia. Mam nadzieję, że niedługo będziemy leczeni tak jak pacjenci w większości krajów europejskich, również o podobnym PKB do naszego. Wierzę, że lada moment pomalidomid pozwoli uratować wielu z nas. Jest kolejne światełko w tunelu: karfilzomib i daratumumab, które są w procesie refundacyjnym. Nie poddajemy się. © ℗

eprasa.pl 7f4145e991

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Żyła długo i nieszczęśliwie...

Felicjana Stadnicka herbu Szreniawa bez Krzyża może być nazwana polską diablicą numer dwa, była bowiem najmłodszą córką niesławnego Stanisława Stadnickiego zwanego Diabłem Łańcuckim, o którym pisałem w jednym z wcześniejszych felietonów. Dlaczego jednak drugą, a nie pierwszą? Ten tytuł zostawić należy jej matce – Annie z Ziemieńczyc, żonie łańcuckiego pana, która po jego śmierci w Bieszczadach w 1610 r. prowadziła długie spory sądowe z sąsiadami i własnymi synami. Ci zresztą wypędzili ją ze zrujnowanego Łańcuta, a Felicjanę, której ojciec zostawił część dóbr, uwięzili, aby pod pozorem opieki zarządzać przypadającymi jej folwarkami w Żurawicy pod Przemyślem. A także aby przejąć zgromadzony dla niej posag, wart ponoć ok. 50 tys. zł.

Kiedy ok. 1620 r. bracia podzielili się dobrami, Żurawicę przejął średni z Diabląt – Zygmunt – i zabrał siostrę do własnego zameczku, trzymając ją wprawdzie nie w więzieniu, ale pod czujnym okiem służby. Następnie zaś, po dwóch latach, oddał ją „na przechowanie" stryjecznemu bratu Aleksandrowi Stadnickiemu, gdzie – jak podaje Władysław Łoziński – przetrzymywana była w nieszczególnych warunkach, w Bartkówce, między nieślubnymi dziećmi krewnego.

I tutaj właśnie wydarzyła się historia jak z bajki. Niespodziewanie Felicjana znalazła obrońcę, niejakiego Piotra Cieciszowskiego, który dowiedziawszy się tajemnymi sposobami o uwięzionej, nieszczęsnej białogłowie, urządził zajazd na dwór, porwał Felicjanę i zaraz ją poślubił. A przy okazji zdobył także Łańcut i przynależną żonie Żurawicę.

Zdawać by się mogło, że pani Felicjana będzie żyła teraz długo i szczęśliwie z mężem, który wyzwolił ją z niewoli. Nic bardziej

FOT. BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

błędnego! Nie w 1622 r. na Rusi Czerwonej. Najpierw Cieciszowscy popadli w zatarg z Konstantym Korniaktem, który chciał odzyskać długi, jakie zaciągnął u niego jeszcze stary Diabeł Łańcucki, i przenieśli się do zameczku w Zaderewcu. Potem napadli na nich dwaj pozostali bracia – Władysław i Stanisław, porwali ich, wywieźli do Żydaczowa i siłą zmusili, aby oddali im nie tylko wszystkie przynależne Felicjanie wsie należące do majątku w Żurawicy, a nawet sam Zaderewiec. Dzięki temu bracia mogli z kolei przekazać je Korniaktowi w ramach rekompensaty długów i pozostać w Łańcucie.

Sprawa ta jak zwykle w XVII w. była pogmatwana i zawiła. Nagle bowiem po uwolnieniu małżonków rozpoczął się zatarg pomiędzy Felicjaną i Piotrem. Jeszcze w 1629 r. ufundowali wspólnie w Przemyślu drewniany kościół i klasztor Reformatów poza miastem. Niemal natychmiast po tym rozpoczęła się wojna prywatna, która trwała do gorzkiego końca Felicjany. Najpierw bowiem córka Diabła wezwała na pomoc krewnego Adama Stadnickiego z Leska; pożyczywszy od niego zastęp zbrojnych hultajów, ograbiła męża z kosztowności i wyjechała do Lwowa. Następnie dokonała zajazdu na Zaderewiec, rabując Piotrowi zameczek i okoliczne folwarki.

Wtedy rozpoczęła się, jak pisze Łoziński, „wojna na słowa i szable". Cieciszowski kazał napisać obelżywy pozew przeciwko żonie i rozpowszechniać go we Lwowie w czasie roczków ziemskich, za co w osobnym procesie został skazany na sześć tygodni odsiadki w wieży w Przemyślu. Jednocześnie doszło do regularnej bitwy, kiedy pan Piotr urządził zajazd na gospodę, w której stała Felicjana. Z kolei sam Cieciszowski stwierdził, że napad został sprowokowany przez żonę, bo kiedy ową gospodę mijał, kazała strzelać z okien do jego orszaku. Prawdziwy polski „eastern".

Nienawiść pomiędzy małżonkami była tak wielka, że wkrótce Felicjana na mocy dekretu Stolicy Apostolskiej i po gigantycznych perturbacjach uzyskała rozwód. Nie zakończyło to jednak wojny. Przez całe lata pozywali się, napadali, obrzucali obelgami, aż w końcu Piotr, sam infamis i banita, uzyskał na żonę wyrok infamii i w 1640 r. pojmał ją oraz dostarczył do Lublina celem wykonania kary śmierci. Felicjana miała jednak szczęście – marszałkiem trybunału był wówczas Adam Stadnicki, ten sam, który przed laty pomagał jej uwolnić się w Przemyślu spod władzy męża. Powodowany rodową dumą postanowił pomóc krewnej i najpierw zaproponował Cieciszowskiemu ugodę, prosząc, aby pozwolił byłej żonie na udanie się do kościoła Jezuitów, skąd z kolei zabrał ją przemocą i umieścił w klasztorze Klarysek. Co więcej, wytoczył przeciwko Piotrowi sprawę kryminalną, po czym chciał go schwytać, więc Cieciszowski musiał ratować się ucieczką.

O dalszym losie Felicjany nic nie wiadomo, zapewne diablica zakończyła swój niespokojny żywot w klasztorze, wśród mniszek. ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

CIEMNE KLUSKI ŚLĄSKIE JASNOWIDZA JACKOWSKIEGO

Przepis na moją ulubioną potrawę, którą czasem zdarza mi się robić – kluski śląskie – jest pewnie ogólnie znany, jednak kiedyś nauczyłem się robić je w mniej popularny sposób, co skutkuje innym wyglądem i bardzo ciekawym smakiem klusek.

Kiedyś, wykonując swoją robotę na zlecenie Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach, powiedziałem policjantom, z którymi pracowałem nad pewną sprawą, że skoro jestem na Śląsku, to bardzo chętnie zjadłbym kluski śląskie. Zaprosili mnie do jakiegoś baru, w którym podawano dwa rodzaje klusek.

Jedne były normalne – takie, jakie pewnie większość z nas zna, a drugie były ciemne. Różniły się nie tylko wyglądem, lecz także smakiem, moim zdaniem o wiele ciekawszym i bardziej wyrazistym. Są tak smaczne, że w zasadzie wystarczy zrobić do nich delikatną zasmażkę z boczku i obiad gotowy. Jest to danie pyszne, ale kaloryczne, dlatego nie jem go zbyt często. Zamawiam jednak kluski śląskie zawsze, gdy tylko zdarza mi się odwiedzić Śląsk.

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

Składniki:

- ziemniaki
- mąka ziemniaczana
- sól

Przygotowanie:

Gotujemy ziemniaki i przeciskamy przez praskę lub dokładnie ucieramy w misce. Masę dzielimy na cztery równe części, potem wyjmujemy jedną czwartą i jej miejsce wypełniamy mąką ziemniaczaną. Obieramy surowe ziemniaki i trzemy jak na placki kartoflane. Na każdy kilogram masy z utartych kartofli i mąki powinniśmy zetrzeć jednego dużego ziemniaka. Całość łączymy ze sobą i dokładnie mieszamy. Jeśli zależy nam na ciemnym kolorze, to powinniśmy startym ziemniakom pozwolić trochę postać przed połączeniem. Na końcu formujemy kluseczki z dziurką w środku, wrzucamy na posolony wrzątek, czekamy, aż wypłyną, i gotujemy jeszcze ok. 5 min. ©℗

oprac. raw

Krzysztof Jackowski jest najsłynniejszym polskim jasnowidzem.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Obierki exclusive

W święta jemy dużo, ale i tak nie zjadamy wszystkiego. Resztki się wyrzuci, jak zwykle, bez wielkich wyrzutów sumienia. Polak wyrzuca rocznie jedzenie za 2,5 tys. zł. W tej konkurencji zajmujemy niezbyt zaszczytne piąte miejsce w Unii Europejskiej. Co roku w koszu lądują u nas 2 mln ton żarcia; więcej marnują tylko bogacze: Wielka Brytania, Niemcy, Francja i Holandia. Parlament Europejski mobilizuje do akcji racjonalnego gospodarowania, bo wyrzucone jedzenie to nie tylko zmarnowane pieniądze, lecz także 20 proc. więcej gazów cieplarnianych związanych z produkcją, przetwarzaniem, transportem i przechowywaniem żywności. Metan pochodzący z gnijącej żywności jest groźniejszym gazem cieplarnianym niż dwutlenek węgla. Kilogram wyrzuconej wołowiny oznacza zmarnowanie 5–10 ton wody użytych na jej wyprodukowanie.

FOT. FOTOLIA

Gdy jedzenie kupowało się w małym sklepie spożywczym niedaleko domu, a obiad planowało na jeden dzień, gospodarka mogła być bardziej racjonalna. Kupić niewiele, szybko ugotować i zjeść. Teraz w supermarkecie, robiąc zakupy raz na kilka dni, w pośpiechu wrzucamy do wózka hurtowe ilości produktów, często dodatkowo zwabieni promocjami. Wędliny szczelnie opakowane w plastiki zielenieją po trzech dniach, ser dostaje pleśni, kurczak zaczyna śmierdzieć, rybę mimo zapewnień sprzedawcy, że świeża (choć widać, że rozmrożona), trzeba wyrzucić. Ugotowaliśmy coś z ciekawości, ale nam nie smakowało... Przeliczyliśmy się z apetytem domowników i gości...

„Kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie" (Cyprian Kamil Norwid), dawno już nie ma. A jednak ludzie czują się winni, wyrzucając jedzenie i świadomość, że coś z tym trzeba zrobić, powoli wzrasta. Tylko co? Najlepiej wykreować modę. Najlepszym nośnikiem mód są celebryci i trendy. Tak też stało się i tutaj.

Pierwsza była restauracja Blue Hill prowadzona przez Dana Barbera w Nowym Jorku. W niej najlepsi kucharze przygotowywali ekskluzywne dania z tego, co zwykle w kuchni ląduje w koszu. Z obierek, głąbów warzyw, rybich łbów, czerstwego chleba.

U nas znany mistrz kulinarny Aleksander Baron, od lat wierny zasadzie „od nosa do ogona", zaprosił celebrytów na kiszone gniazda jabłka z pestkami, smażone i suszone obierki, przeterminowaną śmietanę z musem z kiszonych cytryn, stary chleb. Goście zjedli, pochwalili, dopiero potem dowiedzieli się, co mają na talerzu. Podobno smakowało. Jednak czy zachęciło do podobnej akcji, trudno powiedzieć. ©℗

eprasa.pl 7f4145e991

NASZ TEST: VW GOLF GTI PERFORMANCE

To nie tylko dobry samochód. To niebezpiecznie szybki, zwinny i komfortowy samochód, który daje niesamowicie dużo frajdy z jazdy. Słynnego hot hatcha ze stajni Volkswagena z zewnątrz od standardowego, praktycznego golfa wyróżniają tylko detale: nieco inaczej uformowane zderzaki, dwie końcówki układu wydechowego, polakierowane na czerwono zaciski hamulcowe, specjalny wzór felg oraz dyskretne emblematy z trzema magicznymi literkami, które zdradzają dynamiczny charakter auta.

W KABINIE

Wnętrze to udane połączenie klasyki i nowoczesności. Dobre wrażenie robi zarówno 9,2-calowy wyświetlacz ciekłokrystaliczny, jak i akcenty typowe dla aut sportowych: aluminiowe pedały gazu, przeszycia czerwoną nitką oraz bardzo wygodna, ścięta na dole obręczy kierownica. Mocno wyprofilowane fotele są wygodne i świetnie podtrzymują ciało kierowcy oraz pięknych pasażerek podczas szybkiej jazdy po serpentynach.

Miłą niespodzianką jest także pojemność sportowego golfa. Kufer o wielkości 380 l w razie potrzeby można szybko powiększyć do 1270 l.

JAZDA

To nie jest auto dla grzecznych ludzi. Ważąca nieco ponad 1,3 t zabawka dzięki dwulitrowemu silnikowi o mocy 245 KM potrafi sprawić, że serce kierowcy zaczyna bić o wiele szybciej. Stajemy na światłach. Czerwone, pomarańczowe i… start. Golf rusza jak wystrzelony z procy (od 0 do pierwszej setki auto przyspiesza w 6,2 s). Co prawda, do pełni szczęścia przydałyby się jeszcze linia mety i seksowne, długonogie hostessy czekające na zwycięzcę miejskiego rajdu z jakimś dobrym trunkiem, ale nawet jeśli po prostu rano docieramy do pracy, to i tak dynamiczna poranna przejażdżka jest miłym początkiem dnia.

Jeszcze przyjemniejsze są pełne zakrętów odcinki na trasie. Dzięki precyzyjnemu układowi kierowniczemu auto fantastycznie się prowadzi. Niezwykła przyczepność stwarza zaś wrażenie, jakby samochód jechał po szynach. Mimo sportowego zawieszenia autem można też komfortowo podróżować bez ryzyka utraty zębów na co większych dziurach. Na pochwałę zasługują też hamulce.

A spalanie? W cyklu mieszanym przy dynamicznej jeździe testowany Golf GTI spalał ok. 10 l/100 km, a przy delikatniejszym traktowaniu pedału gazu jego apetyt na paliwo spadał poniżej 8 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP VW Golf zdobył komplet pięciu gwiazdek. W aucie tej klasy nie może też oczywiście zabraknąć elektronicznych asystentów, zwiększających bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. Specjalne czujniki sprawdzają więc cały czas, czy nie mamy kogoś w martwych polach lusterek. A system Rear Traffic Alert ułatwia wyjazd tyłem z miejsca parkingowego.

Opcjonalny asystent jazdy w korkach sprawia, że dojazd do pracy po zatłoczonych drogach jest mniej stresujący. Z kolei system Emergency Assist rozpoznaje, gdy kierowca traci zdolność jazdy, i w krytycznej sytuacji może przejąć za człowieka prowadzenie samochodu.

CENA

Pięciodrzwiowy VW Golf GTI z dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 245 KM w wersji z manualną skrzynią biegów kosztuje 129,5 tys. zł, a z siedmiobiegową skrzynią automatyczną – 138 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Focus ST, Honda Civic Type R, Peugeot 308 GTi, Seat Leon Cupra R ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7f4145e991

XXIV TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

XXIV TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

12 – 15 kwietnia 2018

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

ARKADY KUBICKIEGO

Nagroda FENIKS 2018

Informacje i zgłoszenia

swk@swk.pl www.swk.pl

Patron medialny:

DO RZECZY

ORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE WYDAWCÓW KATOLICKICH

WSPÓŁORGANIZATOR

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

eprasa.pl 7f4145e991

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Transparentność albo śmierć

MARCIN MAKOWSKI: Wybory samorządowe coraz bliżej, tymczasem prawica nadal nie wyznaczyła kandydata do wyścigu o stolicę. Niedawno wycofał się Stanisław Karczewski, na placu boju nieoficjalnie zostali tylko Michał Dworczyk i Patryk Jaki. Ten drugi, podbudowany działalnością komisji reprywatyzacyjnej, ma chyba większe szanse?

MATTHEW TYRMAND: Nie wydaje mi się, aby Jaki zyskał partyjną nominację. Reprywatyzacja to jedno, ale klęska ustawy o IPN, którą promował wraz ze swoim szefem Zbigniewem Ziobrą, to drugie. Przecież później ten sam Ziobro, jako prokurator generalny, stwierdził, że dokument zawiera wadę konstytucyjną i nie może funkcjonować w zaproponowanej formie. A kto był twarzą całej inicjatywy? Kto w wywiadach i na okładkach mówił, że nie będzie ani jednego kroku wstecz? Właśnie Patryk Jaki.

To również on atakował prezydenckie weta dwóch ustaw reorganizujących wymiar sprawiedliwości, a dzisiaj Ministerstwo Sprawiedliwości nie ma problemów, aby cofnąć się z części z nich na rzecz „kompromisu z Komisją Europejską".

Dobrze, ale co z reprywatyzacją? Trudno powiedzieć, aby na tym polu poniósł wizerunkową porażkę.

Nie jestem o tym przekonany. Jakiś czas temu miały się odbyć kolejne obrady ukazujące kulisy przejmowania słynnej kamienicy Waltzów na Noakowskiego 16. Sprawa błyskawicznie zeszła na drugi plan, gdy okazało się, że Michał Krupiński – były prezes PZU, a obecnie Pekao SA – który zatrudniał brata Ziobry i jego żonę, był z nieruchomością pośrednio związany. O matce Krupińskiego, która otrzymała kredyt na mieszkanie właśnie w tej kamienicy, poinformował Onet. Odnoszę wrażenie, że z tego względu, aby nie mieszać w sprawę „swoich ludzi", czasowo zawieszono temat na kołku. Ponieważ w tej chwili Patrykowi Jakiemu potrzebne jest odbudowanie wizerunku, obrady wznowiono.

Zachodzę jednak w głowę, jak będzie można ponownie ruszyć temat, aby równocześnie całkowicie pominąć wezwanie na świadków swoich przyjaciół. Zgodnie z ustaleniami dziennikarza Onetu Grażyna Krupińska kupiła mieszkanie za 2,5 mln zł. Jaka ponad 60-letnia osoba może dostać równie wysoką pożyczkę? Chciałbym poznać odpowiedzi na te pytania i wzajemne powiązania między tymi ludźmi. To kwestia transparentności życia publicznego.

Mówisz o transparentności, ale czy to nie jest twoja osobista zemsta na Jakim i Ziobrze? Zacząłem od pytania o wybory w Warszawie, a zeszło na rozliczenia Krupińskich. Rozumiem, że sprawa jest zawiła, ale co to ma wspólnego z szefem komisji reprywatyzacyjnej?

Osobista zemsta? Nie żartuj. Oni nie zrobili mi niczego osobiście, dlatego to nie jest moja prywatna sprawa. Nigdy nawet z Ziobrą i Jakim nie rozmawiałem, nie mam żadnego interesu do zrobienia na ich krytykowaniu, wręcz przeciwnie, mogę na tym stracić. Od samego początku naszych rozmów motywację w działalności publicznej wykładałem bez ogródek. Nie cierpię ludzi, którzy działają w cieniu oraz wykorzystują pozycję polityczną i wpływy w spółkach Skarbu Państwa do własnych celów, „kupowania mediów" i prowadzenia wojen podjazdowych. Od lat zajmuję się tropieniem korupcji w USA – zarówno w „Open the Books", jak i w „Project Veritas" – i po prostu czuję takie rzeczy na kilometr. Mechanizmy wszędzie są dosyć podobne. W tym przypadku krąg zaufanych ludzi Ziobry i Jakiego w moim odczuciu nie kieruje się dobrymi intencjami

Nie jest tajemnicą, że konkurują oni z obozem premiera Morawieckiego, z kolei resort sprawiedliwości zupełnie wprost w projektach ustaw reformujących sądownictwo podważał rolę prezydenta, czyniąc z ministra sprawiedliwości osobę o wyższych kompetencjach. Dlatego sądzę, że Patryk Jaki nie powinien być prezydentem Warszawy. Patrząc na międzynarodowe straty po ich uporze wobec IPN, ci ludzie po prostu na to nie zasługują i powinni odejść. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

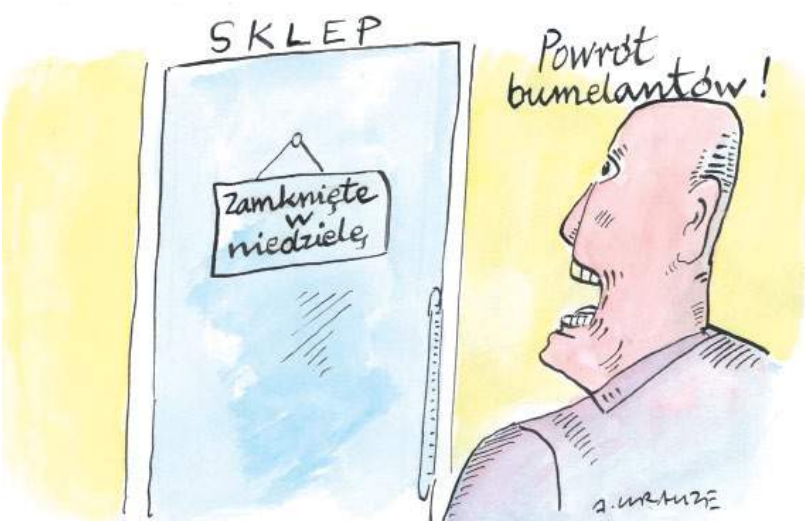

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 7f4145e991

REPUBLIKA
PILNUJMY POLSKI!
Wtorek 20:00
#ZapytajMacierewicza
zadaj pytanie!
Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl
eprasa.pl 7f4145e991

OKIEM BLOGERKI

Uciec od aborcji

KATARYNA

MARZENA PACZUSKA: To dzień manifestacji kobiet, które zatraciły kobiecość, wdzięk i radość życia. Kobiet, których mężczyźni nie zrozumieją i nie chcą. Będziemy oglądać obrazy i usłyszymy hasła, które są demonstracją antykultury. Cywilizacja wyzwolonych z szacunku do siebie atakuje.

Jeśli PiS nie chce się całkiem wyłożyć na aborcji, to powinien szczelnie zamknąć uszy na takie głosy, bo są to uogólnienia nie tylko nieprawdziwe i krzywdzące, lecz także przede wszystkim bardzo niebezpieczne dla każdego, kto się nimi okłamuje. To tak, jak wierzyć, że w Marszu Niepodległości szło 60 tys. faszystów, bo skoro nie przeszkadzali im organizatorzy i transparenty, to znaczy, że podzielają. Nic bardziej mylnego. Czarny piątek to nie tylko agresywne zwolenniczki aborcji, lecz także zwykłe kobiety i wspaniałe matki. Żeby jednak to dostrzec, trzeba wychylić nos ze swojej internetowej bańki i zwyczajnie posłuchać drugiej strony. Wiele moich maszerujących koleżanek aborcję uważa za zabijanie i wcale nie popiera liberalizacji ustawy, chce jedynie zachowania trudnego dla wszystkich kompromisu zostawiającego wąski margines dla sytuacji naprawdę ekstremalnych. Wrzucając je do jednego worka z etykietą „zwolennicy mordowania dzieci" – a robi to nie tylko Paczuska, lecz także wielu poważnych polityków z prawej strony – PiS skazuje się na jeszcze boleśniejszą przegraną w sporze, którego i tak nigdy nie miał szansy wygrać. Na tym etapie może już tylko minimalizować straty.

Lepiej uciąć trudny temat szybko, zanim szkody staną się nieodwracalne

Jestem w stanie zrozumieć, że PiS nie ma odwagi odrzucić radykalnego projektu Kai Godek, ale przetrzymywanie go w nieskończoność w komisjach niczego nie załatwi. Poza kolejnymi miesiącami niewygodnego dla PiS wałkowania tematu i eskalacją wzajemnej agresji. Kiedyś w końcu trzeba będzie się opowiedzieć, lepiej uciąć trudny temat szybko i stanowczo, zanim szkody staną się nieodwracalne. W tej sprawie nie da się zadowolić obu stron, nie da się też umyć rąk. Jedynym wyjściem, jakie obecnie widzę, jest jak najszybsza zapowiedź włączenia tematu w prezydenckie referendum i zaprzestanie prac nad projektem Kai Godek do czasu jego rozstrzygnięcia.

Dla PiS będzie to rozwiązanie stosunkowo bezpieczne, bo oddając głos obywatelom, będzie mógł zrzucić temat z politycznej agendy, a ponieważ gospodarzem referendum jest prezydent, będzie mieć pełną kontrolę nad referendalnym pytaniem. Jeśli będzie ono brzmiało np.: „Czy jesteś za zaostrzeniem ustawy antyaborcyjnej?", to nawet ogromna przewaga głosów na „nie" nie naruszy status quo, za to pozwoli z czystym sumieniem, bo podpierając się wolą obywateli, porzucić raz na zawsze projekt Kai Godek, wcale nie wykluczając prac nad uznaniem zespołu Downa za niespełniający ustawowej przesłanki.

Jeśli zaś obywatele opowiedzą się za zaostrzeniem ustawy, to jego przeciwnikom będzie bardzo trudno argumentować przeciwko demokratycznie wyrażonej woli społeczeństwa. Na tym etapie referendum to jedyne rozwiązanie pozwalające zachować aborcyjny kompromis bez konieczności politycznego opowiadania się w sprawie, za to wytrącając na przyszłość argumenty obu stronom. Jeśli PiS wybierze przeczekiwanie, to będzie miał kolejne miesiące awantury, którą w końcu i tak przegra. Najpierw wizerunkowo, a potem przy urnie wyborczej. ©℗

PODSŁUCHANE

Z wiatrem

No dobra, panie Mateuszu, to mamy dogadane. Jachcik będzie fest, kasiorkę już rezerwujemy, właśnie się wybieram do Francji go obejrzeć, skoczę se do Cannes przy okazji... Natomiast jest jeden problemik.

Jaki, panie Maćku? Nie ma takiej rury, której...

Ja wiem, ja wiem, tylko w 2010 r. pan poparł tego, no, myśliwego. Bronka, znaczy się. Wie pan, ja to z tym nie mam problemu, my cenimy ludzi, którzy zmienili zdanie, ale... Czepiają się nas cały czas różne takie. Słowem, coś by z tym trzeba...

Rozumiem. Może jakoś tak powiem jak pani Gersdorf – że popierałem bezrefleksyjnie, bo miałem wtedy dużo pracy i byłem zmęczony?

Ale, wie pan, to już trochę się opatrzyło. Myślę, że tu trzeba jakoś odważniej.

To może tak powiem jak ta druga pani: że ja nigdy nic nie miałem z nimi wspólnego, tylko mnie akurat złapali gdzieś tam, jak przechodziłem, i zmusili, żebym coś powiedział do kamery, ale tak naprawdę nigdy pana Bronisława nie ceniłem...

Nie, to już też było. Ja myślę, że najlepsza to będzie taka szczera, spontaniczna samokrytyka. Że owszem, było, ale się skończyło i że teraz pan rozumie...

... że to był błąd? Jasne, nie ma sprawy, mogę i tak. Wie pan, ja jestem żeglarzem. Mam świetne wyczucie wiatru. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To świetny prezydent Warszawy, kto wie, czy nie najlepszy w ciągu ostatnich 70 lat!".

JAN GRABIEC,
rzecznik Platformy,
o Hannie Gronkiewicz-Waltz
w RMF FM

eprasa.pl 7f4145e991

Lider

Jewo Wielicziestwo Władimir Władimirowicz Putin został — czwarty już raz — obrany carem Matuszki Rossiji. Miało to miejsce 18 marca, zatem ten felieton powinien był się ukazać tydzień temu, jednak wtedy akurat wypadał numer Wielkanocny, do którego musiałem dać felieton **„Jajeczko Wielkanocne”**, stąd lekkie opóźnienie w prezentowaniu ruskich jaj, izwinitie towariszczi.

Tuż po rytualnym triumfie Putin wszedł na monstrualną estradę, przed którą czekała bezkresna rzesza fanów. Nim wkroczył, został zapowiedziany tubalnym, mocnym jak kremlowski dzwon Kałakoł, basem showmastera: *„ — Lider Rossiji, Władimir Władimirowicz Putin!”*. Nie *„prezydent”*, tylko *„lider”*, co mi się spodobało, bo dziesięć lat temu (2008) opublikowałem powieść o Putinie zatytułowaną właśnie: **„Lider”**. Chociaż nie dała rady przebić się na szczyt opublikowanej przez **„Rzepę”** listy bestsellerów roku 2008 (ze swymi 110 tysiącami zajęła czwarte miejsce, jako jedyna w pierwszej dziesiątce książka nie zmajstrowana kobiecą ręką), ale miała dobre opinie; Tomasz Cukiernik pisał w **„Opcji na Prawo”**: *„**«Lider»** to powieść polityczna o mechanizmach rządzenia współczesną Rosją (...) Dla wielbicieli Łysiaka — kolejne mistrzowskie dzieło. Dla lewicy — pisanina nie do przejścia”*.

Kiedy pisałem **„Lidera”**, po internecie krążyły dowcipy o regularnym wybieraniu byłego kagiebisty na samodzierżawne stanowisko. W którymś z tych kawałów sekretarz Putina melduje szefowi: *„ — Panie prezydencie, mam dwie wiadomości, dobrą i złą. Zła jest taka, że pański konkurent uzyskał 67 procent głosów. A dobra jest taka, że pan uzyskał 96 procent głosów”*. Lecz prawda jest taka, że masy ludowe Federacji Rosyjskiej szczerze głosują na Wołodię. Wyzbyty urody, charyzmy i wdzięku kurdupel o kaczym chodzie Rosjanom wydaje się piękny, i trzeba to szanować, większość ma słuszność (jak w tym sondażu, gdy pytano Europejczyków: kto napisał **„Imię róży”**? — 18% badanych stwierdziło, że Umberto Eco, a 49%, że Sean Connery). Putinokracja i sam Putin–idol, supermatrioszka nowego, postsowieckiego imperium, cały czas bazują na skutecznej, bardzo ufnie tam przyjmowanej propagandzie, według której Rosja to znowu (po konwulsjach Gorbaczowowskiej *„pieriestrojki”* i po degrengoladzie Jelcynowskiej) światowy gigant dzięki wysiłkom tytanicznego przywódcy o kultowo dwusylabowym nazwisku z końcówką in (Lenin, Stalin, Putin). Co prawda reżim Putina rzuca ciężkie kłody pod nogi wszelkim jego konkurentom, twardą pięścią dyscyplinując niepokorne media i stowarzyszenia, ale to się podoba Kacapom, dlatego nimb cara–batiuszki krzepnie solidnie. Z olbrzymią większością narodu dyskutować jest bardzo trudno.

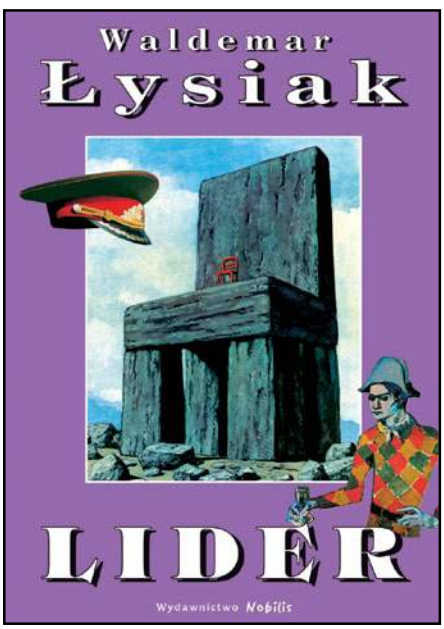

Równie trudno przeciwstawiać się elitom, które pieją ku czci Putina dytyramby i apologie nie mniej gorące niż kute w marmurze i granicie staroegipskie hieroglify sławiące faraonów (cytuję za inskrypcjami badanymi przez François Daumasa i Philippa Vanderberga: *„On daje chleb głodnym, wodę spragnionym, szaty nagim, prawdę cnotliwym”*; *„Wyróżniony spośród milionów, przepełnia go mądrość”*; *„Niech będzie wieczny jak Re”*; *„Patrzę na Twą doskonałość. Ty odnawiasz młodość”*; *„Jesteś ojcem i matką ludzi — oni żyją Twoim oddechem”*; *„Jesteś jedyny i niepowtarzalny, przemierzasz wieczność, wskazując ludziom właściwą drogę, a patrzy na Ciebie cały świat”*; *„Blasku złota nie można przyrównać do Twego blasku. Twój blask jest niebiański”*; itp., itd.). Niżej rosyjskie analogiczne chwalby z XXI stulecia po Chrystusie:

Adam Mickiewicz: „Car tu wszechmocność woli swej pokazał”

O politycznych tudzież humanistycznych cechach Putina wyraził się pryncypialnie działacz partyjny (Jedna Rosja) Wiaczesław Wołodin: *„ — Prezydent to człowiek, który na równi z profesjonalizmem odznacza się człowieczeństwem pierwszorzędnego gatunku. Dlatego szanują go i kochają ludzie”*. O politycznym znaczeniu Putina mówiło liczne grono. Choćby Ramzan Kadyrow (prorosyjski prezydent Czeczenii): *„ — Władimir Putin to polityk numer jeden na świecie”*. Czy deputowany Alieksiej Lichaczew: *„— Putin to najbardziej wpływowy polityk ziemskiego globu”*. Bądź Wiaczesław Nikonow (prezes Fundacji „Polityka”): *„ — Putin, będący samowystarczalnym centrum siły, jest i długo pozostanie główną polityczną figurą świata”*. Akcentowano też jego rolę zbawiciela — Hasan Mirzojew (poseł do Dumy): *„ — Twoja ręka twarda i mocarna wstrzymała szerzący się wokół chaos, przywracając ludziom wiarę i nadzieję!”*. Plus jego nieomylność — Władimir Czurow (przewodniczący Centralnej Komisji Wykonawczej): *„ — Czy Władimir Putin w ogóle może się mylić?”*. Okazało się też, że nieomylność Putina uskrzydliła wiele dziedzin rozwoju społeczeństwa Wszechrusi, m.in. literaturę — pisarz Oleg Morozow: *„ — Gdyby nie lata prezydentury Putina, to nie bylibyśmy teraz tutaj, na tej konferencji, i nie mówilibyśmy o przyszłości literatury. Dyskutowalibyśmy o tym, dlaczego literaci piją wódkę”*. I uszlachetniła kinematografię — reżyser Fiodor Bondarczuk: *„ — Wszystkie sukcesy naszego nowego kina są związane z Władimirem Putinem!”*. I muzykę — Josif Prigożyn (producent muzyczny): *„ — Pierwszy raz zjawił się w naszym kraju człowiek, którym można się nie tylko normalnie szczycić, ale wręcz zachwycać. Władimir Władimirowicz Putin!”*. Oraz sport — Irina Rodina (łyżwiarka figurowa): *„ — Dla nas, sportowców, Władimir Władimirowicz od dawna jest głównym trenerem. On — kierownik naszej drużyny, naszego kraju!”*. Tudzież feminizm — Liubow Sliska (wiceprzewodnicząca Dumy): *„ — Kobiety rosyjskie miłują Putina. Putin to nasze wszystko!”*. Wreszcie psychiatrię — Alieksandr Dugin (geopolityk): *„ — Przeciwników Putina już nie ma, a jeżeli jeszcze gdzieś tacy istnieją, to są to osoby chore psychicznie, które trzeba zamykać we właściwym szpitalu!”*.

Niepozamykani we właściwych szpitalach korzystają z wolności, tworząc mnóstwo rymów hagiograficznych (ód, hymnów, sonetów, poematów), wedle recepty tego samego dupoliza Dugina: *„ — Putin wszędzie, Putin wszystko, Putin absolutny, Putin niezastąpiony!”*. Co bardzo wzbogaca wielowiekową skarbnicę rosyjskiej poezji, która była, jest i będzie przodującą poezją ziemskiego globu. Sława Rodinu! Sława Putinu! Smierć każdomu sukinsynu antiPutinu! Jak choćby Litwinienko czy Skripal.

To ostatnie — bulwersujące dzisiaj cały glob i powodujące chwilowy nawrót *„zimnej wojny”* między Zachodem a Rusią — ma starą sowiecką tradycję, którą ładnie wyszydził Marek Hłasko pisząc (1966) o *„commies”* (komunistach). Przypomniał Waltera Krywickiego, kolejnego z wielu wyższych oficerów sowieckiej bezpieki, którzy uciekli na Zachód i dostali tam ochronę angielskich lub amerykańskich *„służb”*. Krywicki czuł się pewnie, wydał książkę **„I Was Stalin's Agent”**, jej ostatnie zdanie brzmi: *„Udało mi się jeszcze raz”*. Kilka miesięcy później znaleziono go martwego w waszyngtońskim hotelu. Komentarz Hłaski był krótki: *„Z «commies» udaje się mało rzeczy, ale ta jedna udaje się zawsze”*.

Kto by pomyślał, że rozgłośnym symbolem/godłem spuściznowej ciągłości między stalinizmem a putinokracją okażą się trucicielskie chemikalia… ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 7f4145e991

Miliony do zdrapania!

W WIELKIEJ ZDRAPCE 777
do wygrania nawet
2 000 000 zł

Zdrapki

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl 7f4145e991